

Maryla Rodowicz

NIECH
ŻYJE
BAL

Baba

Drogi Czytelniku,

trzymasz w ręku kolejną książkę wydaną przez Dom Wydawniczy Szczepan Szymański. Liczymy, że jej lektura dostarczy Ci wiele satysfakcji. Zadowolony Czytelnik jest celem naszego wydawnictwa, dlatego czeka Cię jeszcze wiele przyjemnych niespodzianek.

Szukaj naszych książek w księgarniach.

Do zobaczenia już wkrótce

Stylizowane logo składające się z liter 'D' i 'W' w czarnym kolorze, gdzie 'D' jest większe i bardziej wyraźne, a 'W' jest mniejsze i bardziej graficzne.

Maryla Rodowicz

**NIECH
ŻYJE
BAL**

The word 'BAL' is rendered in a highly stylized, cursive font with a 3D effect. The letters are thick and have a white fill with a black outline. The 'B' is the largest and most prominent, followed by 'A' and 'L'. The letters are slanted and have a sense of movement, as if they are floating or dancing. The background is a simple white rectangle with a thin black border.

Projekt okładki
Joanna Czerwińska
Andrzej Pągowski Studio „P”
4

Zdjęcia z archiwum Maryli Rodowicz

Fot. na okładce Wiesław Leżanka

© Copyright by Maryla Rodowicz
& Dom Wydawniczy Szczepan Szymański 1992

ISBN 83-85606-01-7

Wydawca: DOM WYDAWNICZY SZCZEPAN SZYMAŃSKI sp. z o.o.
01-005 Warszawa, ul. Nowolipie 20 m 31, tel./fax 383-503

Przygotownia offsetowa: „Reprocentrum” W-wa tel. 611-95-55

Druk: Drukarnia Szczepana Szymańskiego, tel. (W-wa) 74-23-34

*...Niech żyje bal,
bo to tyście, to ba! jest nad bale.*

*Niech żyje bal
drugi raz nie zaproszą nas wcale.
Orkiestra gra
jeszcze tańczą i drzwi są otwarte*

*Dzień warty dnia,
a to życie zachodu jest warte...*

Agnieszka Osiecka

1.

Bardzo przyjemny moment. Siedzę na strychu, cisza, przede mną stos czystych kartek, w rękę koreański długopis, obok pięć wkładów (jaki optymizm). I nic. Czekam. Na wenę, ma się rozumieć.

Siedzę, siedzę, rozglądam się. Miły ten strych. Cały z desek pomalowanych na białą, za to belki stropowe czarne. Moje ulubione meble wiklinowe po macoszemu zataszczone w kącie! No bo dom jest nowoczesny. Na dole w tzw. living-roomie jasnoszara kanapa z cudnej, miękkiej skóry, do tego szaro-czarny, marmurowy stolik, ciężki jak jasny gwint, ani go ruszyć, ani przesunąć; kominek czarny, prostokątny. A ile się nachodziłam, najeździłam do marmurarzy — tych od nagrobków, nauśmiechałam, naczekałam. U nas rzemieślnicy, wiadomo, niesłowni — obiecują, nie dotrzymują terminów, są niechlujni, gubią wymiary. Jeden blat cieńszy, drugi grubszy, brzegi pokruszone, ale ceny astronomiczne. W dodatku dla Rodowicz — wiadomo, milionerka — specjalne ceny. Więc płacimy, klniemy i po paru latach bieżaniny zamieszkujemy.

Dwa ostatnie lata rezydowała tu ekipa wiecznie pijanych stolarzy. Robili co mogli, tyle że długo, rano trzeźwieli, potem się pokręcili,

postukali młotkami, machnęli parę desek na biało i banieczka. A że dostali mokre drewno od kolejnego giganta-amatora, to, wiadomo, jak się włączyło ogrzewanie, cała podłoga stanęła na baczność, zdziwiona, okna przestały się zamykać, a o drzwiach lepiej nie mówić. Tak zwana wykończeniówka w Polsce leży. Tandeta. Wszystko odłazi, odpada. Zaprzyjaźniony projektant poradził nam, żeby wszystkie progi pokryć mosiężną blachą. Super. Jeszcze musimy niektóre narożniki ścian obić i zobaczycie, jak będzie. Najgorzej, że żadna ściana nie jest prosta i nijak się ma do podłogi czy sufitu. Po prostu murarz pracował bez pionu albo na kacu miał lekko skrzywioną perspektywę i jak trzeba ustawić na przykład szafę, to się wszystko kupy nie trzyma. Schody wewnętrzne. Stolarz (ten od mokrego drewna) pyta: jakie tralki? Tralka, to wiadomo, taki patyk idący od poręczy w dół. Ja na to: jakie tralki, nie chcę żadnych trałek, nie chcę drewna. Znaczą — stopnie drewniane, toczone, rzeźbione kolumnienki? Nie. Chyba że pomalować na biało. Andrzej wymyśla biały marmur. Jedziemy do Kielc, kupujemy stopnie. Pięknie, ale z czego poręcz. Ola (Laska, zaprzyjaźniona plastyczka) wymyśla rurę mosiężną i, żeby było „lżej” (wąskie schody), oparte to ma być na przezroczystych taflach hartowanego, grubego szkła. Jadę więc do Huty Szkła do Sandomierza. Robią szybko, ale że wymiary były źle podane, cała partia do wyrzucenia. Znowu parę miesięcy zwłoki. Po rurę do Huty Metali Nieżelaznych do Wrocławia. I zaczyna się. Nikt nie chce się podjąć wyginania, spawania opornego materiału. Trwa to w nieskończoność. Rura ma cienkie ścianki, pęka, a w co oprawić tafle szklane? Kombinacje alpejskie trwają, a my się gnieździmy w dwóch pokojach, w kawalerskim mieszkanku Andrzeja w sześć osób plus pies szczeniak.

Najgorsze są ogromne pająki —jakaś wyjątkowo obrzydliwa odmiana — wyłazące z kątów, a że mieszkanie jest ciemnawe, dywany ciemne, to te czarne potwory zauważam w ostatniej chwili. Brrr... Nie wiadomo po co całą wiosną, jesień i zimę tak się kręciły, a najchętniej wędrowały do kuchni, do zlewu. Boję się, brzydę i nienawidzę. Myszy — proszę bardzo. Szczura wezmę do ręki. Gorzej robactwo, ćmy. Nie cierpię much. Za namolność. I kur — za głupotę. Stoi taka, kręci nerwowo

głową, coś dziobie, sama nie wie co i po co, podskoczy, zagdacze, udaje że gdzieś idzie, na coś patrzy, że śpi. Dlatego zżeram ją z lubością. Krowę czy świnię — za przeproszeniem — też, nie powiem, ale krowa sobie stoi tak jakoś godnie, wolno żuje patrząc wilgotnymi, niemal ludzkimi oczami ze zrozumieniem na świat, a w ogóle jest duża, a ja zdecydowanie lubię wszystko, co duże. Samochody, mężczyźni, domy, przestrzeń. Taką po horyzont.

Niedawno grałam w Szwajcarii. Pojechaliśmy samochodem do Montreux. W górze Alpy pokryte śniegiem. W dole Jezioro Genewskie, palmy, platany, figowce — niesamowite. Śliczna architektura. Słodka secesja. Hotel, w którym mieszkał pod koniec życia — i umarł — Sienkiewicz. Podobno nieźle mu tam szło pisanie. A może zatrzymać się tu na czas pisania książki? Widok — bajka. Przed hotelem zacumowane jachty, szare jezioro bez horyzontu. Nie wiadomo gdzie i kiedy zaczyna się niebo. To jest to. Parę kilometrów dalej, w kierunku Lozanny, na wzgórzu, na małym cmentarzu jest grób Chaplina. Ale ma widok.



Szwajcaria 1992, przy grobie Ch. Chaplina niedaleko Lozanny

Chciałabym mieć kawał ziemi ze wzgórzem, z drzewami. Wzgórze już mam. Na Mazurach. Dostałam w prezencie od męża. Zrobił mi tym większą przyjemność niż na przykład drogą biżuterią. Chociaż kiedy kupił mi obrączkę ślubną z białego złota z brylantem w pięknym kształcie, podejrzanie lubiłam ją mieć. Lubiłam, bo ostatnio przepadła jak kamień w wodę. Moje mazurskie wzgórze to całe dwa hektary na zupełnym odludziu oparte o czarny las z widokiem na pola i przezroczyście jezioro. Lubiłabym się kąpać w gorącym morzu, chodzić po ciepłym piasku w Portugalii czy innej Hiszpanii, ale Mazury, to Mazury. Niepokojąca, ponura przyroda, stojąca woda, rozsiane drewniane łódki z rybakami, przepraszam — z wędkarzami, zapach zboża, bociany, uciekające bez popłochu pod koniec wakacji żurawie.

Jeździmy często z dziećmi do lasu. Zawsze się trochę boję, a czasem bardziej niż trochę. Boję się czegoś nieokreślonego. Jakby jakiś Niemiec miał się nagle wynurzyć z chaszczy. Wyraźne zarysy wojennych okopów, zapomniane jezioro z zarośniętymi brzegami, rozsypujące się resztki pomostów. Wyobrażenia podsuwa obrazy zatopionych czołgów, woda jest mętna i brunatna, jakby ktoś celowo utrudniał zajrzenie do wnętrza jeziora. Walające się zardzewiałe puszkki — pewnie ubiegłorocznych turystów — nasuwają na myśl podstępnie zrobione miny. Drzewa są ogromne, złowrogo szumią i pamiętają Bóg wie co. Rok temu, będąc z dziećmi na grzybach, zgubiłam kluczyk od samochodu, a tu coraz ciemniej, zbliża się burza. Jędrus trzyletni zmęczony na rękach, i znajduj tu, człowieku, gdzieś w trawie leżący kluczyk. Po długich poszukiwaniach — jest. Ulga. Uciekamy do domu.

Ciągle mam nadzieję, że ten letni dom na Mazurach powstanie. Krysia podszeptuje, żeby go dobrze ocieplić na zimę, bo w życiu nic nie wiadomo. Może przyjdzie furmanką dojeżdżać do Jedwabna do sklepu do końca życia. W każdym razie w domu stoją kartony z różnymi szpargałami z napisem — Mazury. Piękne i straszne są burze na wsi, zwłaszcza nocą. Noce to odrębny temat. Każdy szelest, spadająca szyszka czy przebiegająca wiewiórka to powód do niepokoju. Mijają bezsenne godziny. Z psem raźniej. A burza nocą! Lubię stać w oknie i czekać na błyskawice. Wtedy domki, pola, wszystko wygląda jak



Mazury, w siódmym miesiącu ciąży z Jaśkiem

dekoracja teatralna. Zjawiskowo. A sama błyskawica? Boże, jak tu się nie bać. Chyba lubię się bać. Stąd pewnie ukochanie szybkiej jazdy samochodem. Właściwie w ogóle jazdy. Mogę jechać nawet daleko, prowadząc sama. Czuję się wtedy wolna. Panuję nad potwornym smokiem. Chcę w prawo — proszę bardzo, w lewo — to w lewo. Lubię mieć przy tym włączone radio.

Czasem wszystkie gałki w prawo i rycząca, podniecająca muzyka. Najlepiej, żeby była sucha nawierzchnia, ale jak lód czy śnieg, to bardzo ostrożnie (pędzimy — 40 nie schodzi z licznika, jak mawiał Florek, były muzyk). Ciekawie się robi, kiedy usiłuje mnie wyprzedzić jakiś wspaniały mężczyzna we wspaniałej maszynie. Oczywiście ścigamy się. Wilgotnieją

mi ręce z przejęcia, ściska w dołku — uwielbiam to. Zawsze marzyłam, żeby wystartować w rajdzie, nie udało się. Namawiałam się kiedyś z Kasią Frank — córką Ksawerego, obecnie żoną Zbyszka Niemczyckiego. Kasia miała być pilotem. Nic nie wyszło. Teraz wiem, że do tego potrzebne są spore pieniądze. Auto musi być odpowiednio podrasowane, jakaś stajnia, zastępy mechaników. Jeszcze w szkole średniej, zachwycona czytałam o wyczynach rajdowych Sobiesława Zasady. Najpierw jeździł on bodaj steyer-puchem, no, a potem było porsche. Moja fascynacja osobą mistrza trwa do dzisiaj. Porsche to chyba jedyny obiekt mojej nieprzerwanej miłości. W roku siedemdziesiątym trzecim pojechałam z grupą kolegów do Berlina (Zachodniego) — m. in. Tadek Woźniak, Alibabki, na jeden jedyny koncert transmitowany przez tamtejszą telewizję. Jeden jedyny, ale za to dobrze płatny. Postanowiłam kupić używany samochód. Vis-à-vis naszego hoteliku znajdował się salon samochodowy, gdzie za pięknymi, błyszczącymi oknami wystawowymi stały przechodzone, ale wypucowane i pachnące jak nowe maszyny. W tym zielony volkswagen-porsche 914 ze zdejmowanym dachem



Ja i ukochane porsche

i czerwony opel GT. Piękny. Właśnie na nim spoczęło moje oko. Niestety, brakowało mi paru tysięcy marek. Zielone чудо było trochę tańsze, co nie znaczy, że mogłam sobie na nie pozwolić, ale...

W tym samym hotelu mieszkał szef międzynarodowej federacji festiwali — Bułgar, niejaki Genko Genov. Załatwiał jakieś sprawy /wiązane z niemiecką karierą zniewieściałego, przypudrowanego bułgarskiego piosenkarza. Znał mnie z różnych akcji festiwalowych. Jeszcze nawet nie zdążył mnie zagadnąć, a już dowiedział się o moim marzeniu. Zaproponował pożyczkę. Mało tego. Powiedział: *wysokość nie gra roli*, a machając ręką dodał: *oddasz, jak będziesz miała*. Ostrożnie pożyczyłam tylko tysiąc marek i pogalopowałam do sklepu. Kiedy wsiadłam do zielonego, wiedziałam, że z niego nie wysiądę. Wyjechałam na zaciągniętym ręcznym hamulcu, z dziwnie podniesionym tyłem. Troszkę mnie dziwiło, że opornie jedzie, ale pomyślałam: poczekaj, na autostradzie przyciśniemy. W lusterku zobaczyłam biegnącego za mną sprzedawcę, nerwowo machającego rękami. Ucieszyłam się, że tak mnie żegna. Chłopina, jak się okazało, dawał mi rozpaczliwe znaki, że nieszczęsny hamulec za chwilę się spali. W rzeczy samej, po chwili poczułam podejrzany śwąd. Podjechałam pod hotel. Wrzuciłam walizki i gitarę do bagażników. Tak, bagażników, jeden był z przodu, drugi z tyłu. Mój pianista i kompozytor Jacek Miкуła usiadł obok mnie. Zdjęliśmy dach i wio! Od razu zrobiłam mu sprawdzian szybkości. Jechał pod dwieście. Trochę się przy tym trząsał, bo jak się później okazało, miał spawaną ramę, był malowany i w ogóle maszyna z przeszłością. Poza tym może trochę nierozsądne było pędzić na łeb na szyję w deszczu po niezbyt równych enerdowskich autobahnach. Nie była to zresztą jedyna moja lekkomyślność.

Na pierwszej stacji benzynowej, czerwona z zażenowania, nie mogłam znaleźć wlewu paliwa. Jeszcze lepiej było z wlewaniem oleju przed hotelem w Dreźnie. Nie ma silnika. Z przodu bagażnik, z tyłu to samo. Wreszcie jest. Przykryty wąską klapką, wciśnięty między siedzenia i tylny bagażnik. Żeby się do niego dostać, trzeba było pociągnąć specjalną łapkę. No więc silnik się znalazł, ale co z wlewem oleju? Nie ma jak polska pomysłowość! Jacek — kolejny gigant samochodowy —



Porsche, Marek Grechuta i ja, Kraków 1977

zrobił z gazety lejek, wyciągnęliśmy bagnet i pomalutku, połowę wylewając, przelaliśmy całą puszkę, komentując przy tym niemieckie niedbalstwo: *Patrz pan, a mówią, że to taki praktyczny i dokładny naród.*

Bardzo szybko zaczęły się nowe kłopoty. Nikt nie chciał zająć się naprawami. Trochę mnie ratował serwis volkswagena, trochę znajomy mechanik Czeška Niemena — niejaki Antoś. Ale przyjemności z jazdy było sporo. Autko było zrywne, miało otwierane i zamykane światła, zdejmowany dach, no i porsche w nazwie. A ile złośliwej satysfakcji miałam w NRD, gdzie ludzie latami czekali na trabanta, a wyjechać za granicę mogli — jak głosił dowcip — w momencie ukończenia osiemdziesiątego roku życia i okazania na piśmie zgody obojga rodziców.

Moja bułgarska pożyczka miała swój dalszy ciąg. Otóż w parę lat później na festiwalu sopockim ów dżentelmen, persona numer jeden

wszystkich światowych konkursów piosenkarskich od Bratysławy po Tokio, został nagle aresztowany. Wszędzie chroniła go specjalna drużyna goryli, a tu taka wpadka. Rzekomo był szpiegiem i w suszonej kiełbasie z bułgarskiego osła, zwanej łukanką, przewoził wrogie mikrofilmy.

Minęło znowu parę lat. Ostatniego dnia mojego kolejnego udanego tournée po Bułgarii otrzymałam telefon od żony naszego miłego szpiona: jest jej przykro, ale że nie ma z czego żyć, musi się upomnieć o zwrot długu. Trudno. Z bólem serca (pieniądze miałam oczywiście na coś przeznaczone) oddałam jej na lotnisku całą krwawicę.

2.

Nad moim pierwszym porsche w ogóle ciążyło jakieś fatum. Raz zimą uderzyłam nim w skałę w okolicach Wodogrzmotów Mickiewicza w drodze z Morskiego Oka, innym razem, jadąc po siodło do jazdy konnej z Agnieszką Osiecką między Piszem a Krzyżami uderzyłam w drzewo...

Ale po kolei. Zaraz, zaraz, jakie fatum? Przecież za sprawą volkswagena-porsche'a 914 poznałam Daniela Olbrychskiego. A było to tak. Pod koniec 1973 roku wyruszyłam na trasę koncertową pod tytułem „Muzykorama”. Zaczęliśmy od Olsztyna, następnym miastem miał być Lublin. I był. Tyle że po koncercie spadł duży śnieg, a dawno, dawno temu zimy były jak trzeba. Na drogach żywy lód. Ja po lodzie samochodem niechętnie. Po prostu nie umiem. Postanowiłam zostawić auto w mieście PKWN i dalej udałam się autokarem razem z grupą. Natomiast mój menażer, znany w branży Andrzej Smereka, pojechał do Warszawy i idąc ulicą spotkał Daniela. Wpadł mu do głowy pomysł. *Nie chcesz się przejechać dobrą maszyną? — Czemu nie —* odpowiedział Kmicic (był to czas „Potopu”), i nie mówiąc nikomu — zwłaszcza żonie — pojechał pociągiem osobowym — nocnym zresztą — do Lublina. Wrócił volkswagenem-porsche i wysłał do mnie bardzo zaczepną kartkę, mniej więcej tej treści: „Nieznani fetyszyści porwali Pani

samochód, tułę się do kierownicy (na razie)”. O, kolego! Niebezpieczny krok. Grozi śmiercią lubkalectwem.

Z wypiekami na twarzy dążyłam do spotkania. Pośrednikiem był jeszcze ciągle Smereka. A więc zaproszenie do Teatru Narodowego na ostatnie przedstawienie „Hamleta”. Ja w łoży na piętze — Hamlet rewelacyjny, w dodatku ciągle posyłał w moim kierunku płomienne spojrzenia. Byłam trafiona. Natępny ruch należał do Daniela. Umówiliśmy się na jazdę konną w klubie „Horyzont” na Legii. To była chyba niedziela, bardzo wcześnie, spotkaliśmy się na ulicy. Jechaliśmy moim samochodem. W stajni Daniel mnie zniecka pocałował. Był w butach do konnej jazdy, pachniał potem i koniem — jak na prawdziwego kowboja przystało. Zakochałam się. Mimo to docierało do mnie, że Daniel ma żonę, kilkuletnie dziecko. Stwierdziłam, że nie mam żadnych szans. Zdesperowana wyjechałam na długie tournée do NRD. Otrzymałam tam tytuł najlepszej piosenkarki roku. Na wielkim balu uwiodłam niemieckiego pianistę do złudzenia podobnego do wymarzonego Daniela. Nie śpiąc ani minuty pojechałam do Berlina, gdzie nagrałam zmęczonym, ale w dużej formie głosem pieśń skomponowaną dla mnie przez Niemena do pięknego tekstu Jonasza Kofty „Kiedy się dziwić przestanę”. Z dużą orkiestrą i świetnym chórem Gerda Michaelisa. Aranżował Ptaszyn-Wróblewski.

Oto fragment tekstu:

*Kiedy się dziwić przestanę,
gdy w mym sercu wygaśnie czerwień,
swe ostatnie, niemądre pytanie
nie zadane, w połowie przerwę. -
Będę znała na wszystko odpowiedź,
ubożuchna rozsądkiem małym
czasem tylko zapłacę sobie
łzami z ckliwej i głupiej piosenki.
I nic we mnie, nic kolo mnie.
Kiedy się dziwić przestanę —
będzie po mnie...*

I było po mnie, i płakałam łzami z ckliwej i głupiej piosenki...

3

Szukaliśmy siebie. Zaczęliśmy się spotykać... Ja nie miałam wtedy żadnego locum. Pomieszkowałam przez ostatni rok w kuchni mojego pracownika technicznego Witalisa, zwanego pieszczotliwie „Elephantem”. Za szafę służył mi wielki plastikowy worek, do którego wrzucałam wszystkie ciuchy. Chcąc się przebrać na przykład w czerwoną bluzkę, wypatrywałam czerwonego — worek był przezroczysty. Zanurzałam rękę, wyciągałam, prasowałam i wychodziłam na randkę. W końcu wynajęłam dwupokojowe mieszkanie na Żoliborzu. Daniel był coraz częstszym gościem. Zaczął się wtedy uczyć intensywnie angielskiego. Pobierał lekcje u pewnego Amerykanina — Dicka. Nagrywał wszystkie lekcje na kasyety. Uczył się bez przerwy i wszędzie. W domu, w samochodzie. Taki był zawsze. Perfekcjonista we wszystkim, co robił. Świetnie prowadził samochód, a że jeździł wtedy trabanciną, zabawnie wyglądał jego numer popisowy na lodzie, kiedy w dużym pędzie zaciągał hamulec ręczny i zmieniał kierunek jazdy. Pasażerowie umierali ze strachu i podziwu, a o to chodziło. Lubił też zapalać, niby od niechcenia, zapalną o podeszwę buta. Zawsze robiło to wrażenie. Albo ukrywając w ręku pudełko zapalek, trzymając w palcach zapalną, przykładał ją do ucha i błyskawicznie zapalał. Szczęki opadały ze zdziwienia. Numer z podeszwą widziałam w wykonaniu Daniela również niedawno. Zawsze mnie to śmieszy, co z kolei bardzo denerwuje mojego męża.

Wynajęte żoliborskie mieszkanie zaczęło być namiastką domu. Dick dał mi przepis na pyszne bitki cielęce, duszone z dużą ilością cebuli. W tym czasie grałam dużo koncertów, jeździłam po Polsce, NRD, Czechosłowacji, a w przerwach dusiłam cielęcinę z cebulą. Tak mijały miesiące. Daniel grał w „Ziemi obiecanej”. Właśnie miał zdjęcia w Cieszynie — w cudnym, starym teatrze. Ja akurat zaczynałam czeską trasę w miejscowości oddalonej od granicy bodaj o siedem kilometrów.

Jedziemy razem maluchem Daniela. Ja z przodu, z ogromną gitarą.



Pół Olbrychskiego, pół Rodowicz

Rozśpiewuję się jego ulubioną „Małgošką”. Od granicy wiezie mnie czeski celnik prosto do amfiteatru, na scenę. Jestem mocno spóźniona. Tłum czeka. Muzycy, nie mając nadziei na mój przyjazd, popili się piwem. Największe problemy ma pianista, Jacek Miłkoła. Zaczyna już grać obok klawiatury. Męcę się jak potępieniec. Nic tak nie wprowadza mnie z równowagi, jak niedokładnie grający pijany muzyk. Po odegranej „sztuce” przedostaję się z powrotem do Cieszyna — do Daniela. Czekam w ciemnej teatralnej szatni. Wstydę się ekipy filmowej, która zerka na mnie zaintrygowana i poszeptuje po kątach. Po zdjęciach pędzimy zdyszani do stareńskiego hotelu „Pod Jeleniem”, przemianowując go na „Pod Danielem”. Zdarza się, że Daniel przyjeżdża do mnie na parę godzin do dalekiego Drezna, ja do Daniela do bliższej Łodzi, do obrzydliwego Hotelu Mazowieckiego. Raz nawet jadę do zdecydowanie dalekiej Moskwy, gdzie mój ukochany gra z Teatrem Narodowym. Na lotnisku Szeremietiewo czeka na mnie legendarny Wołodia Wysocki — wielki idol i przyjaciel Daniela. Ja strasznie zażenowana. Obserwuję jak przypadkowi ludzie, celnicy, wszyscy z czcią i miłością patrzą na Wysockiego. Wiezie mnie białym mercedesem, co już samo w sobie jest zjawiskiem na moskiewskiej ulicy, do swojego mieszkania. Pod domem tłumek fanów koczujący dzień i noc. Budynek zamieszkały zdaje się głównie przez artystów, czysta klatka schodowa, domofon. Jedziemy do teatru — do Daniela. Wieczorem u Wołodii bankiet. Jakaś piękna aktorka rosyjska z przeczystą cerą, o długiej szyi, przychodzi też na chwilę Nikita Michalków — wielki reżyser. Wołodia oczywiście śpiewa. Wszyscy porażeni. Daniel prosi, żebym zaśpiewała. Boże, ja przed nim. Biorę gitarę i próbuję „Wróć chłopcy z wojny”. Wysocki słucha nieuważnie. Ożywia się, kiedy przechodzę w górne rejestry. Mój mocny, zachrypnięty głos bardziej go interesuje niż wcześniejsze cienkie zawodzenia. Później Wołodia znika w swoim gabinecie i odbywa parogodzinną rozmowę z Paryżem — z ukochaną Mariną Vlady. Potem jeszcze pisze dla niej wiersz. Idziemy spać, i to jak! Dostajemy z Danielem łóżko Mariny.



Włodzisław Wysocki

4.

W 1975 roku Daniel został zaproszony na wielki obiad w Urzędzie Rady Ministrów, wydany z okazji 30-lecia Polski Ludowej. Poszliśmy razem — ja jako osoba towarzysząca. Kogo tam nie było. Właściwie tylko Gomułki. Przy deserach dosiadł się do nas Cyrankiewicz. Przez cały czas pod stołem trącał mnie kolaniem i co parę minut pytał: *Czy ja już cię prosiłem o numer telefonu?* Wychodząc spotkaliśmy podochoconego Moczara, który na mój widok głośno zaczął śpiewać piosenkę Steni Kozłowskiej (może nas pomylił?) „...daj, co masz najlepszego, daj...”

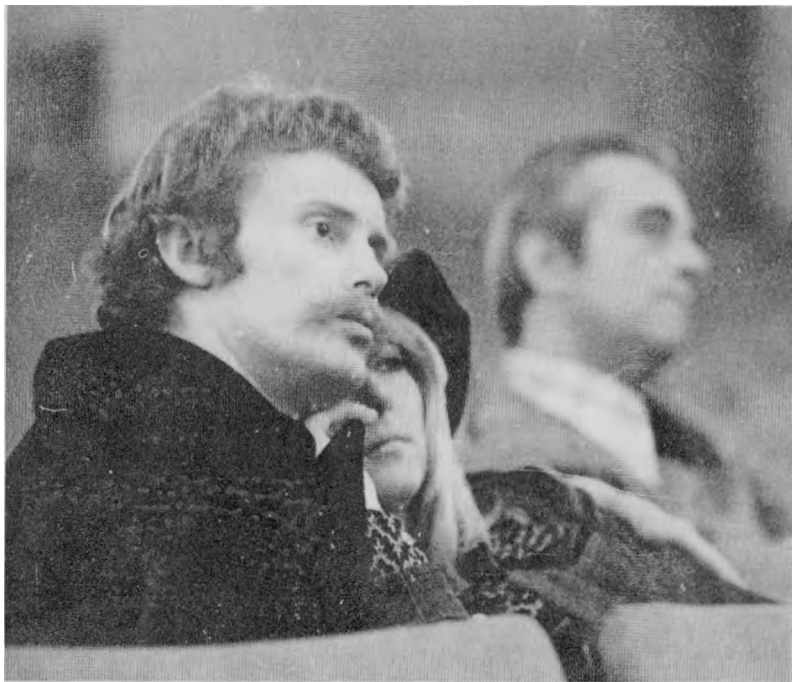
Natknęliśmy się jeszcze kiedyś na niego w Dreźnie, gdzie był... dyrektorem Instytutu Kultury Polskiej. Podpisywałam tam swoją niemiecką płytę. Zaprosił potem mnie i Daniela na wódkę do jakiejś pakamery.

Daniel nie bardzo dobrze czuł się ze mną w takim NRD na przykład. Wyraźnie cierpiał z powodu swojej mniejszej popularności w tym kraju.



Ja, Daniel i Moczar w Dreźnie

Raz się ożywił, kiedy spotkaliśmy na ulicy wycieczkę szkolną z Polski. Otoczył go tłum panienek i znowu był gwiazdą. Kiedyś nawet znalazłam się w Berlinie (wschodnim) wraz z delegacją polskich filmowców.



Z Danielem na próbie teatralnej w NRD (w głębi Andrzej Łapicki)

Pokazywano „Wesele” Wajdy. Zebrałam największe brawa i czułam się niezręcznie — zważywszy na towarzystwo gigantów kina.

Jeszcze raz zdarzyło mi się być na festiwalu filmowym, tym razem w Gdańsku, gdzie „Potop” otrzymał główną nagrodę. Daniel nachylił się wtedy do mnie i powiedział: *Kmicic jest twój — ofiarowuję ci tę kreację*. Byłam bardzo ważna i szczęśliwa.

Razem natomiast wystąpiliśmy w przedstawieniu Kaśki Gärtner i Ernesta Brylla „Zagrajcie nam dzisiaj wszystkie srebrne dzwony”.

W obsadzie same gwiazdy: Niemen śpiewający „Lipową łyżkę”, Stan Borys stąpający po biało-czerwonej fladze i niosący bochen chleba, Halina Frąckowiak; Jerzy Grunwald wykręcając nogi na podwyższonych obcasach brnął przez piasek areny (wystawiane to było w cyrku). Najpiękniejszą piosenkę śpiewał Marek Grechuta z Alibabkami: *...ta ziemia taka czysta, jakby umieciona skrzydłem aniołów...* Zachwycający tekst, do tego oryginalna muzyka i delikatny Marek. Całe to przedsięwzięcie zostało wymyślone i zamówione przez wojsko, a premiera odbyła się 9 maja, a więc w dzień zwycięstwa. Finałową zresztą piosenką był utwór ze słowami „Zwycięstwo, zwycięstwo, zwycięstwo”... Ciekawostka. Reżyserował to Krzysztof Jasiński — młody artysta krakowski, mający na swoim koncie już duże teatralne sukcesy. Bardzo mnie intrygował ten przystojny mężczyzna o mrocznej urodzie i stałym, przenikliwym spojrzeniu. Nie wszystkim podobały się jego niektóre pomysły inscenizacyjne — deptanie polskiej flagi, gloryfikowanie zwycięstwa, ordery. Były to lata głębokiego komunizmu i najwyżej można było nie brać udziału w takich akcjach. Większość z nich służyła oczywiście propagandzie i była bardzo nagłaśniana.

Ale może ja już będę pisała raczej o Danielu. Otóż zaproponowano, żebyśmy piosenkę „Wróć chłopcy” wykonali na festiwalu piosenki żołnierskiej w Kołobrzegu. Daniel nie bardzo chciał śpiewać na żywo, miał typowe dla aktorów kłopoty z frazą. W końcu zaśpiewaliśmy z playbacku, a nasz występ wycięto z transmisji telewizyjnej.

Pojechaliśmy również razem, jako wykonawcy, do Koszalina na dożynki. Wróciłam do Warszawy sama, obrażona śmiertelnie na Daniela za to, że zawieruszył się po koncercie w namiocie delegacji torunianek. Pamiętam świeżo z tej okazji pomalowane elewacje koszalińskich domów. Malowano, rzecz jasna, tylko ściany od ulicy, potem krawężniki na białą, trawę na zielono, zawieszano jabłka na drzewach i gotowe. Pełna dekoracja.

Zabawnie było również, tyle że z innego powodu, w Czechosłowacji na koncercie zorganizowanym z okazji dni przyjaźni młodzieży czesko-polskiej. Przerażeni czescy organizatorzy przylatywali do Daniela błagając, żeby nie mówił tak rewolucyjnie „Ody do młodości”, bo nie

daj Boże, mogłoby to stać się powodem jakiejś ruchawki, i młodzi czescy komuniści naprawdę chcieliby ruszyć z posad bryłę świata. Danielowi w to graj. Obiecował nam, że dopiero na koncercie przycisnie. Czesi próbowali udaremnić te plany. Ilekroć Daniel pojawiał się na scenie, tyle razy oni puszczaali taśmę z jakąś piosenką. Po paru takich próbach, ku ucieście zgromadzonej gawiedzi, Daniel w końcu wyrecytował płomiennie swoją „Odę” i, niestety, nic się nie stało. Ale i tak najbardziej podobał się Stan Borys. Kiedy tylko zaczął: — *Szukam przyjaciela, co mi rękę poda* — zerwała się burza oklasków, a śmiechem i żartem nie było końca. Okazało się, że „szukam” w potocznym języku czeskim znaczy zupełnie co innego i ma związek z kochaniem się, tyle że dość wulgarnie.

5.

Wynajęliśmy duże, piękne mieszkanie przy I Armii Wojska Polskiego (dziś znowu Szucha). Płaciliśmy po połowie. Daniel grał w tym czasie strasznie dużo recitali. Były to właściwie spotkania z publicznością, gdzie opowiadał o swoich rolach, recytował, śpiewał. Akompaniował mu słynny Cezary Owerkowicz, niegdyś cudowne dziecko polskiej pianistyki. To właśnie Czarek wydzwaniał do empików, organizował — im więcej, tym lepiej. Często grali po trzy, cztery imprezy dziennie. Daniel wracał wykończony. Robił to oczywiście z konieczności. Spore pieniądze przeznaczał co miesiąc na utrzymanie żony i dziecka, a gaże teatralne czy filmowe były raczej marne. Za to latem braliśmy dwa konie i jechaliśmy do pięknie położonego Drohiczyzna nad Bugiem. Tam mieszkaliśmy w maleńkim domku z ganeczkiem — po Danielowej babci. W środku była właściwie tylko jedna izba ze starym żelaznym łóżkiem. Myliśmy się w misce, lodowatą wodę nosiło się ze studni. Materac był stareńki i pośrodku miał wygnieciony dół, w który oczywiście, chcąc nie chcąc, staczaliśmy się nocą. Nasze życie, niestety, coraz bardziej przypominało ten materac, mimo że czepialiśmy się jeszcze brzegów.



Z Danielem w Drohiczyńcu

Pierwszy rok spędzony w Drohiczynie był jeszcze wspaniały i bez troski. W ciągu dnia jeździliśmy konno do upadłego, wieczorami przesiadywaliśmy na ganku albo w klasztorze, u znajomego księdza. Był to czas olimpiady w Montrealu. Ksiądz, mimo że mieszkał po spartańsku w celi klasztornej, miał kolorowy telewizor i gorąco zapraszał nas na transmisje sportowe. Przychodziliśmy pod wieczór, ksiądz mówił: *Poczekajcie, kochani, chwileczkę — ja skoczę odprawić mszę dla siostrzyczek, a w międzyczasie spirytus się przegryzie z miodem.* Wracał, stół był już zastawiony przysmakami własnej roboty przez uśmiechnięte, skromniutkie szarytki i zaczęliśmy. Spirytus na miodzie ma działanie zabójcze i podstępne. Pije się to bardzo przyjemnie, zachowując przytomność umysłu, tyle że kiedy człowiek próbuje wstać, okazuje się to prawie niewykonalne. Napój wchodzi w nogi i potem trzyma wiele godzin.

Następne wakacje były już nieco inne. Mniej galopów, za to więcej biesiad. Któregoś dnia Daniel pojechał z sąsiadem wozem zbierać siano z odległego pola. Miało się na burzę. Burza się przewaliła. Panowie podejrzanie długo nie wracali. Opowiadali, jak to późną nocą pioruny zaskoczyły ich w polu. Kompletnie mokrzy i zmarznięci dobrnęli do pierwszej lepszej chałupy, a że byli głodni, alkohol zupełnie zwałił ich z nóg. W dodatku Daniel, kiedy po powrocie zobaczył, że mnie nie ma w łóżku (musiałam szukać dachu nad głową u sąsiada — nie miałam klucza), osiodłał konia i pocwałował w kierunku karczmy, gdzie wjechał konno po schodach do środka — jak Wieniawa do Adrii.

Z czasem biesiady zaczynały się coraz wcześnie, nawet już od śniadania. Stołował nas miejscowy restaurator. Przechodził sam siebie. Stół śniadaniowy wyglądał jak wielkanocny. Śniadania-obiado-kolacje z nieustannymi toastami trwały w nieskończoność. Biedne konie, nie jeżdżone regularnie, coraz częściej się urywały i trzeba je było ganiać po całej wsi.

Jedno jest pewne. Z Danielem na pewno człowiek się nie nudzi, tyle że bywa to męczące, a życie rodzinne trochę na czymś innym polega. Najmilej wspominam podróż konno z Drohiczyna do Warszawy. Ponad sto kilometrów lasami, polami, bezdrożami. Spanie po stodołach, wstępowanie do przydrożnych knajp, do kowala. Jak na kowbojskim filmie. Okoliczna ludność była zresztą przekonana, że jest świadkiem



Drohiczyn 1976, ten jeździec obok to Daniel Olbrychski

kręcenia jakiegoś filmu. Mnie też się to udzielało. Nasza podróż kończyła się w Stanisławowie pod Warszawą, gdzie mieszkali znajomi koniarze. Tam poznaliśmy Mietka Wilczka, który akurat po sąsiedzku przyjechał (konno zresztą), bodaj pożyczyć trochę soli.

Z czasem staliśmy się jego częstymi gośćmi. Mietek był czarującym gospodarzem. Zaimponował nam poczuciem humoru i rozmachem. Miał ogromną posiadłość — chyba ze trzydzieści hektarów i po godzinie galopowania mówił: *To jeszcze moje*. Piękny dom, przesiadywania przy kominku. Basen, korty, świetne jedzenie. Mietek miał swoje dania popisowe. Sprowadził specjalnie krowy z Danii — chyba rasy jersey, żeby mieć dobrą śmietankę do kawy. Może to sugestia, ale takiej kawy nigdy później już nie piłam. Z tego mleka robił pyszne sery, które nazywał umrzykami. Specjalnie przyprawiane zakopywał na jakiś czas do ziemi. Były rewelacyjne. A jakie robił mięsa!

W interesach był niespokojnym duchem. Bez przerwy coś wymyślał, budował, rozwijał. Ciągłe mówił: *Wymyście mi jakieś zadanie, może kupić teatr, w coś zainwestować*. Bardzo nam się to podobało. Trzeba pamiętać, że była połowa lat siedemdziesiątych, a więc czasy nietłuche dla tzw. prywatnej inicjatywy. Wilczek chciał poznawać ciekawych ludzi. Wyraźnie mu się nudziło samemu w tym wielkim domu. Mam podejrzenia, że jednak najbardziej potrzebował wtedy dużej miłości, powinien się zakochać.

Mniej więcej w tym czasie zdążyłam jeszcze wziąć udział w uroczystym otwarciu mistrzostw świata w piłce nożnej w Monachium. Najbardziej przeżyłam przemarsz z polską ekipą po bieżni ogromnego stadionu. Kiedy podniosłam głowę, zobaczyłam mrowie ludzi siedzących na trybunach i ogarnął mnie „klaustrofobiczny” strach. Jeszcze gorzej się poczułam w wielkiej piłce, w której siedziały grupy artystyczne reprezentujące poszczególne kraje. Kilka godzin, stłoczeni jak śledzie w beczce, nie mieliśmy czym oddychać. Żeby zaczerpnąć powietrza, podchodziliśmy do wąskich szparek na złączeniach elementów wielkiej piłki. No a potem to już były nieprawdopodobne sukcesy polskiej drużyny.

6.

Kiedyś, pod koniec lipca, zadzwonił do mnie Daniel Passent, a więc Czarny Daniel, w odróżnieniu od Daniela Białego. *Może byś skoczyła na Mazury — do Krzyży i zawiozła Agnieszce trochę prowiantu*. Proszę bardzo. Pojechałam.

Następnego dnia w Krzyżach nie wiadomo dlaczego uparłam się, żeby pojeździć konno. Ktoś nam powiedział, że siodło ma jakiś człowiek w oddalonej o trzynaście kilometrów wsi. Jedziemy. Ciepło, dach zdjęty. Stara, boczna droga i okropny zakręt w prawo. Okropny, bo zacieśniający się, to znaczy, że zakręt, który w zasadzie powinien się kończyć, dopiero się zaczynał. W dodatku był niewidoczny — zasłonięty zbożem. Samochód zaczął wpadać w poślizg. Próbowalam go wyprowadzić. Ze

slrachu za mocno skrzyłałam kierownicą w drugą stronę i uderzyłam w drzewo prawym przednim kołem. Samochodem zakręciło, rzuciło przez rów i znalazłyśmy się w polu tuż nad rowem melioracyjnym.

Kiedy się ocknęłam, usłyszałam śpiew ptaków i zobaczyłam fruujące motylki. Przymotnie wyjęłam kluczyki ze stacyjki. Agnieszka z zamkniętymi oczami obmacywała ręką moją twarz. Po chwili poczułam okropny ból w lewym udzie. Nie byłam w stanie się ruszyć. Byłam przekonana, że mam złamaną nogę. Rzepka była zupełnie przesunięta. Agnieszka wydołała się górą (drzwi się nie dało otworzyć) i zatrzymała lakąś nyskę. Cały wypadek obserwował mały, może dziesięcioletni chłopiec, który skomentował to krótko: *Glupie baby, mają więcej szczęścia niż rozumu*. Niestety, miał rację. Po prostu jechałam za szybko. To był zakręt na jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt, a ja jechałam dziewięćdziesiąt na godzinę. Kretynka i już. Nyska dowiozła nas do Krzyży. Po paru godzinach przyjechał Czarny Daniel i zrobił koszmarną awanturę, co nie było przyjemne, zważywszy nasz stan. Ja — noga, Agnieszka wstrząs mózgu — jak się później okazało. Zdenerwowanie Daniela brało się z tego, że w drodze z Warszawy na Mazury wpadł samochodem do rowu. Wiózł w dodatku znajomą Amerykankę, a tu kolacja nie przygotowana. Przymotnie zachował się jedynie Mietek Rakowski, mieszkający w leśniczówce Pranie. Zawiózł nas do szpitala i zajął się wyciąganiem rozbitego samochodu. Nie było to proste w niedzielę. Udało mu się w końcu załatwić ciężarówkę z dźwigiem i wysłać ją razem / porsche do Warszawy.

Żeby było śmieszniej, Daniel Biały, nie mogąc się mnie doczekać (miałam dojechać wieczorem do Spatifu) z tej rozpaczki pojechał z Magdą Umer do Kamieniólomów. Tam spotkał towarzysko usposobioną rosyjską wycieczkę i kiedy w wyraźnie lepszym humorze wracał do domu, uderzył maluchem w autobus wiozący pierwszą zmianę do pracy...

Wróciłam do Warszawy. Z nogą nie było najlepiej. Od kolana w dół, czyli podudzie ruszało się na boki. Zerwane były więzadła przyśrodkowe. Konieczna była operacja. Wykonał ją profesor Weiss — król centrum rehabilitacji w Konstancinie. Zналиśmy się jeszcze z czasów studenckich, kiedy grzebał mi dla odmiany w stawie barkowym. W liceum nabawiłam



Z prof. Marianem Weisssem w Konstancinie po koncercie charytatywnym, 1980

się nawykowego zwknięcia stawu: wystarczyło kichnąć czy zamykając drzwi odwrócić się nagle i ramię wyskakiwało ze stawu. Okropne. W dodatku studiowałam przecież na AWF. Bałam się, że na pływalni, w sali gimnastycznej czy na zajęciach z judo, ręka w końcu zacznie mi „wyskakiwać”. I zaczęła. Weiss powiedział: *Albo operacja, albo będziesz*

mogła najwyżej stemplować znaczki na pocztce. Podałam się operacji. Potem trzy miesiące przesiedziałam w Konstancinie. Po zdjęciu gipsu nie mogłam wykonywać właściwie żadnych ruchów. Rehabilitacja trwała wiele miesięcy; była bardzo przykra i bolesna.

Jednak bardzo chciałam wrócić na uczelnię. I wróciłam, i prawie skończyłam. Prawie, bo brakuje mi do dziś kilku egzaminów. Nawet niedawno znowu przymierzałam się ambitnie do tego przedsięwzięcia. Ale skończyło się na przymierzaniu.

Mój drugi pobyt w Konstancinie trwał o wiele krócej. Właściwie po dwóch tygodniach, jeszcze w gipsie, wybłagałam zwolnienie do domu. W szpitalu było bardzo dużo młodzieży. Ktoś przyniósł gitarę. Jeździłam zagipsowana w wózku inwalidzkim od sali do sali i śpiewałam. Leżało tam mnóstwo ludzi unieruchomionych często do końca życia. A może, gdyby moje życie potoczyło się inaczej, pracowałabym właśnie tam, prowadząc zajęcia z rehabilitacji?

Z Konstancina na Żoliborz, gdzie chwilowo mieszkaliśmy, wioził mnie Daniel. Wioził mnie oczywiście brawurowo. Ja, mając świeżo w pamięci wypadek, przeplakałam wszystkie zakręty. Daniel mówił: *nie bój się, musisz zapomnieć i odważyć się jeździć znowu szybko.* Kiedy weszliśmy do mieszkania i postawiłam nogę na dywanie, biały gips zrobił się czarny od pcheł. Mieszkał u nas mały kotek, wzięty ze stajni w Starej Miłosnej. Był oczywiście zapchlony i to takimi pchłami odpornymi na różne proszki, maści, obróżki. Uciekliśmy na czas dezynsekcji do Grand Hotelu.

W Pagarcie leżał stos kontraktów enerdownskich. Musiałam zacząć grać. Zdjęłam gips i w trasę. Najgorzej było na scenie. Ponieważ nie mogłam zginać nogi, z trudem podnosiłam gitarę. Chodziłam mocno kulejąc, a w hotelu po nocach wydłubywałam resztki szwów z kolana. Dziś za to, mimo tych dwóch poważnych kontuzji, gram całkiem dobrze w tenisa, poruszając się dość żwawo po korcie.

Samochód po wypadku remontował się bardzo długo. Chyba z pół roku. Był spawany, klepany, malowany. Odwiedził kilka warsztatów, między innymi słynnego Błażeja Krupy. Kiedy wreszcie go odebrałam, z przejęcia wjechałam w jednokierunkową ulicę. Zaczął mnie gonić

radiowóz. Ja — gaz do dechy i do przodu. Oni włączyli koguta. Nie wiedziałam co robić. Skręciłam w jakieś podwórze, wysiadłam i zapytałam spienionych milicjantów o jakąś bezsensowną ulicę. Byli tak wściekli i zdumieni, że nie wiedzieli co odpowiedzieć.

Postanowiłam sprzedać samochód. Wstawiłam auto w komis do zaprzyjaźnionego pośrednika samochodowego Ksawerego Franka, który mieszkał wtedy na Mokotowie dzieląc mur z generałem Jaruzelskim. Samochód w zasadzie nie nadawał się do jazdy. Mimo to po paru dniach, z powodu jakiejś kłótni z Danielem, wsiadłam w pechową maszynę i pogałam do Łodzi. Nie dane mi było dojechać. Na przedmieściach tego pięknego, fabrycznego miasta stanął w zupełnej ciszy. Pierwszy zatrzymał się samochód jakiegoś „ściganta”. Szybko dobiliśmy targu na szosie. Poszedł za pół ceny. Potem kupiłam od Jerzego Połomskiego — też zielonego — fiata 1300 ze sportowymi pretensjami. Sprzedałam go Markowi Grechucie, który wkrótce zderzył się nim czołowo z maszyną malującą linie na szosie. Podejrzewano, że Marek zasnął.

Pamiętam: wracałam kiedyś tym samochodem z jakiegoś bankietu w Bristolu. Aha, to była feta po premierze któregoś filmu Daniela z udziałem ministra kultury — Tejchmy. Poza Danielem wiozłam jeszcze reżysera Hoffmana i jego rosyjską zoneczkę. Na Nowym Świecie zatrzymał nas radiowóz. Jestem przekonana, że dlatego, iż strasznie mi się telepała rura wydechowa. Rura rurą, a ja wypięłam jednak parę toastów. Skończyło się tak, że towarzystwo udało się dalej pieszo, a ja zostałam zgarnięta do radiowozu i zawieziona przez Hożą na Żytnią. Było dosyć zimno, w okolicach zera, a ja w samej sukience musiałam snuć się potem ciemnymi ulicami szukając taksówki. Jedyłą satysfakcją miałam następnego dnia, kiedy po interwencji wiceministra kultury, którego brat był szefem drogówki, dostałam z powrotem prawo jazdy. Na szczęście zawartość alkoholu we krwi nie była kompromitująca, niecałe 0,7 promila.

Zdecydowanie gorzej szło mi z załatwieniem mieszkania. Znajomi podjudzali: *Idźcie, poproście, na pewno coś załatwicie. Wy — takie gwiazdy. Patrzcie, ten reżyser dostał piękne, ogromne mieszkanie w starym*

budownictwie, ten dostał dworek na Żoliborzu, trzeci działkę w środku miasta. W końcu pojechaliśmy do ministerstwa kultury. Daniel czekał w samochodzie. Ja poszłam poprosić o audiencję u Tejchmy. Sekretarka najpierw starała się wybać o co chodzi. Ja kręciłam, że muszę się zobaczyć z panem ministrem, że sprawa prywatna. W końcu, kiedy wydobyła ze mnie, że chodzi o mieszkanie, twardo oświadczyła, że w tej sprawie minister na pewno mnie nie przyjmie, a w ogóle jest zajęty. Wyszłam i za drzwiami rozplakałam się z upokorzenia. Próbowałam jeszcze (za namową szefowej estrady stołecznej — pani Śliwińskiej) w Urzędzie Rady Ministrów. Pani Basia poradziła — *Sluchaj, tam iv Urzędzie siedzi taka miła pani, która się zajmuje sprawami interwencyjnymi, pójdziesz, dyskretnie położysz na biurku zapakowane, wytworne perfumy i powiesz o co chodzi.* Kupiłam wytworne perfumy w Modzie Polskiej, zapakowałam, poszłam i... po pierwsze — pani wcale nie była miła, po drugie — nie wiedziałam, w którym momencie położyć te nieszczęsne perfumy, a kiedy już położyłam, niemiła pani, obrażona, zamachała rękami i powiedziała, żebym się zabierała razem z zawiniątkiem. Dalej więc mieszkaliśmy w wynajętym — ostatnim, jak się okaże — mieszkaniu przy alei Szucha. W czasie drugiego pobytu w Drohiczynie włamali się nam złodzieje. Ukradli przeróżne odznaczenia, których mieliśmy sporo i wypili butelkę świętego samogonu, dostarczanego nam ze wsi.

Któregoś dnia zadzwonił do nas Sobek Zasada i umówił na kolację w Spatifie. Przy gorącym daniu przypomniał sobie, że o tej porze miał być w domu Andrzeja Jaroszewicza. Pojechaliśmy razem. Duża willa na Mokotowie. Andrzej był sam. Po pół godzinie zaciągnął mnie do sypialni. Byłam dość zaskoczona. Posadził mnie na łóżku, wcisnął do ręki gitarę i błagał, żebym mu pokazała chwytty bodajże do „Diany”. Zagrałam, a on zaśpiewał. Był zachwycony.

Minęło kilka miesięcy. Pojechałam z Danielem do Gdańska. Ja na koncerty, Daniel miał jakieś spotkanie. Mieszkaliśmy w hotelu Posejdon. Przed południem ktoś do mnie zapukał. Wszedł Andrzej Jaroszewicz. W pierwszej chwili go nie poznałam. *Czy może mi pani załatwić parę biletów na koncert? Mam tu gości, Szwedów, z którymi kupuję konie.* —

Dobrze, przyjdzie. Przyszli, a po koncercie udaliśmy się do nocnego hotelowego baru. Patrzyliśmy z Danielem zdumieni, gdy Andrzej podszedł do mikrofonu, poszeptał z orkiestrą i zaczął śpiewać jakiegoś starego Presleya. Kiedy sobie już pośpiewał, zarządził: **Idziemy do waszego pokoju.** W składzie: Daniel, Andrzej, ja i Krzysiek Materna przesiadaliśmy do rana. Około siódmej rano panowie stwierdzili, że są głodni. Zamówili jajecznicę z kilkudziesięciu jajek, szampany, kawę. Kiedy po pewnym czasie wszedł kelner i zobaczył śpiącego na łóżku Olbrychskiego, drzemiącego na podłodze Jaroszewicza, zwisającego z krzesła Maternę i krzającą się Rodowicz — zwątpił. Nie wiedział, czy ma się wycofać, czy pomylił pokoje. Zaczęłam niewyraźnie tłumaczyć: **Wie pan, to tak długo trwało, koledzy się zdrzemnęli.** Popatrzył jakoś dziwnie i wybiegł, żeby opowiedzieć w kuchni, co widział.

Po paru godzinach dostałam od pana J. ogromny bukiet kwiatów. Kilkaset goździków. To nigdy nie były moje ulubione kwiaty. Kojarzyły mi się zawsze z ósmym marca, dniem kobiet i wymiętym bukietkiem wręczanym za pokwitowaniem przez spoconych pracowników rady zakładowej. No, ale w takiej ilości wyglądały dużo lepiej. Umówiliśmy się na podtrzymywanie znajomości w Warszawie. Obiecowałam, że zrobię kolduny wileńskie. Ponieważ nijak nie mogłam dostać wołowego łoju nerkowego, sprawa zaczęła wyraźnie się rozplęwać. Andrzej jednak nalegał. W końcu zjawił się z żoną, zwaną w środowisku „piękną praczką”. Miała swoje pralnie w Katowicach, a była rzeczywiście efektowna, choć o dość banalnej urodzie. Z przyjemnością patrzyło się na jej dobrą figurę i naprawdę ładne, niebieskie oczy. Największe wrażenie zrobiła jednak swoim niesamowitym futrem. Rysie syberyjskie. Długi, jasny włos z ciemnymi kropkami. Byłam pełna uznania. Andrzej dotarł parę minut później, zdążył na dole pobić się z żołnierzami o miejsce na parking. Całą kolację przygotowywałam w szaleńczym tempie. Przyszłam do domu w ostatniej chwili. W dodatku zgasło światło. Biegałam w popłochu z mokrą głową, nie mogąc dostać się do korków. Kiedy w końcu na pół godziny przed przyjściem gości zapaliło się światło, nie zdążyłam już niczego wyprasować, owinęłam się więc plażową sukienką i rzuciłam do produkowania strogonowa. Przez cały

w wieczór żona Andrzeja z niepokojem zerknęła na moją rozchyłającą się spódnicę. Andrzejowi wyraźnie się to podobało. Danielowi po paru szybkich kieliszkach było właściwie wszystko jedno. Wieczór skończył się u Wilczka w Stanisławowie.

Rano Andrzej, chcąc nam wszystkim zaimponować, skoczył do Warszawy po swoją wyścigową lancję. Przewiózł mnie po polnej ścieżce,



Andrzej Jaroszewicz z Krzysztofem Komornickim

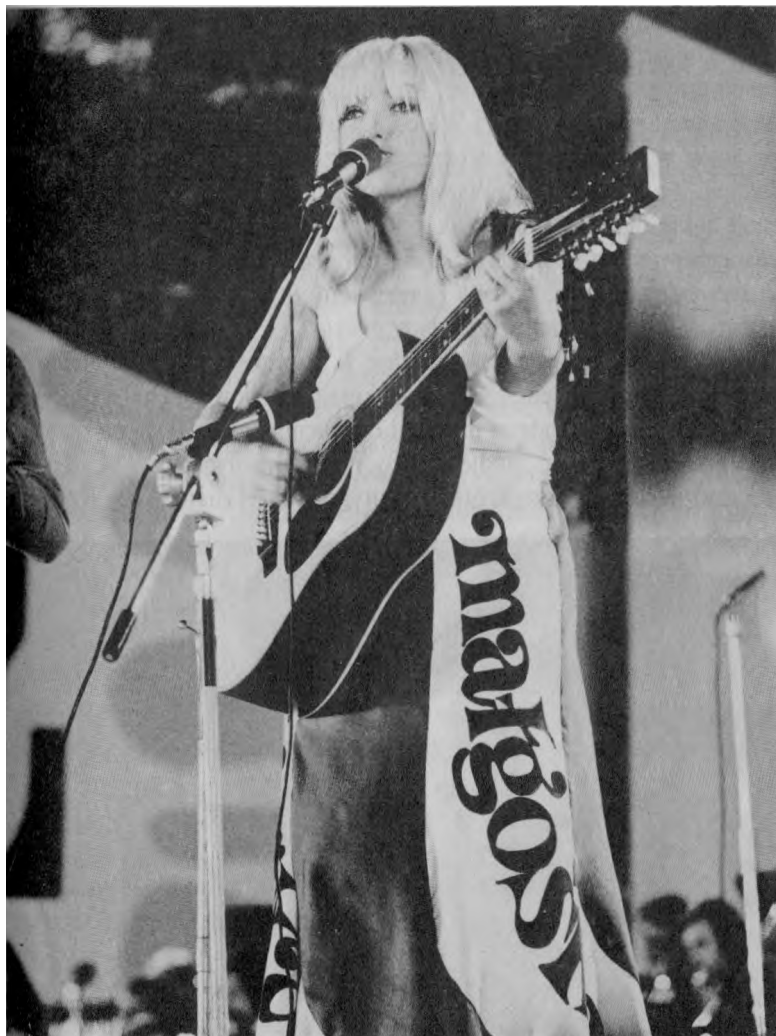
wzbijając tumany kurzu i wrywając pomniejszych krzaki. Ryk motoru o potężnej mocy to było to. Niestety, nie dał mi do ręki kierownicy, za to zaczął coraz częściej wydzwaniać. Któregoś wieczoru, po przykryj rozmowie telefonicznej z Danielem będącym gdzieś na koncertach, wsiadłam w samochód i pojechałam do zaprzyjaźnionych Franków. Lubiłam tam przesiadywać. Przed domem mnóstwo samochodów, w domu stopy katalogów z najnowszymi modelami, i bardzo mili gospodarze. Nieoczekiwanie, a może oczekiwanie, przyjechał Andrzej.

Byłam wyraźnie przez niego adorowana i sprawiało mi to przyjemność. Robiło się coraz później. Zadzwoił Daniel i powiedział, że za dziesięć minut mam czekać na niego na ulicy. Zbuntowałam się. Nad ranem Daniel sforsował wysoki mur i zaczął się dobijać do zaryglowanych drzwi i okiennic. Frank, bojąc się awantury, nie chciał otworzyć. W końcu wpuścił Daniela, który podszedł do siedzącego za stołem Andrzeja i po prostu dał mu w pysk. Ten, oszołomiony, nie zareagował. Wróciliśmy do domu. To był koniec.

Tego samego dnia wieczorem miałam zagrać dwa koncerty gdzieś pod Poznaniem. Kiedy nie zjawiłam się o umówionej godzinie w autobusie — zadzwonił organizator. Powiedziałam mu, że nie jestem w stanie dzisiaj wystąpić i żeby odwołał jakimś sposobem te koncerty. Powiedział, że wykluczone i po chwili już dzwonił do mieszkania. Przez uchylone drzwi wyjaśniłam mu całą koszmarną sytuację. Zaproponował, żebyśmy dojechała swoim samochodem. W ostatniej chwili, zapłakana, ze spuchniętymi powiekami, nie śpiąc ani minuty, w dodatku z okropną opryszczką na ustach, wyszłam na scenę i strasząc widownię swoją nadwątłą urodą odśpiewałam łamiącym się głosem historię głupiej Małgośki z Saskiej Kępy i inne „perły” swojego repertuaru. Cały czas spodziewałam się najgorszego, Daniel się odgrażał, że zabije Andrzeja. Podjeżdżając pod Dom Kultury, niestety, zauważyłam samochód tego ostatniego. Dla kurażu zabrał ze sobą przyjaciela Krzysztofa Komornickiego. To chyba pomogło. Daniel, który oczywiście też się zjawił, nie opuszczał mnie ani na moment. Pojechaliliśmy do Poznania. W hotelu Merkurs mój apartament był już zastawiony różami. Daniel natychmiast wezwał telefonicznie moją matkę. Przyjechała pociągiem z Włocławka ratować beznadziejną już sytuację.

Andrzej dojeżdżał codziennie — ■ zawsze z obstawą swoich kolegów, właściwie tylko po to, żeby dowieźć kwiaty. Prawie się nie widywaliśmy. Podobno latał również odrzutowcem nad Poznaniem zrzucając wiązanki, ale to nie sprawdzona informacja.

Daniel wyprowadził się do warszawskiego Grand Hotelu. Moje randki z Andrzejem odbywały się na ulicy, w samochodzie. Raz pojechaliliśmy na polowanie na kaczki, innym razem umówiliśmy się



Sopot 1973, „Małgoska” — spódnica bananowa

w Niemczech Zachodnich. Wyjechałam z Andrzejem Rosiewiczem na dwa koncerty do Monachium. Cały program po niemiecku, dobre pieniądze, jeden koncert „live” w studiu telewizyjnym, drugi radiowy. Mój amant miał dojechać z Włoch. Ostatniego dnia pobytu wjechałam na ulicy w tył nowego citroena. W rezultacie nie miałam przednich świateł. To była sobota. Wszystko pozamykane. W końcu poratował mnie jakiś malutki warsztatik pod miastem. Po powrocie do hotelu zastałam wiadomość z Włoch: *Miałem wypadek na autostradzie. Jechałem pożyczonym ferrari 200 km/h i przygniotła mnie ciężarówka. Samochód skasowany, ja cały, spóźnię się parę godzin.*

Następnego dnia zaczynałam trasę w Czechosłowacji. Dojechaliśmy tam moim samochodem, asekurowani przez służbowego chyba poloneza. Po dwóch dniach Andrzej pojechał do Niemiec. Zjawił się na ostatnim koncercie w Pradze, podjeżdżając nowym porsche 924. To był w zasadzie koniec naszej krótkiej dwutygodniowej znajomości. Rzekomo



Program TY Monachium, ja i chórek

to jego tatuś nalegał na przerwanie romansu, straszony przez żonę Andrzeja, że ta wyjawia jakieś rodzinne tajemnice. Cierpiałam. Byłam zaangażowana w dużo większym stopniu niż Andrzej. Wydaje mi się, że zdobywanie sprawiało mu największą przyjemność. Był dość infantylnym, aczkolwiek nie pozbawionym wdzięku chłopcem. Miał zawsze dużo pieniędzy, czuł od najmłodszych lat władzę ojca, zapewniającą mu swobodę działania. Wiecznie sam (ojciec robił karierę, matka wcześniej zmarła) nie umiał sobie poradzić ani z życiem, ani ze sobą. Otoczony sforą kombinujących klakierów i lizusów, co zresztą lubił, był jaki był.

Niestety, nie byłam z nim na przykład w Monte Carlo w kasynach. Niestety, ponieważ uwielbiam hazard, wciąga mnie i na pewno sporo potrafiłabym przegrać. A w Polsce wtedy jeszcze kasyn nie było.

Po powrocie z niemiecko-czeskiej trasy, dla poprawienia samopoczucia, polecałam samolotem do Wiednia. Było to najprostsze, bo nie potrzebowałam wizy. Zamieszkałam w dobrym, starym hotelu i przez dwa dni biegałam po sklepach. W warszawskim mieszkaniu jeszcze przez dłuższy czas bezskutecznie hipnotyzowałam aparat telefoniczny. Niestety, nie dzwonił. Za to Daniel postanowił się zemścić. Którejś nocy (miał klucze) zwałił się z koleżką, też aktorem — niejakim Jerzym Chrzanowskim w towarzystwie kilku pańienek. Wiedział, że jestem. Zamknęłam się w swoim pokoju. Towarzystwo bankietowało do białego rana, psując mi w dodatku adapter. W końcu wyszłam potykając się o śpiących, gołych uczestników nocnej balangi.

Zdarzyło mi się spotkać jeszcze parę razy Andrzeja. Nagrywałam właśnie w telewizji duży, specjalnie dla mnie wymyślony, program. Był to okres mojej przyjaźni z Anką Minkiewicz i Markiem Lewandowskim, jej mężem. Anka była świetnym realizatorem telewizyjnym i reżyserem, Marek fantastycznym, pełnym fantazji scenografem. Oni to właśnie wymyślali moje muzyczne filmiki, a że były to tłuste lata telewizji i jej szef Maciej Szczepański nie szczędził pieniędzy na rozrywkę, powstawało sporo takiej produkcji. Kręciliśmy jedną ze scen w podziemiach Intraco — na parkingu. Miałam za zadanie wsiąść do sportowego samochodu i odjechać z piskiem opon. Nie wychodził pisk. I wtedy zjawił się niezbyt trzeźwy Andrzej ze swoim przyjacielem Tomkiem Butowttem, byłym

perkusistą zresztą, dziś mężem znanej, ładnej modelki Kasi — tej od Teletomboli.

Obaj stali dłuższą chwilę przyglądając się moim nieudanym próbom ostrego startu. Andrzej w dodatku, nie wiadomo dlaczego wymachiwał niedbale prawdziwym pistoletem, siejąc panikę w ekipie telewizyjnej. Po chwili zaproponował, że zademonstruje nam taki rajdowy odjazd z piskiem, jak trzeba. Wsiadł do swojej czerwonej lancii. Realizator dźwięku przykucnął z mikrofonem przy kole. Podsypali trochę piasku. Ruszył. Zniknął za zakrętem. Usłyszeliśmy straszny huk. Popędziliśmy galopem na miejsce zdarzenia. Zobaczyliśmy odłupany kawał muru i walający się czerwony błotnik. Samochodu ani śladu. Ze wstydu już do nas nie wrócił. Mówiąc szczerze był to dość trudny wyjazd, ponieważ na końcu ostrego zakrętu ustawiono oślepiający reflektor, o którym Andrzej nie wiedział. I bum.

Trochę wypatrywałam go jeszcze w Bułgarii, gdzie spędziłam z Agnieszką Osiecką swoje najbardziej bez troskie wakacje. Obiecywał enigmatycznie, że być może, kto wie, na parę godzin wpadnie do Słonecznego Brzegu. Był lipiec 1977 roku. Ja i Agnieszka pierwszy raz w życiu na orbisowskich wczasach. Hotel mocno średni. Zresztą dla polskich grup nigdy podobno nie było lepszych. Jedzenie zimnawe, ale za to zawsze na stole, w stolówce sporo niezłego czerwonego wina. Snułyśmy się obie w długich, białych gieźlach otoczone rojem adoratorów. Wieczorami sączyłyśmy wino, do południa polegiwałyśmy senne na plaży, przeważnie w towarzystwie pewnego matematyka z Gliwic i inżyniera z Warszawy. Matematyk przynosił w czepku kąpielowym morską wodę, wylewał mi na rozgrzane plecy i puszczał tam papierowe lódeczki. Z nudów postanowiłam zacząć grać w tenisa. Poszłyśmy z Agnieszką na korty i oniemiałyśmy. Oczom naszym ukazał się piękny, bułgarski trener, zbudowany jak grecka rzeźba i poruszający się z gracją lamparta. Zaczęłam lekcje. Codziennie dwie godziny od ósmej wieczór do dziesiątej. Z niezłymi wynikami. Trener rozmawiał z nami wyłącznie po angielsku zmysłowo obniżonym głosem. Czasami tylko, kiedy odzywał się do swoich, pohukiwał po bułgarsku i robiło się mniej ciekawie. Niestety, byłam rozpoznawana przez turystów z obozu

socjalistycznego, głównie przez wczasowiczów z baraku enerdowskiego i czeskiego. Nazwisko Agnieszki też działało magicznie, zwłaszcza na Bułgarów. Nagle okazało się, że każdy Bułgar to aktor, w dodatku grający w wystawianej wówczas w Sofii jej dwuosobowej sztuce „Apetyt na czereśnie”. Łgali jak z nut. Jeden z przedstawicieli bułgarskiego biura podróży przedstawiał się jako poeta i aktor, którego ojciec ma ogromną plantację róż. Nosił brodę, zawsze się gdzieś śpieszył, wybierał się nawet do Sofii, po czym następnego dnia ogolony, spokojny, mówił: *Jaki ojciec, jaka plantacja — eto była pragrama na wczera*. Jeszcze zabawniejszy był (też zresztą pracownik turystycznej organizacji) niejaki Cacko. Bywał często w Polsce, a nawet tu pomieszkiwał. Trochę malował, uczył się. Jadąc syrenką z Katowic do Bułgarii przejechał w Rumunii kozę.

I dla tych naszych dziwnych trochę bułgarskich kolegów postanowiłyśmy wydać bankiet. Wynajęłyśmy cały pokład statku zamienionego na knajpę. Kelnerzy przebrani za piratów, zastawione stoły, zaproszenia wysłane, my w długich sukniach od ósmej wieczorem na posterunkach



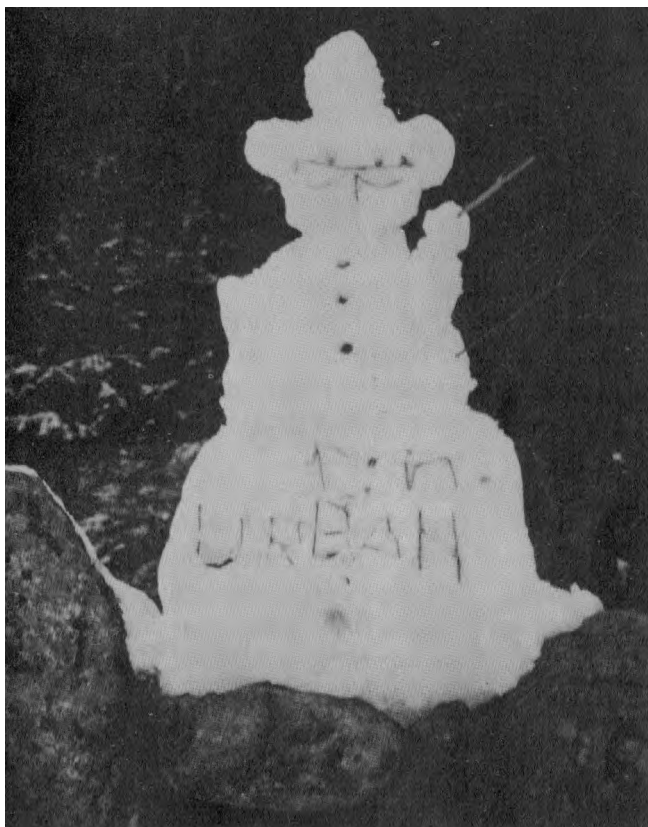
Z Agnieszką Osiecką w Sofii w Instytucie Kultury Polskiej — 1979

i nic, nie ma gości. Minęła dziewiąta, minęła dziesiąta, nic. Nikogo. Usiadłyśmy zdesperowane z piratami do kolacji, pojadłyśmy, popiłyśmy. Przypłatała się jeszcze do nas prawdziwa koza. Około dwunastej w nocy zaczęli się schodzić nasi mili bułgarscy goście. Powiedzieli, że u nich jest taki zwyczaj, że nie wypada przyjść punktualnie, bo jeszcze byśmy sobie pomyślały, nie daj Boże, że oni nie mają innych zajęć, zaproszeń i tylko czekali na nasze.

Niedaleko Słonecznego Brzegu w domu wczasowym dla dziennikarzy rezydował Jerzy Urban z żoną. Postanowiłyśmy ich odwiedzić. Wysłałyśmy telegram tej treści: *Przylatujemy wodolotem we wtorek po południu..* Do Urbanów dotarła treść następująca: *stawcie padahy, taka padahy.* Balowaliśmy razem do późnej nocy w miejscowym barze. Po dwunastej zatrzymałyśmy na szosie jakąś zastawę. Jechała w kierunku Słonecznego Brzegu. Kierowca zaczął się do nas dobierać. Po prostu skręcił do lasu, zatrzymał się, powiedział, że dalej nie pojedzie, dopóki nas nie skonsumuje, a w ogóle że jest śpiący. Groza. Zaczęłyśmy go prosić, potem grozić, potem znowu prosić, obiecywać, zapraszać do siebie do hotelu. W końcu ruszył. Jakoś dobrnęłyśmy wreszcie na miejsce. Przed hotelem rzuciłyśmy się do ucieczki.

Ale i tak do dzisiaj mamy z Angieszką słabość do Bułgarii. Za ciepłe morze, za przyrodę, dobre wina, swojski bałagan i za całe to bułgarskie rozleniwienie. Miałyśmy kiedyś w Sofii zabawne zdarzenie. Siedziałam tam już parę dni, realizując duży program telewizyjny ze swoimi piosenkami. Musiałam tłumaczyć na rosyjski wszystkie teksty. Autorzy programu bali się cenzury jak ognia, bali się, że przepuszczą przez nieuwagę jakąś minę. Na przykład bardzo zaintrygował ich tytuł „Dwa wesela”. Dlaczego dwa wesela, dlaczego dwa, a najbardziej indagowana byłam o wiek tej dziewczyny od wesel. Czy skończyła szesnaście lat? To było najważniejsze. Żeby nie była nieletnia. Kiedy powiedziałam na odczepnego, że niedawno skończyła osiemnaście, odetchnęli. Po paru dniach przyleciała Agnieszka. Czekałam na nią na lotnisku z Andrzejem Smereką, moim ówczesnym menażerem.

Wsiedliśmy we troje do taksówki, walizka Agnieszki do bagażnika i do hotelu. Oczywiście walizka odjechała w stronę bułgarską dal. Kto by



Bałwan-Urban spotkany w górach

pamiętał o takich głupstwach. Następnego dnia poleciałyśmy do naszego kochanego Słonecznego Brzegu. Było grubo przed sezonem, ale i tak ciepławo. Robotnicy malowali ławki, sadzili róże, na plaży przed knajpkami stały stosy krzeseł, korty tenisowe w tym samym miejscu, morze zimne i ołowiane. Odtńczyłyśmy na ulicy z jakąś wycieczką narodowy taniec bułgarski — choro — z takimi samymi kroczkami jak grecka zorba i wróciłyśmy przez Sofię do Warszawy.

7.

W podnieceniu przygotowywałam się do zagrania Hildy w „Szalonej lokomotywie” w krakowskim Teatrze STU. Jeszcze jakoś wiosną odwiedził mnie w Warszawie Krzysztof Jasiński — reżyser tego przedsięwzięcia, wręczając egzemplarz sztuki. Zjawił się rano z Robertem Kucharskim, mężem Kasi Gärtner i wiszącym u ramienia ewidentnym „towarem”. Opowiadając o upojnej nocy spędzonej w mieszkaniu Roberta, z apetytem zjedli przygotowane przeze mnie śniadanie. Z poziomkami na deser. Następną noc Krzysztof spędził już u mnie. Przespał ją grzecznie w oddzielnym pokoju, za to w mojej najpiękniejszej pościeli. Poduszka granatowa w białe gwiazdy, kołdra w biało-czerwone pasy. Po prostu amerykańska flaga.

Po powrocie z bułgarskich wczasów, opalona, odchudzona o siedem kilogramów, zrelaksowana, udałam się do Krakowa na próby. Zamieszkałam w cudownym Hotelu Francuskim. Lato, sam środek tego magicznego miasta, spacer po rynku, codzienny tenis, próby, nowi koledzy. Wieczorami kolacyjki, jazdy zaczarowaną dorożką zamglonymi uliczkami: Szewską, Kanoniczną, włożenie przez okno do mieszkania Piotra Skrzyneckiego, jakieś wódki, rozmowy.

Fantastyczny czas. Byliśmy na etapie przygotowywania materiału muzycznego. Piękne piosenki Marka Grechuty i Kantego Pawłuśkiewicza. Próby odbywały się w namiocie cyrkowym na ulicy Rydla. Mówiąc szczerze spodziewałam się intensywnych zajęć aktorskich, specyficznych ćwiczeń obiecanych przez Jasińskiego. Ciekawiło mnie to bardzo i cieszyłam się, że przeżyję coś innego od moich koncertów, gdzie byłam zdana wyłącznie na swoją intuicję i energię. Teraz znalazłam się w teatrze, gdzie nie można chodzić w czapce, gwizdać, gdzie cały sztab ludzi pracuje na sukces — stolarze, malarze, elektrycy, muzycy, no i reżyser uprzedzający, że próby będą intensywne, często całodziennie, a i nocne, kiedy będzie trzeba. Niestety, nie było wdrożeń, ćwiczeń, był za to pośpiech i tylko parę tygodni. Jasiński umie skupić wokół siebie wpatrzonych w niego, zahipno-



Próba „Lokomotywy”, od lewej: Krzysztof Jasiński — reżyser, Jan Kanty Pawлуskiewicz — autor muzyki, ja — Hilda, Marek Grechuta

tyzowanych, oddanych wykonawców jego niecodziennej wyobraźni. Byliśmy w stanie zrealizować jego najdziksze pomysły. Kiedy rzucił mi od niechcienia uwagę: *bądź demoniczna, bez mrugnnięcia okiem*

zaczęłam wykonywać szalone piruety powiewając szeroką, czerwoną spódnicą, tratując po drodze dekoracje i publiczność. Nie mając zadnego przygotowania, za to ogromne chęci i wiarę w siebie, wilałam się po piasku, spadałam z drabiny śpiewając swoje arie i potykając się o białą, skrzydlatą lokomotywę, pełna emocji i zaangażowania wypowiedziałam swoje kwestie „aktorskie”. Partnerowałam nie byle komu, bo Jerzemu Stuhrowi. Pokornie leżałam w łóżku na szynach, kiedy on przygważdżał mnie obcasem. W końcu byłam w teatrze. Pracowałam w grupie ludzi pełnych entuzjazmu. Po paru dniach znałam już całą tę porywającą muzykę.

Zaprzyjaźniłam się z ekipą. Reżyser mnie fascynował. Lekko tajemniczy, przesywający ludzi zimnym szaro-zielonym spojrzeniem, jednocześnie pełen poczucia humoru i niezwyklej wyobraźni. Czułam, że jestem pod wrażeniem. Gdy nasze spojrzenia krzyżowały się, widać było przelatujące iskry. Nie zapaliła się żadna czerwona lampka ostrzegająca o ewentualnym niebezpieczeństwie. Owszem, dochodziły mnie słuchy, że pożeracz serc, że apodyktyczny, że często nieelegancki wobec kobiet, ba, nawet to obserwowałam, widziałam na własne oczy, ale — jak wiadomo — zamroczenie jest ślepe. Łazłam do niego, jak każda inna, nie wiedząc jeszcze, że wkrótce *ćmą bez skrzydeł opadnę wprost w płomień kuchenki*, jak sama sobie przepowiadałam w piosence Jagody Hass.

8.

Nieoczekiwanie dostałam propozycję wystąpienia na sopockim festiwalu. Miał to być odmieniony festiwal — interwizji. Dla równowagi. A co, niech te zachodnie ścierwa (że użyję ulubionego słowa Wilczka) zobaczą, że nie tylko oni mogą. Oni mają eurowizję, a my interwizję, czyli igrzyska demoludów. Silne reprezentacje — Vondrackova z Czechosłowacji, Rodowicz z Polski, w następnych latach Niemen, Pugaczowa 1 raz wygrywa nasz, drugi raz Rosjanin, innym razem Czech i *sza la, la, la, la* — *zabawa trwa* (jak śpiewała moja koleżanka — Urszula Sipińska).

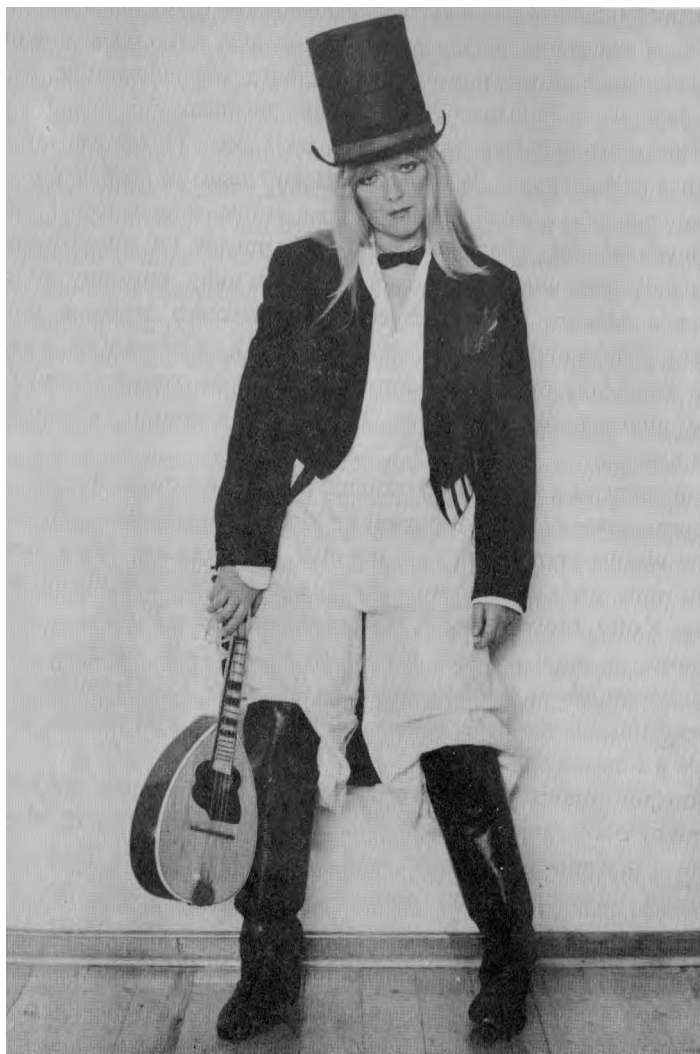
Wpadłam w popłoch. Co tu zaśpiewać? Co zaśpiewać, żeby wygrać,

żeby maluch (nagroda główna) został w Polsce. Nie damy byle Niemcowi nawet koła powąchać. Każdy ma do zaśpiewania tylko dwie piosenki. To raptem sześć, siedem minut. Strasznie mało, żeby udowodnić, że się jest najlepszym, żeby stworzyć jakiś klimat, zaistnieć.

Wielkie przeboje zdarzają się raz na jakiś czas. To nie jest tak, że pstryknąć palcami i jest. „Wsiąść do pociągu” miało się urodzić dopiero w parę miesięcy później. Ja byłam na etapie sing-singów i temu podobnych produkcji stylizowanych na brzmienie lat czterdziestych. Inspirowały mnie wtedy „Pointer Sisters”, ich miny, kostiumy, sposób śpiewania. Miałam wprawdzie jedną widowiskowo zrobioną dobrą piosenkę „Nie ma jak pompa”, ale co z drugą. Kombinowałam, a może by tak wyjść jako człowiek-orkiestra z bębniem na plecach, papugą na głowie, gitarą, harmonijką ustną. Nie miałam piosenki. Forma była, gorzej z treścią.

Mam, przecież w Opolu miesiąc temu niejaki Laskowski śpiewał taką pełną jarmarcznego wdzięku piosenkę. Odnalazłam człowieka, spytałam, czy nie ma nic przeciw temu — nie miał. W porządku. Mam numer. Trochę mnie razila może zbyt prostota tego tekstu. Zadzwoniłam do Jonasza Kofty. Mówię: *Jonasz, błagam cię, wymyśl coś, dopisz anonimowo, powie się autorom, żeby ich nie urazić, że to ja sama, że wiesz, brakowało mi jakiejś osobistej części.* No i dopisał, i nakłamałam, że to ja i specjalnie się nie denerwowałam, no bo zwrotka była piękna, jak to zwykle u Jonasza.

Zaczęłam organizować rekwizyty. Wymyśliłam, że może nie byłoby źle, gdyby obok mnie na scenie stanął mim ze smutną twarzą, symbol czasu — przemijającego czasu — z klatką pełną gołębi. Dziewczyny z chóru mogłyby ostrzyć noże na prawdziwej, starej, pedałowej maszynie do ostrzenia. W zamierzeniu miały lecieć snopy iskier, a wszystko rytmicznie, nagłośnione przez mikrofony. Do tego balony, baloniki, piszczałki i inne jarmarczne akcesoria. Klatkę wykonał zaprzyjaźniony z Teatrem Stu krakowski rzemieślnik z ulicy Retoryka. Pomalowana na biało przyleciała jeszcze mokra samolotem do Gdańska w przeddzień koncertu. Na krakowskim rynku kupiłam dwa harcerskie werbelki. Zmontowało się to do kupy takim żelaznym chomątem.



Czyż nie wyglądam normalnie?

Wszystko było ciężkie jak cholera. Wpijało się boleśnie w gołe ramiona. Znalazłam starą, przedwojenną marynarkę, i te parę minut dało się jakoś wytrzymać z całym tym bagażem na plecach. Sukienki uszyła nam koleżanka koleżanki z zespołu — z podszewki. Też w ostatniej chwili. Za kulisami już czekało pokaźne stadko gołębi. Inspicjenci byli zaintrygowani. Bez przerwy ktoś pytał, co z tymi gołębiami, co one mają robić na scenie, jak to będzie na koncercie. Mówiąc szczerze sama nie wiedziałam. Pomyślałam, że byłoby dobrze w pewnym momencie je wypuścić. Miał to zrobić właśnie ten smutny clown. Nie przewidzieliśmy, że wieczorem ptaszki śpią i kiedy zaczęliśmy wyganiać je z klatki, one ani myślały się ruszyć. Namawialiśmy, prosiliśmy — guzik. W końcu niechętnie, ociągając się kilka razyło wyfrunąć. Oczywiście posypały się protesty miłośników zwierząt, że Rodowicz w Sopocie zamęczyła stado gołębi. Bęben na plecach też nie zafunkcjonował. Przywiązałam sznurek do obcasa, drugi koniec zamocowałam do pałki mającej uderzać w bębenek. Z emocji pociągnęłam za mocno i do końca piosenki sznurek smętnie dyndał za plecami. Zdenerwowana, ledwo w ostatniej chwili zdołałam sobie przypomnieć końcówkę nowej zwrotki Jonasza. Ilekroć oglądam w telewizji ten występ, zawsze czekam na moment, kiedy wytrzeszczam oczy z przerażenia i napięcia, robię nienaturalną muzyczną pauzę i... jest. W podobnych sytuacjach, które się jednak zdarzają, śpiewa się byle co, czasami zupełnie bzdury. To tak jak w tym dowcipie o Klossie, który nie chciał sypać mimo strasznych tortur i kiedy po dwóch tygodniach oprawcy zaczęli go podglądać w celi, zobaczyli biedaka walącego głową w mur i wołającego: *Boże, żeby chociaż jedno nazwisko sobie przypomnieć.*

„Jarmarki” jednakowoż bardzo się podobały. Doczekały się wielu wykonań: w Czechosłowacji, w Bułgarii, no i w Rosji, gdzie mój występ sopocki uznany był za wydarzenie, wielokrotnie opisywany, komentowany, zwłaszcza w środowisku artystycznym. W Polsce różnie: od bardzo wysokich notowań do wręcz przeciwnie — że kicz. Często poruszałam się na granicy kiczu, ale moim zdaniem udawało mi się jej nie przekraczać. W Sopocie wszystko działo się według wcześniejszych przewidywań. Rozgłosnie telewizyjne — od Berlina przez Pragę po Moskwę — dały mi maksymalną liczbę punktów mierzonych w różach

— w wyniku czego dostałam ogromny bukiet i maluch trafił w moje ręce. Była to nagroda publiczności Interwizji. Główna nagroda od jury przypadła mojej dobrej koleżance, Helenie Vondrackovej, śpiewającej hitową piosenkę „Malovany dzbanku, z krumlovskeho zamku, mam te rad...”

Dzień przed koncertem pojawił się w sopockim Grand Hotelu Krzysztof. Jasiński — oczywiście. Odbyliśmy romantyczny spacer po plaży, po którym mój obiekt westchnień zniknął równie nagle, jak się zjawił. Malucha natychmiast sprzedawałam, ale mimo to ciągle brakowało na wynionego porsche’a. Spieniężyłam wcześniej starego fiata. Ciągle mało. Wiedziałam, że Wacek Kisielewski sprzedaje swojego wysłużonego czerwonego porsche’a i, mimo że mi gorąco odradzał, mówiąc: *Maryla, nie kupuj, silnik jest zrujnowany, trzeba w niego włożyć kupę forsy; to nie dla ciebie* — byłam zdecydowana. Spisaliśmy z Wackiem notarialną umowę o spłacie pozostałej — wcale niemałej — sumy bodaj do końca roku. Ale co tam, wiedziałam, że jakoś to będzie, a jak wsiadłam do tego samochodu — Boże, ludzie, jaka radość. Właściwie to na początku bałam się tym jechać. Odjazd miało toto niesamowity. A jaka przyjemność patrzeć jak na światłach wszyscy zostają w tyle, jak zbierają się dopiero do ruszenia, kiedy ja już znikam w następnej ulicy.

Do Krakowa jechałam jednak całe pięć godzin. Pięć godzin. Wstyd, ale to ze strachu. Była noc, lał deszcz, a tu przy byle dotknięciu pedału gazu samochód wyskakiwał jak z procy. W dodatku palił jak smok wawelski. W Jędrzejowie musiałam już tankować, ale w końcu Wacek lojalnie uprzedał. To bydlę wypijało na Mo kilometrów ponad dwadzieścia litrów benzyny. Do Krakowa dojechałam grubo po północy. Następnego dnia cały teatr oglądał czerwonego. Szybko polubił nocne jazdy sam reżyser, a raz to nawet zapędził się ze mną do hotelu. Innym razem ja z kolei wlałam za nim na szczyt masztu cyrkowego. Kiedyś przedostaliśmy się w ubraniach zapadając się po pas w muł — do żaglówki stojącej pośrodku rzeki — Wisły zresztą. Ahoj, przygodo!

„Lokomotywa” ruszyła. Graliśmy do późnej jesieni przy kompletach publiczności. W listopadzie pojechałam na długie, sześciotygodniowe tournée do Stanów i Kanady. Zawsze mnie to śmieszyło i złościło — Stany i Kanada. „Po sukcesach w Stanach i Kanadzie znowu w kraju”.

Tak reklamowano wielokrotnie artystów wracających stamtąd z koncertów.

Wicie, jak to wygląda? W dziewięćdziesięciu procentach koncerty odbywają się w byle jakich salkach, często parafialnych, w peryferyjnych szkołach. Czemu? Bo taniej, a zresztą żałuję, że nasze szkoły nie mają na przykład sal koncertowych. Ale o czym ja mówię. Nasze szkoły nie mają nawet często sal gimnastycznych, a ja tu o widowiskowych. No więc graliśmy w Stanach. I Kanadzie — oczywiście. Codziennie wielusetkilometrowe przejazdy z miasta do miasta, koncert. Po koncercie



Na statku wycieczkowym „Maryla”

kolacja wydawana przez miejscowego księdza albo lokalnych polskich bogaczy — przeważnie rzeźników. Branża masarska opanowana jest tam przez Polaków. Pralnie chemiczne mają Chińczycy. Włosi — to przeważnie knajpki, no i mafia. Chińczycy też się pewnie zarzynają w swoich Chinatownach, za to Polacy, jak to Polacy. Donoszą jeden na drugiego i wykopują swoje słynne dołki, żeby nie daj Boże sąsiad się nie za bardzo wzbogacił, nie wybił.

Mieszkaliśmy na trasie w taniutkich motelikach na dalekich przedmieściach, przeważnie nawet nie wjeżdżając do miasta. Amerykę oglądaliśmy z okien autobusu. Początkowo nie mogliśmy się przyzwycząić. Kolacje — przeważnie ciężkie, polskie, z bigosem i schabowym, wypadały około siódmej rano naszego czasu. Na widowni w większości komplety. Stara Polonia, która jeszcze wtedy tłumnie chodziła na koncerty, nie zawsze rozumiała moją muzykę. Trochę narzekali, że za głośno, ale na ogół reagowali dobrze. Zapowiadał i żartował Tadeusz Ross. Jego ówczesna żona, nikomu nie znana aktorka, mówiła wiersz w programie. Prywatnie byli bardzo mili. Razem jadaliliśmy, łąziliśmy po sklepach — kiedy śp. Wojewódka wysadzał nas na kilka godzin w jakimś mieście. Było sympatycznie, chociaż męcząco. Pewnego razu do garderoby wszedł młody mężczyzna z dużą liczbą złotych zębów i zapytał, czy jest wśród nas jakaś niezamężna panienka. Koleżanki żartem wskazały na mnie. Na scenę wjechał bukiet kwiatów, jak przed wojną — z załącznikiem, tyle że zamiast brylantów była koperta, a w niej całe sto dolarów. Kandydat na męża za nic na świecie nie chciał przyjąć z powrotem pieniędzy, prosząc, żeby razem z grupą wypić jego zdrowie. Sam udał się do domu, żeby doglądać bodajże trzody. Nie taił, że żona by mu się przydała głównie w gospodarstwie. Następnego dnia jednak okazało się, że sunie swoją półcięzarówką krok w krok za nami. I tak do końca trasy. Jechał przy tym tak blisko autobusu, że często był zatrzymywany przez policję. Zdarzyło mu się również parę razy wjechać w jednokierunkową ulicę. Oj, sporo zainwestował kolega w całą wycieczkę. Po pewnym czasie na adres Pagartu przyszła do mnie kartka, w której zaproponował mi zrobienie interesu. Ja wyjdę za niego za mąż, on mi za to da dziesięć tysięcy dolarów, minus oczywiście sto. I tym razem się nie zdecydowałam.

9.

Po koncertach w Chicago i Nowym Jorku posypały się propozycje przedłużenia pobytu i pogrania w klubach polonijnych. Tym razem sprzeciwili się, o dziwo, moi muzycy. W Stanach grałam z całą kapelą, swoją aparaturą i obsługą techniczną, co wcale nie było częste na takich trasach. Wojewódka przez parę ładnych lat proponował mi wyjazdy z samą gitarą. Konsekwentnie odmawiałam, aż w końcu potaszczyłam ze sobą całe „Mazowsze”, jak mawiała Misia Duńczykowa (pracownica Pagartu). Zawsze się dziwiła: Po co ty ciagniesz ze sobą tylu ludzi. Źle się dzieli pieniądze z takim tłumem. Duńczykowa zajmowała się Rosją i głównie dlatego nie miała dla mnie propozycji wyjazdów w tamtym kierunku w latach siedemdziesiątych.

Cóż — zależało mi zawsze na dobrym brzmieniu, chórkach, widowiskowości, a ponadto w tym czasie miałam aż nadto kontraktów krajowych, enerdowskich, czeskich.

„Załapał się” wtedy na wyjazd z nami do Stanów jeden z dyrektorów Pagartu, stary ubek, postrach całej tej instytucji. Znany był z tego, że nie znosi sprzeciwu. Niestety, musiałam mu jednak robić wbrew, kiedy mi się mieszał do repertuaru. Siniął wtedy, żyły mu nabrzmiewały na łysawym czole i w dodatku wybałuszał i tak już nieźle wybałuszone oczy. Wcale się go nie bałam, a raz nawet napiłam się wódeczki z nim i miejscowym księdzem.

Taka to była moja pierwsza amerykańska trasa. Zobaczyłam niewiele, ale jednak. Podjechaliśmy na przykład nocą pod samą Niagarę. Duże wrażenie. Następnego dnia zjechaliśmy na dół, żeby chociaż postać na ledwo trzymającej się, trzęsącej platformie pod wodospadem i posłuchać łoskotu przewalającej się masy wody i poczuć na sobie rozpryskujące się krople. Wszyscy turyści dostają długie, zielone peleryny z kapturem, takie jaką nosiła Marilyn Monroe w jednym ze swoich filmów kręcąc mrozącą krew w żyłach scenę właśnie na tym rozdygotanym mostku.

No i Manhattan, wspaniały Manhattan, to niesamowite miejsce, które zachwyca i przeraża. Pierwsza rzecz, jaka zaskakuje, to ciągle

dźwięki syren. Co rusz słyhać charakterystyczny buczonek wozów strażackich. Zawsze sprawiało to na mnie wrażenie zabawy. Strażacy stoją, a właściwie wiszą na zewnątrz samochodu, łapiąc się różnych uchwytów i z wyraźną przyjemnością włączają swoje syreny, buczki. Sama bym się tak pobawiła. Policja, to znów jeszcze inne dźwięki. Szybsze, bardziej nerwowe. Ich samochody poruszają się też zdecydowanie szybciej niż strażackie. Nierzadko słyhać strzały. Zwłaszcza w nocy robi to wrażenie. Jeśli nie zamkniesz okna, to nie pośpisz. Może ci się nawet wydawać, że uczestniczysz, bracie, w jakimś filmie gangsterskim.

Są miejsca niezwykle eleganckie i wytworne, gdzie człowiek czuje się jak ubogi krewny tego bogatego świata z cygarem w pysku. Ale dużo też tandety i wtedy od razu jest bardziej swojsko.

Największe wrażenie robią jednak na mnie za każdym razem ludzie, niezwykle kolorowy, przewalający się ulicami tłum. Kocham Murzynów. Uwielbiam patrzeć jak chodzą, a chodzą inaczej — naprawdę. Jakby mieli sprężyny w stopach, lekko kołysząc gibkimi ciałami. Świetne, wąskie biodra i apetyczne wypięte tyłki. Wszyscy trzymają w rękach ogromne grające magnetofony dwukasetowe i czapki z przekreślonymi do tyłu daszkami. W ogóle ubrani są z taką fantazją, że idąc ulicą nie wiesz, czy jesteś na scenie, czy w innym równie dziwnym miejscu. Tak poprzebieranych jak na Manhattanie ludzi nie zobaczy się nigdzie. Nikogo tam nie dziwi wyglądający jak M.C. Hammer człowiek jadący na rowerze czy mknący na desce Michael Jackson albo grający na ulicy, w dodatku pięknie, saksofoniści, skrzypek czy cała kapela z prowizoryczną aparaturą. Już nie mówię o tysiącach świetnych galerii, muzeów, knajp, sklepów otwartych „twenty four hours”, kolorowych śmieciach, czy śpiących w kartonach (nie widać śpiworów Urbana) bezdomnych. Taki jest chyba tylko Nowy Jork.

Prowincja amerykańska to parterowe, budowane z gipsowych ścian domki z gankami. Kiedyś do mojego pokoju w motelu wjechał samochodem pijany kierowca, a nie jechał szybko. Cienkie ściany. Polacy tu przyjeżdżają przeważnie na parę lat, żeby się dorobić. I larują strasznie, po kilkanaście godzin, nieraz na dwóch „etatach”, nocą

sprzątając wielkie magazyny handlowe, w ciągu dnia pracując gdzie indziej; i tak często nie dojadając, po uzbieraniu sumy kilkudziesięciu tysięcy dolarów wracają do Mławy, Łomży czy innego Nowego Sącza. Po czym budują okazałe domy, w których nie ma kto mieszkać. Często rozdzieleni małżonkowie nie wytrzymują tej rozłąki. I dramat gotowy. Bardzo wzrusza tam śpiewana przeze mnie i jakby dla nich napisana przez Andrzeja Sikorowskiego piosenka:

*...są dwa światy i nas jest dwoje
do swych miejsc przypiętych, jak rzepy,
ty masz pewnie więcej spokoju,
ja mam dzieci.*

*Są dwa światy i jedno słońce,
które u nas, słabiej coś grzeje,
ty masz pewnie duże pieniądze,
ja nadzieję.*

10.

Kiedy wracałam ze Stanów, też miałam nadzieję, że moje skomplikowane sprawy sercowe w końcu się wyjaśnią. Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia. Wybierałam się, jak zwykle, do matki do Włocławka. Umówiliśmy się z Krzysztofem, że spędzimy razem parę dni — włącznie z Nowym Rokiem — w stadzie ogierów w Książu pod Wałbrzychem. Byłam od lat zaprzyjaźniona z dyrektorem stada, Zbyszkim Dąbrowskim i jego miłą żoną Hanką. Właściwie tam zaczęłam kiedyś jeździć konno. Bardzo dobrze się czułam w ich domu, w atmosferze pełnej ciepła, łagodności, babć, dziadków, dzieci, ciast, kominkowych rozmów. Jadąc z Włocławka do Książa miałam po drodze zabrać Krzysztofa w miejscowości Śmigiel koło Leszna, uprzednio dzwoniąc z trasy. W Koninie zajęchałam na pocztę. Zamówiłam błyskawiczną. Nie chcąc robić zamieszania w domu jego matki przedstawiłam się jako Maria Turoń. Krzysztof wiedział o kogo chodzi. Gorzej w Koninie. Tłum w małej poczekalni pocztowej nijak nie mógł

zrozumieć, czemu Rodowicz wykrzykuje na całą pocztę (oczywiście nie nie było słychać), że jest jakąś Marią Turoń. Na miejscu zamieszkaliśmy u stóp zamku, w romantycznym domku z kominkiem. Za oknem mieliśmy park z mnóstwem danieli.

Wkrótce zaczął sypać śnieg. Najgorsze jednak miało nadejść. Zima stulecia. Niczego nie przeczuwając udaliśmy się na bal sylwestrowy, którego głównym programem miał być wybór króla i królowej balu, a potem polonez przez całe stajnie. Ja w jury. Od razu mnie uprzedzono, że królową musi zostać, jak co roku, żona dyrektora, wyglądająca zresztą i tak najpiękniej.

Królem został jednogłośnie wybrany Krzysztof. Wsadzono go na kucyka i zaczęto tłumnie składać gratulacje. Każdy chciał się napić z królem. Przed dwunastą Jego Wysokość raczył się zsunąć z konia nie z własnej woli. Niestety, noworoczny polonez, w którym miałam stanowić połowę jego pierwszej pary przeszedł mi koło nosa. Po północy z trudem przebrnęliśmy (ja w szpilkach) przez ogromne już zaspę. Do wyjazdu zostały dwa dni.

Przyszedł czas trudnych rozmów. Krzysztof wyraźnie bał się tego związku. Bał się mnie, siebie, nie wyjaśnionej sytuacji z żoną, wszystkiego. Nie umawiając się właściwie na później, w podłych nastrojach, opuszczaliśmy Książ.

Z powodu dużego mrozu nie mogliśmy uruchomić porsche'a. Miałam jakiś płyn w sprayu, który wtrysnięty do wlotu powietrza ułatwiał zapłon. Silnik zapalił, ale zapaliła się również plastikowa obudowa wlotu powietrza. Buchnął ogień. Ledwo dotarliśmy do Wrocławia. W śniegu był wykopany tunel, w którym mieścił się tylko jeden samochód. Auta przepuszczały się zjeżdżając na wyrąbane placyki. W dodatku zamarzło mi ssanie. Nawet stojąc samochód miał duże obroty i jechał czy się chciało czy nie. Groza. Ciągłe wyskakiwaliśmy ze śliskich kolein. Miałam dosyć jazdy. Zostawiłam samochód w garażu zaprzyjaźnionego Teatru Polskiego i wróciłam pociągiem do Warszwy. Krzysztof pojechał do Krakowa. „Lokomotywa” miała być grana dopiero jesienią, ewentualnie trochę wiosną. Wiadomo namiot cyrkowy bez ogrzewania.



Krzysztof Jasiński — dyrektor cyrku z kochanką

11

Wynajęłam kolejne mieszkanie, na Stegnach. W sklepie spożywczym spotykałam czasami Rakowskiego, który wtedy pomieszkiwał z nową żoną w tej okolicy. Byłam trochę zaprzyjaźniona z pierwszą, Wandą Wilkomirską. Spotykałyśmy się czasami — przypadkiem — w różnych nieoczekiwanych sytuacjach. W samolocie lecącym z Frankfurtu, na korytarzu hotelu Katowice, latem w leśniczówce na Mazurach, gdzie grałyśmy koledy: ja na gitarze, ona na skrzypcach, przegrzając wiejskim chlebem ze smalcem. W katowickim hotelu natknęłyśmy się na siebie w nocy. Wykonałyśmy następujący numer. Poszłyśmy pod drzwi jej kolegi z orkiestry. Uklękłam w ten sposób na butach, że wyglądałam jak kaleki żebrak. Na głowie kapelusz, przykryta płaszczem, pod brodą wieszak, drugi wieszak udawał smyczek przytrzymywany przez rękaw. Numer polega na tym, że ręce są niewidoczne. Krótko mówiąc — kadłubek. Wanda to samo, tyle że z prawdziwymi skrzypcami. Obok kapelusz na datki. Wrażenie się osiąga, jeżeli stoi się pod samymi drzwiami, po czym puka i gość pada z wrażenia. Dawno Wandy nie widziałam.

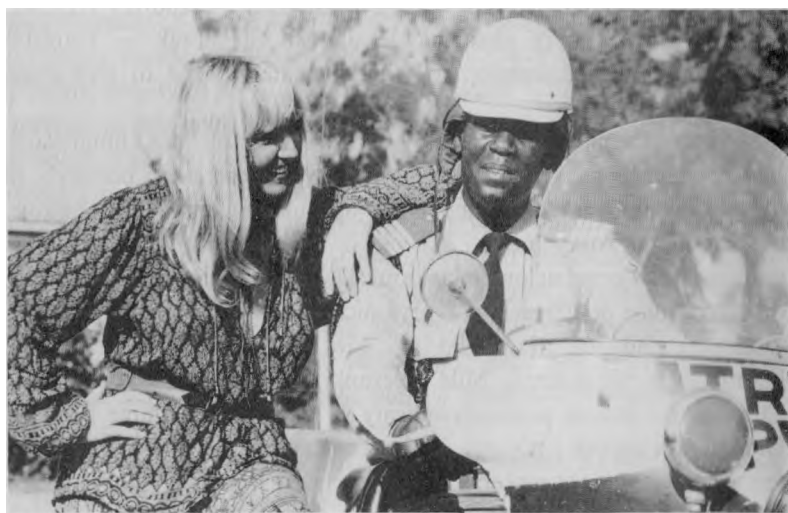
W czasie wiosennych warszawskich przedstawień Krzysztof mieszkał w Hotelu Forum. Leżał w łóżku, miał okropną grypę. Umówiliśmy się telefonicznie, że następnego dnia rano wpadnę — przyniosę potrzebne pilnie swoje zdjęcie i słoik konfitur z malin. Kiedy weszłam, zamarłam. W łóżku obok leżała jego żona. No, niby nic takiego. W końcu żona. Ma prawo. Zdecydowała się w nocy przyjechać. Stałam jak sparaliżowana. Bąkałam coś, że zdjęcie, że maliny, że przepraszam, to ja już pójdę. Okropne. Po co mi to? Innym razem w Poznaniu — dlii odmiany Krzysztof musiał się tłumaczyć przed żoną z braku, w pokoju hotelowym, przyborów do golenia i szczoteczki do zębów. Nie znoszę niejasnych sytuacji. Postanowiłam — koniec.

12

Na szczęście wyjechałam na kilka tygodni na trasę do Bułgarii, a potem na Kubę — na festiwal młodzieży. Gdyby mnie pominięto przy tego rodzaju wyjazdach, byłabym niepocieszona. Zwłaszcza że nasze gazety na lewo i prawo trąbiły, że jedzie najsilniejsza reprezentacja, najlepsza ekipa: Niemen, „Dwa plus jeden”, „Andrzej i Eliza”, kapele jazzowe, chóry akademickie, Janusz Olejniczak — pianista-szopenista, poeci, dziennikarze i tłumy działaczy. Był to mój drugi wyjazd na Kubę.

Koniec lipca, nieludzki upał, stojące powietrze, hotel bez klimatyzacji. Jaki hotel, co ja mówię. Akademik, piętrowe prycze, okna bez szyb, za to z drewnianymi żaluzjami. Nasz apartament miał dwa pokoje, w każdym po cztery łóżka i łazienka z wc. Właściwie było to jedno pomieszczenie przedzielone ściankami. Dwie podwójne prycze, ścianka, dwie podwójne prycze, ścianka, prysznic z zimną wodą, ścianka, klozet. Dziękuję. Żadnych drzwi. Po co. Ciekawe, co? Na początku się buntowałam, ale potem... Miłe koleżanki, na dole basen, a właściwie i tak całymi dniami przesiadywaliśmy w tak zwanym klubie polskim. Dniami, a z czasem i nocami. Z akademika do tegoż klubu wozily nas autokary z elegancką motocyklową eskortą na światłach. Motocykliści-policjanci, w nienagannych jasnych mundurach skrojonych na modę amerykańską i błyszczących oficerkach, wyglądali imponująco. Z okien autobusu oczywiście bez przerwy machałyśmy do co ładniejszych. Mnie upatrzył sobie wysoki elegancki Murzyn. Zaloty polegały na tym, że podjeżdżał na przykład pod moje okno, pomachał, błysnął światłami, po czym ruszał z kopyta swoją hondą. Klub nasz to był biały pawilon z barem, basenem, plażą i kawałkiem morza. Sąsiadowaliśmy z klubem radzieckim, oddzieleni wysokim murem i drutem kolczastym, żeby się nie bratać. Wylegiwaliśmy się na słońcu, popijając zimne, świetne kubańskie piwo, czyli serresa clara. Bardzo lubiłam nurkować z rurką i oglądać pod wodą ławice niezwykłych ryb. W kropki, w paski, czerwone, zielone — niebywałe. Pamiętam taką piękną scenę. Wieczór,

na piasek wytaszczone pianino. Janusz Olejniczak we fraku grający jakieś knajpiane, amerykańskie kawalki, sypiące się konfetti, tonące w morzu czerwone, ogromne słońce, i my, reszta, pływająca po plaży. Spało się potem na fragmentach dekoracji, można się było nawet owinąć polską flagą. Spało się krótko. Słońce w tej części świata bardzo wczesnie wstaje i od razu grzeje jak wściekłe. Klimat powodował, że właściwie nie czuło się zmęczenia czy kaca. Jedynym człowiekiem, który



Z osobistą eskortą, Hawana 1978, festiwal młodzieży

się jako tako prowadził i traktował naszą hałastrę z właściwym sobie dystansem, był szef całej wycieczki Krzysztof Mroziewicz — dziś komentator polityki światowej.

Ulubioną rozrywką moją i niektórych moich kolegów z chóru Politechniki Szczecińskiej i krakowskich „Słowianek”) było wpadanie do basenu w ubraniach. Najlepiej to wypadło w obecności ludzi nie znających tego numeru. Schło się potem błyskawicznie, za to jaka frajda tak sobie iść, iść rozmawiając i do wody. I wyjść z drugiej strony basenu i pójść dalej nie przerywając rozmowy. Niestety, czasami trzeba było

zagrać koncert i robiło się jakoś nieprzyjemnie. Często w plenerze. O każdej porze było tam upalnie. Najbardziej lubiłam wspólne grania z chórem szczecińskim. Mili ludzie, świetnie brzmieli. Śpiewaliśmy wtedy razem amerykańskie gospelsy, ku ucieście ulicznej gawiedzi. Pod koniec pobytu odbył się w reprezentacyjnym teatrze polski koncert galowy. Po koncercie bankiet w ogrodach naszej ambasady. Nagle wpada czereda dziwnych jakby komandosów i przeczesuje każdy krzaczek. Za chwilę przyjedzie Castro. Świeżo upieczony ambasador wpada w popłoch. Jak to, bez uprzedzenia? Do nas? Czemu do nas? Przecież nie był nawet u radzieckich. Za chwilę jest. Przez pomyłkę wchodzi do pokoju, gdzie przebierają się „Słowianki”. Piski i obustronny zachwyty. W ogrodzie szybko ustawiają stoły. Nasi działacze proszą mnie, żebym zaśpiewała. „Dwa plus jeden” odmawiają. Że nie ma mikrofonów, aparatury, świateł, że w życiu. Zaśpiewałam „Balladę wagonową” po angielsku — swoją wersję sprzed lat, kiedy to sprytnie zamieniłam amerykańskie miasta Cheetaway i Syracuse na kubańskie Camaguey i Santa Cruz. Kiedy zawistna Elżbieta Dmoch („Dwa plus jeden”) zobaczyła, jak przywódca narodu kubańskiego ochotczo przytupuje rytmicznie, nie wytrzymała i natychmiast zgłosiła się na ochotnika do występu. Niestety, było już za późno. Teraz były w programie spontaniczne rozmowy z przedstawicielami bratniego narodu polskiego. Dmochowa wzięła swoją płytę i podeszła do stołu, chcąc ją podarować Fidelowi. Tymczasem ten ją podpisał i z uśmiechem oddał pani Elżbiecie. Ha, ha, ha. Potem były wspólne zdjęcia dla prasy. Ja pośrodku, otoczona silnym ramieniem przystojnego Castro. W ostatniej chwili zaszła nas od tyłu Dmochowa, a że jest to kobieta słusznego wzrostu, znalazła się na zdjęciu. Następnego dnia w polskiej prasie pojawiła się moja wymontowana sylwetka, oczywiście z Fidelem Castro. Za to parę miesięcy później zobaczyłam w Pagarciu na ścianie inną wersję tego zdjęcia. Koleżanka Dmoch wymontowała swoją zgrabną główkę i Castro, powiększyła i powieliła ileś tam razy po to, żeby będąc później na Kubie rozdawać obsłudze hotelowej czy prasie.

Poleżeliśmy jeszcze trochę na plaży i zaczęliśmy się zbierać do odlotu



Kuba wyspa jak Fidel gorąca, zwłaszcza w 1978 roku, obok nas zespół „Słowianki” oraz fragment Elżbiety Dmoch

do Warszawy. Trzeba powiedzieć, że plaży pilnował dobrze zbudowany kubański ratownik. Często zatrzymywał się przy moim ręczniku i cmokał z zadowolenia. Tyle białego mięsa. Raz nawet przewiózł mnie łódką i podarował ratowniczą koszulkę. Został natychmiast wyrzucony / pracy. Za zadawanie się z obcymi i pewnie za to, że łódką zapuściliśmy się **za** druty kolczaste i zerkaliśmy na bawiącą się w piasku delegację radziecką. Ot, co. Bardzo chciał się też zaprzyjaźnić ze mną mój ulubiony policjant z eskorty. Pod koniec pobytu zastałam go pijanego w moim pokoju w akademiku. Był już w cywilnym ubraniu. Koszula mu wylazła **ze** spodni, wzfok przekrwiony i mętny. Ni stąd, ni zowąd wyciągnął **zza** pazuchy pistolet, wycelował we mnie i skazał: *Maryla, i<li siuda*. Zmartwiałam ze strachu. To już nie był ten szarmancki policjant **na**

błyszczącej hondzie. Na szczęście udało mi się wymknąć z pokoju przy pomocy moich współmieszkańców. Pistolet, jak się okazało, był nabity, a rosyjskiego nauczył się nasz kubański koleżka w Angoli. Pokazał nam zresztą swoje stare blizny, które stamtąd przywiózł.

Cały festiwal kończył wielki pochód wszystkich ekip ulicami miasta, zorganizowany na kształt i podobieństwo karnawału w Rio. Niesamowicie kolorowo udekorowane paropiętrowe platformy oblepione tańczącą młodzieżą sunęły słynnym hawańskim bulwarem. No proszę, niepostrzeżenie wpadłam w typowy ton propagandowych gazet — roześmiana tańcząca młodzież pozdrawia przedstawicieli gospodarzy. Zresztą w tłumie gospodarzy mignął mi nasz biedny ratownik z plaży. Słowo daję.

Po powrocie okazało się, że czeka mnie występ na festiwalu w Sopocie z racji ubiegłorocznej nagrody. W charakterze gościa. Ja i Helena Vondrackova. Wiedziałam, że na pewno zaśpiewam „Wsiąść do pociągu” — mój nowy hit. Szukałam drugiej piosenki. Lekkiej, żartobliwej. Już na miejscu przyszło mi do głowy, żeby namówić Helenę do wykonania jakiegoś wspólnego kawałka. Spotkałam ją w holu sopockiego Grand Hotelu. Wyglądała świetnie. Wąskie, białe jeansy, wypoczęta, otoczona tłumkiem wygłodniałych samców. Najbliżej niej stał kokietujący ją od lat jeden z szefów telewizji, przystojny Zbyszek Napierała. Z drugiej strony piękny basista z NRD, narzeczony Heleny. Przedstawiłam jej swój plan. Ostrożna Helena oniemiała. Jak to, przecież nie ma ani tekstu, ani muzyki, a za parę dni koncert. Chwileczkę, zgadzasz się? Szalona Maryla, zawsze coś wymyśli, to jakiś diabeł, no dobrze, ale co to ma być. Miałam pomysł. Laska, laska nebeska, czyli po czesku niebiańska miłość. Pomalowałyśmy na niebiesko starą laskę, którą pożyczył nam ojciec Smereki. W ciągu paru godzin Janek Pietrzak napisał tekst i podyktował mi z Warszawy przez telefon. Do tego przez noc pianista Alex Bandu Piotr Kałużny napisał skoczno rock'n'rolla i już. W apartamencie Heleny przećwiczyłyśmy kroczyki — i na koncert, niepewne jak sto diabłów. Ja miałam na sobie wysokie skórzane buty za kolana na bardzo wysokim obcasie. Robił mi je na zamówienie szewc-partacz w Warszawie. Były tak niewygodne, że mogłam w nich



Z Helenką Vondračkovą w Sopocie, 1977

tylko siedzieć. Ewentualnie stać, a i to przytrzymując się ściany. A tu miałam w nich wyjść na scenę, tańczyć i robić dobrą minę. Katorga. Wykonałyśmy brawurowo naszą „Laskę niebieską”. Niestety, zdecydowanie lepiej się bawiłyśmy niż publiczność. Trudno. Za to po drugim moim numerze brawa były całkiem, całkiem.

Po koncercie zostałyśmy zaproszone przez Macieja Szczepańskiego — Wielkiego Szefa naszej ówczesnej telewizji — podobnie jak paru innych wykonawców, na bankiet do rezydencji rządowej w Gdyni. Dowieziono nas tam autokarem. Po drodze Ała Pugaczowa, laureatka tego festiwalu, zrobiła straszną awanturę organizatorom, że nikt jej nie powiedział, gdzie jedziemy, i że jest nie ubrana. Rzeczywiście miała na



Gdańsk 1979, za kulisami — Ala Majewska, Ewa Kuklińska

sobie mało wyjściową kreację. My za to z Heleną — bez umawiania się — czarne, kuse, koronkowe sukienki. Na miejscu mocno podпиты Szczepański, wojewodowie, sekretarze, naczelstwo floty, a pod oknami w porcie wspaniały jacht. W czasie oficjalnego przemówienia Szczepański tak się mylił i plótł bez sensu, że musiałam się mocno szczypać w udo, żeby się nie roześmiać. Potem bez przerwy kazał nam oglądać przez okno piękną łódkę. Ciągłe pytał mnie i Helenę: *postawić żagle, postawić żagle!* A stawiaj. Zaczęliśmy go podpuszczać, że to świetny pomysł. Niestety, jacyś niedobrzy ludzie wyprowadzili go pod ręce z bankietu. Wróciliśmy do hotelu, trafiając na ogólną zabawę reszty artystów, dziennikarzy, obserwatorów. O świcie przyplątał się do nas znajomy węgierski gitarzysta i kompletnie pijany zasnął na moim łóżku. Usiadłyśmy z Heleną w oknie i obserwowałyśmy wynurzenie się czerwonego słońca z morza. Kiedy ognista kula wyszła do połowy, a blask idący od niej utworzył świetlistą drogę przez wodę, nagle pojawiła się na niej mała sylwetka idącego plażą człowieka. Z zachwytu zaparło nam dech w piersiach. Zapamiętałyśmy ten obrazek na zawsze.

Udało nam się potem wytoczyć szczęśliwie węgierskiego kolegę z pokoju. Skończył się kolejny festiwal.

13.

Z Heleną przeżyłyśmy parę miłych przygód ze dwa lata wcześniej, na podobnej imprezie w Istambule. Bardzo się tam podobało moje wykonanie piosenki „Nie ma jak pompa”. Przyznano mi nawet drugą nagrodę. Po to, żeby zaraz ją odebrać z powodów regulaminowych. Miałam ze sobą chórek dwóch panienek i do tego właśnie ktoś się przyczepił. Za to w „Melody Maker” angielski dziennikarz napisał później bardzo pochlebną recenzję, że świetne, że najlepsze. W czasie koncertu na widowni siedziały blond Turczynki obwieszone ogromną ilością złota. Następnego dnia na ulicy wszyscy Turcy ciągnęli nas za rękawy, uśmiechali się jakoś dziwnie, lubieżnie, mówiąc, że widzieli wczoraj w telewizji i „pompa” fantastyczna. Bardzo się to mnie i moim dziewczynom podobało, że my niby takie znane. Okazało się, że pompa

w miejscowym języku znaczy to samo, co szukać w języku czeskim. I to był ten powód naszej nagłej popularności.

Któregoś dnia wieczorem do mojego hotelowego pokoju (Hilton) wszedł posługacz, przyklepał pościel, na poduszcze położył czekoladkę na dobranoc, podszedł do drzwi i stoi. Nie wychodzi. Odwróciłam się, raz powiedziałam dziękuję, on nic. Stoi. Drugi raz, to samo. W końcu wyszedł. Po chwili zobaczyłam, że mój szlafrok-kimono z tyłu właściwie nie istnieje. Po prostu się zawinął, zaczął i kiedy stałam odwrócona tyłem do drzwi, w dodatku nachylona szukając czegoś w walizce, to... no właśnie. Chłopina nie mógł widać oderwać wzroku. Helena natomiast tych czekoladek na poduszcze dostała jakoś więcej. Nieświadoma, biedaczka położyła się na nich (wcale zresztą nie sama) zastanawiając się dłuższy czas, skąd nagle ten słodki zapach czekolady.

Jesienią znowu zaczęliśmy grać „Szaloną lokomotywę”. Wcześniej



Andrzej Mleczo — jeszcze się wzbrania

pozwoiliam się uwieść pewnemu rysownikowi. Opowiadali mi znajomi, że jego żona, kiedy ukazywałam się na ekranie, za każdym razem wyrzucała telewizor przez okno. Rysownik — miły, pogodny, duży misio, nie rozstawał się nigdy z ogromną torbą zawieszoną na ramieniu i nie miał cienia dystansu do własnej osoby. Ale tego dystansu nie ma w zasadzie żaden mężczyzna.

Niestety, przyjechałam do Krakowa, spotkałam Krzysztofa i znowu serce zadrżało. Cóż za podstępne uczucie ta miłość. Znowu się zaczęło, a najgorsza była ta wieczna niepewność, zadzwoni, nie zadzwoni, przyjdzie, nie przyjdzie, odezwie się do mnie, nie ode/wie. Nic miałam siły, żeby o tym zapomnieć, skończyć raz na zawsze.

Pod koniec roku sytuacja jakby się zmieniła. Krzysztof zaczął się zachowywać tak, jakby coś postanowił, ale ponieważ jest Rakiem nic nie jest u niego jednoznaczne. Krok do przodu, dwa do tyłu, ale zaczął nawet sam wydzwaniać z własnej, nieprzymuszonej woli przyjeżdżać. Kolejny Nowy Rok spotkaliśmy w Książu. Przyszła wiosna i ciąża. I co teraz? Rodzimy. Zaraz, zaraz, ja nawet nie mam mieszkania. Cały mój majątek to sterane życiem czerwone porsche. Na początku lat siedemdziesiątych zapisałam się wprawdzie do spółdzielni mieszkaniowej i podpisałam umowę na M-7, czyli M-4 z pracownią. Poleciałam w te pędy do prezesa tejże spółdzielni. Zaczął coś tłumaczyć, kręcić. Zabrałam więc papiery i przeniosłam się do innej — ursynowskiej. A tu też nie różowo. Owszem, budują wielkie osiedle, ale kiedy i czy w ogóle, lo nikt tego nie umiał właściwie określić. Cały poprzedni rok czekałam na audiencję u ważnej osobistości od mieszkań — pana prezesa Kukuryki. Pan prezes w randze ministra nie zaszczycił mnie nawet osobistą rozmową telefoniczną. Odpór moim wielomiesięcznym atakom dawała sekretarka. Nie ma, nie będzie, nie wiem, zajęty — i tak w kółko.

Przyjął mnie w końcu sekretarz od kultury w KC — postrach całego środowiska, niejaki Łukaszewicz, zwany Łupaszką. *Mieszkanie? Jakież problemy? Idźcie spokojnie do domu, dobra kobieto, i tylko wpłynięcie mi na tego Olbrychskiego, żeby przestał mówić te swoje wiersze w kościele Trzech Krzyży.* Nie był widać w kursie dzieła, jeżeli chodzi o moje sprawy osobiste. Wyraźnie za to śledził twórczość Daniela. Następnego



Dziewiąty miesiąc (Jasiek) — obok dumny sprawca

dnia o godzinie siódmej rano, a więc w środku nocy zadzwonił telefon. Słodki głos powiedział: *Pani Rodowicz? Łączę z panem prezesem Kukuryką.* Kukuryka: *Czy byłaby pani tak uprzejma* (słyszycie ten lon — czy byłabym tak uprzejma) *i zechciała przyjść do mnie za pół godziny?* Byłam tak uprzejma i poszłam, tyle że nie o siódmej trzydzieści, tylko o dziewiątej. Pan prezes zaćwierkał radośnie: *Czy chce pani mieszkanie w starym budownictwie, czy w nowym?* Coś podobnego, jeszcze mogłam wybierać. I kretynka, powiedziałam: *w nowym, w nowym, w dodatku marzę o Ursynowie. Zwłaszcza że jestem tam w spółdzielni.* — *Pani prośba jest dla mnie rozkazem.* No, no! Wreszcie miałam gdzie rodzic. Sprzedałam porsche'a. Kupił go kolekcjoner samochodów spod Warszawy, właściciel prywatnego muzeum. Mój ukochany samochód do muzeum. Faktem jest, że wymagał generalnego remontu silnika, a to były straszne koszty, ale żeby zaraz do muzeum?

Za namową matki i jej praktycznego męża-inżyniera kupiłam pierwszy w życiu polski samochód. Nie było to wcale proste — tak pójść do sklepu i kupić. Alibabki poradziły: *pisz podanie do premiera Pyki — daję od ręki.* Tak też zrobiłam. I znowu telefon o siódmej rano, i miły głos: *Tu Pyka, no co tam? — Jak to co? Śpię. — To może ja wpadnę? —* zażartował premier. Coś podobnego. O tym mnie Alibabki nie uprzedzały. Ale i tak dał talon. Pojechałam taksówką do FSO. Zapłaciłam i wyjechałam zielonym polonezem. Pierwszy raz zostałam właścicielką nowego samochodu.

Co oni z tą siódmą godziną? Ranne ptaszki. Pozostało kupić jeszcze — bagatelka — łyżki, noże, szafę, łóżko, stół, czyli wszystko. Na koncie zero pieniędzy. Często mi się zdarzało przyjść do banku i dowiedzieć się, że niestety, nic nie ma.

Rzuciłam się do grania. Jeździłam z koncertu na koncert. Rzygałam i śpiewałam. Miałam okropne tak zwane „odruchy wymiotne” spowodowane ciążą. Reagowałam tak zwłaszcza rano i na wszystkie zapachy. W szóstym miesiącu pojechałam z nowym gitarzystą — zresztą świetnym na trasę w Szczecińskie. Oczywiście prowadziłam cały czas samochód, nosiłam gitarę, walizki, czyli zachowywałam się normalnie. A co miałam robić? Najgorsze było granie w ósmym miesiącu ciąży w Stanach. Praca

często późno w nocy, w zadymionej sali. Brzuch nauczyłam się zakrywać albo gitarą, albo kostiumem odpowiednio maskującym. Miałam wymyślony cały zestaw zachowań na scenie, ruchów; na przykład podchodziłam do mikrofonu trzymając od strony publiczności w ręce gitarę, w drugiej marynarkę i kapelusz. Wygadując coś pod nosem schylałam się kładąc na podłodze kapelusz, na statywie wieszaliśmy marynarkę — całym czas w lekkim skłonie. Wyprostowując się wkładałam gitarę i śpiewałam bębniąc nad głową dziecinnie przez co najmniej godzinę. W amerykańskich knajpach polonijnych gra się od piątku do niedzieli. Od poniedziałku do czwartku snułam się po Manhattanie, dojeżdżając z Elizabeth podmiejskim autobusem. Przeważnie sama. Gitarzysta nie zawsze miał ochotę. Wolał poleżeć, wypić parę piw oglądając do znudzenia disneyowskie filmy. Często jeszcze zasypiając słyszałam przez ścianę Myszkę Miki.

14.

Pod koniec czwartego miesiąca cięży postanowiliśmy z Krzysztofem pojechać na Mazury, na ryby. Kolega Wiktor Zborowski dał mi adres leśniczego w rezerwacie bobrów, który zgodził się na rozbicie namiotu na jego terenie. Przy ujściu rzeczki, a więc w idealnym miejscu do wędkowania. Wypływaliśmy pontonem na jezioro bez względu na pogodę, a przeważnie było zimno — w granicach nawet dziesięciu stopni i często lało. Całymi dniami łapaliśmy ryby, wieczorem odbywało się smażenie i do słoików — do octu. Pycha. Co pewien czas udawaliśmy się do Olsztyna na zakupy i na kontrolne badania ciężowe. Na lusterku w samochodzie wesoło dyndał świeżo otrzymany w Opolu Złoty Krzyż Zasługi. Pamiętam, że zazdrościłam wtedy Ewie Demarczyk (stojącej obok mnie w szeregu dekorowanych) jej bardziej dostojnego Krzyża Oficerskiego.

Na Mazury przyjechała odwiedzić nas moja matka z mężem. Byli oczywiście ciekawi Krzysztofa. Swoim zwyczajem (często tak spędzali wakacje) rozbili niedaleko nas namiot. Krzysztofowi wyraźnie zależało

na zrobieniu dobrego wrażenia. Raz nawet przy ognisku okrył mnie swetrem. Widziałam, że to się spodobało. Mnie też — zwłaszcza że było pioruńsko zimno.

W końcu postanowiliśmy się związać, spakować swoje wieczne mokre śpiwory i ubrania, i uciekać w bardziej cywilizowane miejsca. W dniu wyjazdu Krzysztof, nawykły do wydawania rozkazów (w końcu dyrektor teatru), zapędził mnie do szorowania pontonu, a sam dał kąpiel z naszym miłym leśniczym. Rozbieranie namiotu skończył późnym wieczorem, po czym po kilku strzeмиennych, około północy, opuściliśmy to gościnne miejsce.

Niezbyt dobrze, niestety, znosiłam długie jazdy samochodem. Pobo-lewał mnie brzuch. W pustym warszawskim mieszkaniu okazało się, że stolarz, który zainstalował się na górze (mieszkanie było dwupoziomowe) niewiele zrobił, za to świadczył usługi okolicznym mieszkańcom. Zabawne były sytuacje, kiedy przychodzili jego klienci i awanturowali się w moim w końcu mieszkaniu o zawałone terminy.

Mieszkaliśmy bardziej niż skromnie. Szafa to była belka z wbitymi gwoździami, na których rozwieszono były moje kreacje. Wszystko to przykryte folią. Wszak prawdziwa szafa musi być zamykana. Spało się na początku na materacu dmuchanym, na podłodze. Na szczęście wszystkie prace murarsko-malarskie były zakończone. Ponieważ marzy-łam o dużej kuchni — zburzyłam jedną ścianę i kosztem pokoju miałam to, co chciałam. W rezultacie tych przeróbek — na dole była kuchnia, nieduży pokój i dość duża, jak na ursynowskie mieszkania, dziesięcio-metrowa łazienka. Spory, acz niefunkcjonalny przedpokój z wewnętr-znymi schodami i wielka, pięćdziesięciometrowa góra z balkonem. Wyjęczałam u architekta zgodę na przebicie się do przewodów wen-tylacyjnych i pan Stanisław — człowiek Wilczka wybudował mi okazały kominek.

Odbyły się tylko dwa palenia — pierwsze i ostatnie. Gęsty dym z sadzą walił do środka, a podobno pan Stanisław miał na swoim koncie kilkadziesiąt własnoręcznie wybudowanych kominków. Było to nato-miast niezłe miejsce do przechowywania starych żurnali i różnych rupieci. Sporo kłopotu miałam z podłogą. Nie chciałam obrzydliwego

linoleum, kupiłam więc całą ciężarówkę desek i... No właśnie. Ciężarówka podjechała pod dom, zrzuciła towar pod samym wejściem i odjechała. Znowu telefon do Wilczka, który miał zaprzyjaźnioną stolarnię pod Warszawą. Deski trzeba było odpowiednio przygotować, ponacinać, położyć legary. Znowu Mietek pomógł. Sporo było problemów z transportem belek na górę. Można to było zrobić wyłącznie drogą zewnętrzną. Sąsiedzi, którzy i tak — jeśli chcieli się dostać do budynku — codziennie pokonywali tor przeszkód, przeskakując przez stos desek — musieli się nieźle dziwić obserwując ogromne belki niebezpiecznie przesuwające się przed ich oknami. Miałam jeszcze w planie zrobienie ogrodu na dachu. Myślę, że jakby się człowiek uparł, to kto wie. Wystarczyłoby odpowiednio zabezpieczyć strop, nasypać trochę ziemi, posiać trawę i zrobić balustradę. Myślałam też o basenie, ale to byłoby chyba za duże obciążenie. Straszyl mnie architekt, że ponieważ całą łazienkę wyłożyłam marmurem i przesunęłam ściany nośne — któregoś dnia mogę się znaleźć z wanną na parterze.

Był to czas wielkich kłopotów z materiałami. Wszystko trzeba było zdobywać. Pomyślałam, że wolę marmur od płytek ceramicznych. Dotarłam do centralnego kombinatu kamienia budowlanego w Krakowie. Tam się dowiedziałam, że różowy marmur to kamieniołomy pod granicą czeską w okolicy Kłodzka. Pojechałam, inżynier dyżurny spytał, którą chcę żyłę. Pokazałam palcem. Zamontowali materiał wybuchowy. Dup. Padliśmy na ziemię, a po tygodniu zamówiona przeze mnie ciężarówka z przyczepą przywozła pięknie pocięte marmurowe płytki do Warszawy.

Wanna, muszla klozetowa — to z kolei magazyny przy ulicy Instalatorów 9. Do dzisiaj pamiętam, że kupując muszlę trzeba wiedzieć, czy się chce odpływ prawo- czy lewoskrętny, czy typ warszawski, czy poznański. Armatura — to też Kraków. Stół, łóżko — Swarzędz. Kupiłam jeszcze lodówkę, pralkę dostałam w prezencie od matki i można było mieszkać.

Zbliżał się czas porodu. Lekarz prowadzący całą ciążę, profesor Higier, pomógł mi załatwić miejsce w szpitalu wojskowym na Szaserów. Napisałam jeszcze tylko podanie do komendanta szpitala i czekałam na bóle. Minał termin, a tu nic. Krzysztof powiedział, że nie może czekać

w nieskończoność i że jedzie na festiwal cyrków do Monaco. Zostałam sama z matką. Kiedy się zaczęło — zapukałam do sąsiadów. Obok mnie mieszkała Kosa Gustkiewicz i Genio Pach — znajomi z telewizji. Wsadzili mnie do małucha i podyrdaliśmy na Szaserów.

Poród trwał siedemnaście godzin. To było okropne. Zwijiałam się z bólu i wyłam wniebogłosy. Pamiętam przed sobą ogromny zegar z wielką wskazówką. Ból przychodził co minutę. W przerwach pielęgniarka wypełniała moją kartę wypytując o różne intymne szczegóły. Wyglądało to mniej więcej tak: *Która to ciąża?* — *Auuu...* po minucie odpowiadałam; *Kto jest ojcem dziecka?*—*Auuu...* mówiłam; *Data zawarcia związku małżeńskiego?* — *Auuu... nie ma daty.* — *Co znaczy — nie ma daty?* — *Auuu... nie było ślubu.* — *Coś podobnego.* — *Auuu...* i tak dalej. Salowe bez przerwy pohukiwały: — *Co tu Rodowicz się tak drze.* Co pewien czas przychodził do mnie profesor Higier i pytał: *No, co tam?* Błagałam go, żeby mnie rozciął. On na to: *spokojnie, urodzimy naturalnie.* Dobrze sobie — urodzimy. Mówiąc szczerze nie rozumiem, dlaczego kobieta musi się tak męczyć. Kobieta i dziecko. Myślę, że mężczyzna nie wytrzymałby takiego bólu.

W końcu jednak urodziłam ładnego, dużego Jaśka. To ciekawe, że kiedy to się wszystko kończy, kiedy się zobaczy dziecko — w jednej chwili zapomina się o całym koszmarze. Przeturlali mnie na inne łóżko i wywieźli na zimny korytarz. W sali porodowej było jeszcze zimniej. Przyszli mnie odwiedzić studenci medycyny, obecni również w czasie porodu. Muszę przyznać, że było to dla mnie dość krepujące. Zadzwonił telefon. Ktoś mnie podwiózł z łóżkiem i podał słuchawkę. Krzysztof. Z Paryża. Był bardzo dumny z syna i powiedział, że idzie z kolegą na wódkę. Ciekawe, że mężczyźni zawsze mówią: wiedziałem, że będzie syn i pękają z dumy. Leżałam na tym ciemnym korytarzu i czułam się bardzo samotna. Miałam żal do Krzysztofa, że rodzi mu się pierwsze dziecko (moje zresztą też), a on nie chce być ze mną.

Powiedziałam mu w tej rozmowie, że będę tak długo leżeć w szpitalu, aż przyjedzie i nas odbierze. Najmilsze były kontakty z dzieckiem. Parę razy dziennie przyjeżdżał „tramwaj” pełen słodko miauczących istotek. Pielęgniarka podawała pachnące, naoliwione zawiniątka. Po czym zapadała cisza. Dzieci jadły. Po dziesięciu dniach przyjechał Krzysztof

i zawiózł nas do domu. Jasek płakał i płakał. Otworzyłam wszystkie książki, jakie miałam, na stronie „Płacz dziecka” i nerwowo czytałam. Może kolka, czyli ból brzucha, może mokry, może głodny. Boże, ratuj!



Z trzymiesięcznym Jaśkiem

Na szczęście przyszedł doktor Dizner — pediatra z Szaserów i pani Marylka — pielęgniarka z oddziału noworodków. Odetchnąłam. Byłam rozhisteryzowaną matką. Nic nie umiałam, nie nie wiedziałam. Doktor Dizner, doświadczony, wspaniały lekarz, działał na mnie jak balsam. Samą swoją obecnością. Kazał kupić gruby zeszyt i codziennie dyktował kretynce-matce (czyli mnie) czym karmić, jak pielęgnować skórę, jaką temperaturę musi mieć woda do kąpieli, jaką powietrze w pokoju dziecka, jaka musi być wilgotność. Kretynkami nazywał zresztą wszystkie matki. Wiedział, że on swoje, a one i tak swoje. Zadawał podchwytliwe pytania i jakby wiedząc, jaka będzie odpowiedź, wznosił oczy do nieba mówiąc: Boże! Pamiętam, że był na przykład wrogiem zup. Twierdził, że zupy to pożywienie biednych, zupełnie zbędne dla organizmu, i że wystarczy mięso, jarzyny i owoce. Często wchodząc do mieszkania pytał słodkim głosem już starsze dzieci: *Powiedz, Jasieńku, jaką zupkę dziś jadesz?* Najlepszy był numer z higrometrem, czyli przyrządem do mierzenia wilgotności. Za żadne skarby nie mogłam tego nigdzie dostać. Ze strachu matki pożyczaly sobie przed spodziewaną wizytą doktorka. Mnie zawsze ratowała Joaśka Kisielewska, żona Wacka. Po czym dzwoniła: *Maryla, natychmiast mi przywoź, za godzinę będzie Dizner.* Sprawdzał często własnoręcznie czystość w pokoju dziecka. Podstawiał sobie krzesło i przejeżdżał palcem po lampie i ramkach obrazów. Aha! I jeszcze leżąc plackiem na podłodze sprawdzał podłogę pod dziecinnym łóżeczkiem. Zdarzało mu się również wieczorami czy nad ranem, gdy wracał z dyżuru, przejeżdżać specjalnie pod domami swoich małych pacjentów, żeby zobaczyć, czy lufciki są uchylone. Świeże powietrze, czystość i właściwe żywienie — o to walczył najhardziej.

Nauczył mnie właściwie wszystkiego, zapamiętałam jego rady i nauki na całe życie, a gruby brulion jest moim najlepszym podręcznikiem do dzisiaj. To on nauczył mnie nieprzeżrewania dzieci, wpoił zasadę, że jeśli dziecko nie chce jeść, to niech nie je, a w ogóle to jedzenie szkodzi. Dizner był wspaniałym oryginałem — nosił garnitury w przeróżnych dziwnych kolorach i miał zawsze w kieszeni odpowiednio do nich dobraną fajkę. Niebieski garnitur — niebieska fajka, garnitur hordo — bordo fajka. Poza tym pił kawę i herbatę wyłącznie w szklana- sam sobie zresztą przyrządzając. Trzymaliśmy specjalnie dla niego jedną



Maly Jasiak z ojcem Krzysztofem Jasińskim

jedyną szklanę ze spodeczkiem. Był wielkim miłośnikiem muzyki poważnej. Zawsze musiał mieć do tego najlepszą aparaturę odtwarzającą. Widywałam go przez dwanaście lat prawie co tydzień. Byle katar czy kaszel — dziecko pod pachę i do Diznera. Umarł niedawno. Wszystkie matki płakały jak bobry.

Przez pierwsze miesiące pomagała mi bardzo pielęgniarka Marylka. Pamiętam, że przez sześć tygodni od momentu urodzenia Jasek właściwie nie spał. Ja oczywiście też. Podrzemał godzinkę i już patrzy na mnie niebieskimi oczkami. Znowu pół godzinki i dzień dobry. Właściwie się nie ubierałam. Snułam się dzień i noc w koszuli nocnej z dzieckiem na ręku i tylko aaa, luli-luli. Z okna mojej kuchni widziałam Pachów w ich kuchni. Kosa pokazywała mi przez szybę jajko, ja kiwałam głową; potem chleb — kiwałam. Nie ruszałam się z domu i kiedy matka / mężem wyjechała, często Kosa właśnie ratowała mnie od niechybnej śmierci głodowej. Jaśka wietrzyłam najpierw przy otwartym balkonie (zgodnie z instrukcją Diznera), potem wystawiając go w wózku na balkon. Byłam tak strasznie niewyspana, że nauczyłam się zasypiać w każdej sytuacji. Telefonu jeszcze nie miałam, dzwonek przy drzwiach też wyłączyłam. Musiałam to zrobić. Zaczął mnie nachodzić mój cichy wielbiciel — niejaki Czarek — uciekający codziennie pacjent szpitala psychiatrycznego z ulicy Sobieskiego. Czarek miał opracowany następujący numer — wjeżdżał na górę, dzwonił do drzwi i trzymał dzwonek tak długo, dopóki nie podeszłam. Pytałam: — *Kto tam?* — *Czarek.* — *Jaki Czarek !* — *No Czarek.* Za pierwszym razem, niestety, uchyliłam drzwi. Zobaczyłam niewysokiego, młodego mężczyznę we włóczkowej czapce nasuniętej na oczy. Oczy miał ogromne, czarne jak smoła i pałające dziwnym blaskiem. Troszkę jakby chore. Próbowałam zamknąć drzwi, Czarek był jednak szybszy, wsadził nogę między drzwi i framugę. Rany boskie. / trudem udało mi się wypchnąć go na zewnątrz. Od tej pory rozmowy odbywały się przez zamknięte drzwi. Traf chciał, że któregoś dnia przyszła do mnie Magda Czapińska. Pracowałyśmy nad tekstem jej piosenki „Święty spokój”. Opowiedziałam jej o Czarku. Czarek? To mój pacjent. Porozmawiam z nim. Widać pomogło, bo wizyty się skończyły

Krzysztof początkowo przyjeżdżał z Krakowa w piątek, wyjeżdżał

w poniedziałek rano. Potem w sobotę, wracał w niedzielę, a po paru latach coraz trudniej było mu się wyrwać do Warszawy. Premiera gonila premierę, a przed premierą, wiadomo, męczące próby non stop, a po — jeszcze bardziej męczące bankiety. Dochodziło to tego, że dzwonił do mnie z miasta — przeważnie z ZPR (Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe) oświadczając, że chyba nie wpadnie, bo samolot, bo musi wracać, bo właśnie jest przed premierą albo ma gości z zagranicy.

Kiedyś, kiedy już pomieszkowałam w Krakowie — przyjechałam do Warszawy przed wyjazdem na koncerty do NRD. Po próbie źle się poczułam, rozboleł mnie strasznie brzuch. Przyjechałam na Ursynów, nie wiedziałam co to może być. W nocy zadzwoniłam po pogotowie (to znaczy — miałam już telefon, a więc cztery lata później); lekarz powiedział: wyrostek. Dali mi zastrzyk uśmierzający ból i pojechali radząc z samego rana udać się do szpitala.

Następnego dnia rano zadzwonił Krzysztof: *Jestem w Warszawie, ale nie mam ani chwili czasu*. Powiedziała mu o ataku ślepej kiszki (ślepa kiszka — strasznie to śmiesznie brzmi). I kiszka nie pomogła. Nie przyjechał.

Lekarze po zbadaniu oświadczyli krótko: na stół. Nie mogłam na stół. Musiałam wyjechać do NRD. Podpisałam papier, że na własną odpowiedzialność nie poddam się operacji, obiecałam dietę i w drogę. Dieta w przydrożnych restauracjach jest prawie niemożliwa. Już po trzech dniach rąbałam niemieckie wursty popijając piwem. Kiszka się nie odezwała. Była rzeczywiście ślepa i w dodatku głucha. Dopiero po paru miesiącach, pod koniec dwumiesięcznej, pełnej ohydnych żarcia trasy w Rosji, dała o sobie znać. Przylecieliśmy do Moskwy z Taszkientu czy innej Alma-Aty po to, żeby następnego dnia rano odlecieć wreszcie do Warszawy. Rozlokowaliśmy się w hotelu i pojechaliśmy z Rysiem Koziczem do jego przyjaciół na kolację. A tam kołduny. Wprawdzie nic nie miały wspólnego z kołdunami litewskimi, jakie się u mnie w domu jadają, ale jednak. Nad ranem w hotelu — zaczęło się. Bóle, wymioty — oczywiście kiszka. Pogotowie i szpital dla inostrąców, czyli cudzoziemców. Od razu pod nóż. Byłam zrozpaczona. Po pierwsze — za tydzień Święta Bożego Narodzenia, po drugie — wolałabym być rżnięta przez polskich lekarzy. Próbowaliśmy nawet uciekać, prosić, że za chwilę

mamy samolot do Warszawy — nie z tego. Wycięli mi kiszkę, a potem powiedzieli, że był to ostatni moment, że stan był bardzo poważny. Nawet mi nie zaszyli żadnych nożyczek przez nieuwagę. Położyli mnie w izolatce i w ogóle pieściли. Lekarze, bardzo mili, przychodzili często na pogawędkę. Znieczulali, kiedy chciałam, a czasem i buteleczkę dobrego, gruzińskiego wina przynieśli. Mówili, że z lekarzami to można. Dokwaterowali mi drugą pacjentkę, zasłużoną łyżwiarkę figurową. Leżała godzinami na jednym boku i mi się przyglądała. W końcu nie wytrzymała i zapytała, czy może się umalować moimi kosmetykami. Oczywiście. Umalowała się. Bardzo ostro i nie umyła twarzy już do końca mojego pobytu.

Pod oknami cały czas koczował fan-club z Leningradu, pisząc do mnie listy na ogromnych transparentach. Przystawiali je potem do szyby na długich kijach, tak żebym mogła sobie poczytać. Następnego dnia po operacji odwiedził mnie zaprzyjaźniony muzyk rockowy z kapeli „Maszyny wriemieni” — niejaki Stas Namin. Rozkapryszony wnuczek Mikojana. Nie wstawałam jeszcze z łóżka, i właśnie miałam pod sobą nocnik. Zdążyłam tylko szybko go wyjąć, postawić na krześle i przykryć gazetami. O mały włos, kolega by na nim usiadł. Stas się uparł, że przyniesie mi na Wigilię choinkę. Następnego dnia piękne, zgrabne drzewko stało przy moim łóżku. Wycięte zostało spod Mauzoleum Lenina, na placu Czerwonym — przez Namina oczywiście. Kiedy tylko zaczęłam się poruszać o własnych siłach, poczłapałam na pierwsze piętro do pokoju, w którym kiedyś leżał sam Wielki Lenin. Pokój był zamieniony na miejsce kultu — łóżko, na tacy parę kulek wyjętych z bezcennej, leninowskiej głowy. Wejście zagradzał czerwony, ozdobny sznur, przed którym w milczeniu przesuwali się ciekawi pacjenci. Opowiadano mi po paru miesiącach, że równie chętnie był odwiedzany pokój, w którym leżała kiedyś Rodowicz.

Sama byłam ciekawa, kiedy po urodzeniu Jaśka zacznę pracować. Bałam się, że dziecko to koniec kariery, że zupełnie się zagrzebie w garnkach, zupkach i pieluchach.

Tymczasem, w parę dni po porodzie, jeszcze do szpitala, zadzwoniła Olga Lipińska:

— *Maryla, za tydzień robimy wigilijny kabaret. Zagrasz uumlu,*

— *Ale ja nie wiem, czy będę już na chodzie, przecież nie mogę nawet usiąść.*

— *Nie szkodzi, będziesz stała.*

I zagrałam tego anioła śpiewając „Oj, maluśki, maluśki”. I jeździłam w białej szacie z ogromnymi skrzydłami taksówką ze studia na Ursynów — co parę godzin — na karmienie. Najgorzej było w windzie — skrzydła ledwo się mieściły.

Po trzech miesiącach Jasiek zaczął trochę lepiej sypiać. Już mu się zdarzał sen parogodzinny. W domu wprowadziłam terror. Wszyscy chodzili na palcach i mówili szeptem. Pieluchy gotowało się jak za króla Ćwieczka w ogromnym garze. Całe mieszkanie zaparowane. No, ale nie stać nas było na przywożenie pampersów z zagranicy, tak jak to robił na przykład Wacek Kisielewski. Mieliśmy ze dwie paczki i bardzo je oszczędzaliśmy. Używaliśmy ewentualnie w czasie podróży. Po pół roku wyjechałam pierwszy raz na tydzień zostawiając Jaśka we Włocławku z matką i Jolą — opiekunką dziecka. Pojechałam do Stanów, a ściślej mówiąc do miasta Tulsa w stanie Oklahoma na festiwal muzyki country. Przewięzałam się piękną, starą góralską chustą. Na to włożyłam bogato haftowany serdak. Takie były sugestie organizatorów. Żeby mieć coś ludowego na sobie. Gitarzysta Andrzej Kleszczewski miał na sobie szeroki, ozdobny góralski pas. Wszystkie te cuda pożyczyłam od pewnego księdza spod Krakowa. Zagraliśmy parę kawałków folkowych po polsku i kilka amerykańskich standardów muzyki country. O dziwo, dostałam trzecią nagrodę — całe pięćset dolarów. W mieście trwał wielki festyn. Co krok stragany: kapelusze, pasy, buty, zabawki. Na wszystkich ulicach coś się działo. Każdy mógł wziąć udział w tej ogólnej zabawie.

Widzieliśmy piękny występ odświętnie ubranych Indian w pióropuszech, frędzlach, naszyjnikach. Chodząc po ulicach Tulsy w długiej, szerokiej spódnicy i bluzce z Mody Polskiej przybranej kolorowymi piórkami, czułam się jak prawdziwa Indianka. Zresztą od wczesnego dzieciństwa biegałam na zabawy szkolne przebrana za Winnetou. On był pierwszym moim idolem. Na koncercie miałam na głowie piękny wianek z polnych kwiatów, upleciony dla mnie przez miejscowych polskich księży.



Zdjęcie zrobione dla „Przekroju” z okazji otrzymania przeze mnie nagrody Hoff
za inwencję kostiumową

Po trzydniowym pobycie na festiwalu pojechaliśmy do Chicago. Mieliśmy zagrać tam dwa koncerty i — w drodze do Nowego Jorku — jeden w Filadelfii. Była to konieczność. Amerykanie nie opłacali,

niestety, podróży do Stanów. Znalazłam w Warszawie firmę, która pożyczyła mi pieniądze na samolot, a w zamian za to musieliśmy zagrać właśnie te trzy koncerty. W Chicago — tłumy. Zatrzymaliśmy się w pięknym mieszkaniu miejscowego bogacza (wysyłanie paczek do Polski) — niejakiemu Włodka Kotaby. Zaczął robić do mnie słodkie oczy. Na wszelki wypadek zaryglowałam drzwi w swoim pokoju. Chyba słusznie, bo głęboką nocą zaczął się do nich dobijać. Rano nie mogłam wydobyć głosu. Moje wrażliwe gardło nie wytrzymało jak zwykle zmiany klimatu. Dopadło mnie zapalenie tchawicy, a tu jeszcze przed nami Filadelfia. Tym razem przyszło tylko ze dwadzieścia osób. W czasie koncertu jeden ze słuchaczy nie mogąc znieść mojego uporczywego kaszlu, skoczył do domu i przywiózł mi rewelacyjny syrop. Był tak mocny, że miałam po nim zawroty głowy, ale kaszel powstrzymywał.

W Nowym Jorku pan Pogorzelski, organizator koncertów, zaprowadził nas na kawę do polskiego konsulatu. Centrum Manhattanu, piękne wnętrza, arrasy, antyki i konsul w obowiązkowo wymiętym w kroku garniturze z kiepskiego materiału, zionący na dodatek gorzałą. Gdy siedzieliśmy przy stoliku zastawionym piękną porcelaną, przedstawiciel naszej socjalistycznej dyplomacji szarmancko nas zapytał:

— *Kawka? Herbatka?* — zgarniając przy tym jednym, zręcznym ruchem całą zastawę na podłogę.

Byliśmy zawstyżeni. Potem panowie poszeptali w kącie i w rezultacie nasz organizator — hochsztapler nie wypłacił nam jednej trzeciej sumy, mimo podpisanej umowy. Konsul rozkładał ręce.

15.

Latem pojechaliśmy z „Lokomotywą” na Wybrzeże. Namiot rozłokowano w Sopocie, w okolicach obecnego Hotelu Marina. Było lato, sierpień 1980 roku. Cale Trójmiasto wyklejone plakatami reklamującymi rosyjski cyrk, o treści: „Ostatnie dni Cyrku Radzieckiego”. Na każdym kroku czuło się napięcie. W końcu stanęła komunikacja. Publiczność nie dojechała. Trzeba było związać żagle.

Bardzo podekscytowana wydarzeniami, wsiadłam w samochód i pojechałam pod stocznię. Potrafiłam na znak sympatii. Krzysztof na wszelki wypadek schował się między fotele. Zaczęły się kłopoty z benzyną. Nie było wiadomo, jak się sytuacja rozwinie. Ludzie snuli przeróżne domysły. Nieco wystraszeni zapakowaliśmy dziecko i cały dobytek do samochodu, i do Warszawy. Jesienią pojechałam znowu do Gdańska — tym razem z recitalami. W hali „Olivii” odbywał się właśnie I zjazd „Solidarności”. Przypadkowo okazało się, że moi przyjaciele — Gedymin Jabłoński i jego żona — znajdują się w „kocach” zbliżonych do głównych wodzów rewolucji. Powiedzieli:

— *Przyjdź, dostaniesz trochę bibuły, a może uda się zorganizować nawet widzenie z samym Wałęsą.*

Pogalopowałam natychmiast do „Olivii”. Dostałam wielki pamiątkowy ręcznik z napisem „Solidarność”, furę przeróżnych książek, broszur, plakatów i wreszcie — Wałęsę. Byłam pod dużym wrażeniem.

Z powodu „cienkiej” sytuacji finansowej zdecydowałam się wyjechać do polonijnej knajpy w Chicago. Po drodze zahaczyłam jeszcze o miasteczko Independent w stanie Kansas. Tam właśnie odbywał się kolejny festiwal muzyki country, na który zostałam zaproszona po wcześniejszym



Z Lechem Wałęsą i Mieczysławem Wachowskim na zjeździe Solidarności w hali „Olivia”

sukcesie w Oklahomie. Tym razem, oprócz gitarzysty, zabrałam ze sobą grupę wokalną „Gang Marcela”. Zaprzyjaźniony scenograf Marek Lewandowski zaprojektował nam indiańskie kostiumy. Pomyślałam, że to może być zabawne — polscy Indianie, koraliki, pióra, frędzle i do tego jeden górął z ciupagą i akordeonem. Pożyczyłam góralski strój w wypożyczalni kostiumów na Podwalu, zapakowaliśmy jeszcze nasze skórzane ubrania i w drogę. W Nowym Jorku szybka zmiana samolotu. Z lotniska specjalnym samochodem prosto do garderoby. Koncert właśnie się zaczynał, a my mieliśmy otwierać konkurs. Ku zdumieniu organizatorów przebraliśmy się błyskawicznie w indiańskie kostiumy. Komicznie wyglądały moje czerwone ręce. W noc poprzedzającą wylot do późna farbowałam kogucie pióra. Palce za nic nie chciały się domyć. Bęben na plecy, gitara do ręki i na scenę. Po takiej podróży, po tylu godzinach lotu. Wypadliśmy bardzo dobrze. Były nawet bisy. Wszyscy gratulowali nam zwycięstwa. Niestety, skończyło się znowu na trzecim miejscu. Mieliśmy bardzo dobry repertuar. Pomógł mi go wybrać wielki znawca muzyki country Korneliusz Pacuda, od lat mający swoją audycję w radiu. Nie bardzo wiedziałam jak mu się odwdziżyć. Spytał mnie, czy nie mógłby się podłączyć do naszej wycieczki. Nigdy nie był w Stanach i nie ukrywał, że marzy od lat o wyjeździe do ojczyzny jego ukochanej muzyki. Pojechaliśmy więc razem. Po udanym koncercie zaczęliśmy z zespołem dzielić skromną parusetdolarową nagrodę. Spytałam Pacudę czy cieszyłby się z prezentu w postaci oryginalnego Stetsona. Odmówił, jakby nawet lekko obrażony. Nie bardzo rozumiałam. Następnego dnia postanowiłam odwiedzić główną postać festiwalu, znanego menażera Jima Halseya, w jego biurze. Żeby wypaść poważniej, poprosiłam Pacudę o prowadzenie rozmów impresaryjnych w moim imieniu. Chciałam wiedzieć, czy mam jakąś szansę na przykład na nagranie płyty czy wystąpienie na festiwalu w Nashville. Mój angielski był nie najlepszy, Pacuda — wręcz przeciwnie. Ja, tak jak pies — dużo rozumiem, gorzej z mówieniem.

Ku mojemu zdumieniu, Pacuda, zamiast walczyć o moje interesy (zgodnie z umową), zaczął mniej więcej tak:

— *Panie Hulsey, od lat popularyzuję muzykę country (fakt), daj mi*

pan trochę najnowszych płyt, a ja to będę puszczał w polskim radiu. Po drugie — u nas jest cała masa wykonawców tego pięknego gatunku muzyki, a pan bez przerwy zaprasza tę Rodowicz. Muszę panu zdradzić, że ona śpiewa różne rzeczy, a inni moi koledzy — świetni zresztą — grają dniami i nocami wyłącznie blue-grass na przykład. Jeden z nich, mój przyjaciel, doskonale znany wszystkim w Polsce Michael Lonstar, może panu podsyłać od czasu do czasu swoje piękne kompozycje, a pan je będziesz nagrywał.

Zatkało mnie. Pan Halsey wręczył każdemu z nas pokazny stos płyt i wylewnie pożegnał. Na dodatek po paru miesiącach usłyszałam w radiu miazdzącą krytykę swojego koncertu w Budapeszcie (wielki, kolejny spędy countrowców). Oczywiście krytyka była autorstwa Korneliusza Pacudy, zwanego w środowisku Paskudą. Dobrze mu tak.

16.

Z frekwencją na naszych koncertach w polonijnym klubie w Chicago bywało różnie. W soboty fule, w piątek jako tako, czwartki i niedziele — słabiutki. Przychodzili przeważnie młodzi ludzie, tak zwana emigracja zarobkowa. Zresztą miejsce było nieciekawe. Ponura buda pod szyldem „Milford Lounge”. Ogromna sala z wymalowanymi na ścianach przez malarza-amatora twarzami piosenkarzy. Wyglądało to wszystko żałośnie. Garderoba była w piwnicy, schodziło się do niej po stromych schodkach. Ja, czyli gwiazda wieczoru, grałam dwa bloki po plus minus trzydzieści minut. Do tańca grał przez jakiś czas „Perfekt”, potem inny zespół wiecznie pijanych muzyków. Właściciel klubu jak mógł opóźniał mój występ. Często zaczynałam drugie wyjście grubo po północy. Oczywiście chodziło o to, żeby sprzedać jak najwięcej alkoholu, bo na tym się robiło prawdziwą kasę. Zobaczyłam za to koncerty Steve’a Wondera i Pointer Sisters. Na Wondera pojechałam ze Stanem Borysem. Do hali sportowej „Rosemond Horizon”, oddalonej od miasta o dobre trzydzieści kilometrów, ciągnęły tłumy samochodów. Posuwaliśmy się

w nie kończącej się kolumnie noga za nogą. Widownia była głównie czarna i bardzo elegancka. Czułam wszechobecny, intensywny zapach marihuany.

Na scenie mnóstwo aparatury. Dwa zestawy perkusji, chórek, las mikrofonów. Wyszedł konferansjer, podszedł do małej dziewczynki siedzącej w pierwszym rzędzie. Podsunął jej mikrofon i spytał:

— Powiedz, dziecko, kto za chwilę tu wejdzie na scenę.

Dziecięcy głosik powiedział:

— Steve Wonder.

— Powiedz jeszcze raz, głośniej.

— Steve Wonder.

— Jeszcze głośniej, najgłośniej jak potrafisz.

Dziewczynka się skoncentrowała i z całych sił krzyknęła piskliwym głosem:

— Steve Wonder.

Sala zawyla. Prowadzony pod rękę przez dwie dziewczyny na scenę wszedł ON. Dziesięć tysięcy ludzi szalało w amoku do końca koncertu. Ja też. Jeszcze parę bisów i pędem do Chicago na własny show. Byłam lekko spóźniona. Właściciel knajpy za karę kazał mi czekać pod zamkniętymi drzwiami dobre pół godziny.

Lubię Chicago. Downtown jest piękne, aczkolwiek zupełnie inne od Manhattanu. Bardziej eleganckie, sterylne, z ogromną promenadą ciągnącą się wzdłuż jeziora. W tym mieście wiecznie wieje. Nie byłam tam nigdy latem, ale jesień i zima są przejmująco zimne. Lodowata wilgoć przenika przez tony ubrań i człowiek jest wiecznie skostniały. Mimo to prawie dzień w dzień wsiadałam w autobus na Milwaukee Street i do miasta. Przez pewien czas, z niewiedzy, jeździłam z przesiadką w dzielnicy murzyńskiej. Nie było to najmądrzejsze. Przystanek na skrzyżowaniu, obok wypalonego domu, pusto, głucho. Zwłaszcza wieczorem, kiedy wracałam, czułam się w tym miejscu niewyraźnie. Czasami mijał mnie jakiś Murzyn, zerkając spode łba niekoniecznie przyjaźnie. Staralam się nie patrzeć mu w oczy, modląc się o autobus. Chyba mogę mówić o szczęściu, bo jakoś nigdy nic się nie działo, a mogło — zważywszy zuchwałę napady, morderstwa, że nie wspomnę

o wyrywaniu torebek — co jest tam chlebem powszednim. Niestety, nigdy nie mogłam namówić na te wycieczki moich kolegów. Woleli Jackowo czyli parafię świętego Jacka.

W polskiej dzielnicy miało się wrażenie, że jest się w Mławie albo Łomży. Jaka Ameryka? Parterowe przeważnie domki, polskie napisy na sklepach, przechodnie w swojskich kozuszkach i kozaczkach. Można tam przeżyć życie nie wychylając nosa poza tych parę ulic, nie wiedząc, że trochę dalej jest zupełnie inny świat. Pomyślałam jednak, że nie po to przejechałam tyle tysięcy kilometrów, żeby żyć wśród tego samego, co mam na co dzień, więc wędrowałam.

Rodacy często zatrudniają się u swoich, bo nie muszą wtedy znać angielskiego. Oczywiście nie wszyscy. Zdarzają się również Polakom duże kariery w stylu amerykańskim: od pucybuta do milionera. Między innymi dlatego Ameryka jest tak fascynująca. Ciągłe marzy mi się wycieczka samochodem przez cały ten kraj, przez Góry Skaliste, Colorado, San Francisco, Los Angeles. Chciałabym zobaczyć pustynię Nevada i naftowy Teksas, Florydę, zahaczyć o Honolulu i wszystko, wszystko.

Nigdy właściwie nie mogłam zostać po zakończonym kontrakcie, zawsze się spieszyłam do domu, do dzieci, z węzełkiem zaoszczędzonych pieniędzy. W zasadzie nie różniłam się od Polaków pracujących na Milwaukee. Może tylko bardziej jestem ciekawa świata. Ale podobnie jak oni pracowałam u polskiego pracodawcy, ograniczając się do swojskiego repertuaru i takiegoż odbioru. Śpiewałam te swoje „Wozy kolorowe”, zagryzając w przerwie „golabkami”. Przebierałam się za przepierzeniem ledwo oddzielającym moją sztukę od parujących garów ze sztuką mięsa. Pokornie zgadzałam się na towarzystwo karaluchów w łóżku, w łazience, a nawet w lodówce. Swoją drogą, co za jakaś szczególna odmiana, odporna na wszystko, czym były częstowane. Nie wiem dlaczego nie chciałam nigdy wyjechać na dłużej. Żeby spróbować. Sprawdzić siebie. Przez rok, dwa. Może dlatego, że zawsze goniły mnie kontrakty, wyjazdy, nagrania, zawsze byłam uwikłana w jakieś związki męsko-damskie, romanse i z wywieszonym językiem pędziłam do kraju...
„do roboty, do partii, ja muszę, tam na mnie czekają...”

A dziś często słyszę:

— *Czemu tego nie zrobiłaś, miałaś szansę, byłaś zdolna, oryginalna.*

Ale była tylko jedna droga. Ucieczka, nielegalny wyjazd i pukanie do drzwi wytwórni płytowych. I co ja miałam powiedzieć? Dzień dobry, nazywam się tak i tak, jestem z Polski, umiem śpiewać, sprawdźcie mnie. A z czego żyć? Musiałabym pójść tam do pracy, byle jakiej prawdopodobnie, i próbować, próbować. Jakoś wydawało mi się to poniżej godności. Dzisiaj wiem, że nie ma innego sposobu. Nie inaczej zaczynają swoje międzynarodowe kariery nasi aktorzy, reżyserzy. Nie jest to wcale proste, a najtrudniejsze to podjąć decyzję, czy wyjechać. No bo, jest to tak — wszystko zostawić, pewną publiczność, znajomych, ukochanych i co? Znaleźć się samemu jak pies, na obcym bruku, bez środków do życia. Zapytajcie tych, którzy to zrobili, próbowali. Krzysia Krawczyka, który spadał z dachów Chicago, mając się różnych zajęć, Stana Borysa, tułającego się od klubu do klubu (wcale nie najlepszych) w nadziei, że w końcu ktoś ich zauważy, że zabłysną; Andrzeja Zielińskiego — jednego z najlepszych polskich kompozytorów — grywającego na weselach dla chleba. Wszyscy poza tym w pewnym momencie bali się powrotu do kraju. Paszporty mieli nieważne, w myśl peerelowskich przepisów, bo pracowali na lewo bez oficjalnych pagartowskich kontraktów, nie płacąc podatków. Bali się, że przyjadą i nigdy więcej nie wyjadą. Więc siedzieli i wegetowali.

A ja? Ja grałam i błyszczałam przecież u Czechów, Bułgarów, Niemców enerdowskich. Znaczą — sprawdziłam się u innych. Może to zaspokajało po części moją próżność. Przecież nikt nie kazał tym tłumom przychodzić na moje koncerty w Brnie czy Dreźnie, nikt nie kazał im kupować moich płyt. Poza tym wydawało mi się, że w końcu ktoś mnie zauważy na jakimś festiwalu, zaprosi, wylansuje, Pagart pomoże i dalej się jakoś potoczy.

Pagart? To była instytucja zajmująca się wyłącznie gotowymi kontraktami, przychodzącymi przeważnie i tak imiennie. Rezerwowali bilety, wysyłali teleksy, wydawali paszporty. Nie było żadnej promocji, działalności impresaryjnej. Była walka o plakat, uśmiech urzędnika i obowiązek oddawania paszportu w terminie. No i oczywiście płacenie

pro wizji, czyli dziesięciu procent w demoludach i do dwudziestu w KK. Pagart, jeżeli do czegoś się poważnie zabierał, była to wyłącznie muzyka poważna. Nam zawsze mówili:

— *Brońcie się sami.*

Może mieli świadomość kosztów prawdziwej promocji artysty estradowego na zachodzie? Kto by się chciał w to bawić. Wszystkim nam pogodzonym z taką sytuacją, zależało tylko na tym, żeby Pagart chociaż nie szkodził. Żeby nie wykonał jakiegoś złośliwego numeru z paszportem, z kontraktem. Mnie samej zdarzały się przeróżne historie związane z tą instytucją. Bywało, że Pagart odpowiadał kontrahentowi, że Rodowicz jest chora i proponował kogoś innego. Były to przeważnie zemsty urzędników, z którymi nie najlepiej mi się układało.

Kiedyś pojechałam z Dziką Sośnicką i Andrzejem Dąbrowskim na festiwal do Austrii. Był początek siedemdziesiątego trzeciego roku. Festiwal nazywał się szumnie: Puchar Europy. Konkurs polegał na tym, że sumowano punkty przyznane trójce wykonawców z każdego kraju. Wypadliśmy nieźle. Pokonała nas tylko Anglia z bardzo dobrze śpiewającą dość znaną Murzynką. Dostaliśmy drugą nagrodę i sporo szylingów, którymi bardzo chcieli się dzielić z nami nasi opiekunowie

— szef działu eksportu z Pagartu i znany kompozytor — świętej pamięci Mateusz Świąćicki. Powiedzieli, że tak się namęczyli w jury, walcząc o miejsce dla nas w pierwszej trójce — że należy im się chyba jakaś działka, nie? Na nasz całkowity brak zapалу w tym względzie zareagowali dość gwałtownie. Redzimski (Pagart) wysmażył na nas po powrocie donos, w którym napisał między innymi, że szkalowaliśmy dobre imię Polski i oczernialiśmy kochany Pagart mówiąc, że wysłał nas za granicę z materiałami reklamowymi wydrukowanymi na papierze toaletowym.

Zostaliśmy wezwani do KC. Oczywiście podaliśmy swoją wersję. W rezultacie pan Redzimski został oddelegowany na stanowisko dyrektora warszawskiej Estrady, a po paru latach znowu wrócił na stare śmiecie — do Pagartu.

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych bardzo zainteresował się mną pewien zachodnioniemiecki producent — niejaki Schlier. Bardzo

chciał podpisać ze mną umowę. Wiadomo, że było to możliwe wyłącznie za zgodą Pagartu. Przez dwa lata Niemiec był wodzony za nos przez urzędników. Najpierw zostało sprawdzone jego konto bankowe. Chodziło rzekomo o to, żeby nie oddać czołowej polskiej piosenkarki w łapy jakiegoś nieodpowiedniego agenta. Potem stwierdzono, że to żaden rekin, że nie stoi za nim żadna poważna firma. Schlier tymczasem zrobił świetne przekłady na niemiecki i angielski paru moich piosenek (między innymi „Sing-Sing”, „Dama być”, „Nie majak pompa”), kilkakrotnie zamawiał i odwoływał studio w Monachium, a w końcu dostał zgodę Pagartu na zaangażowanie zespołu „Dwa plus jeden” na moje miejsce. Zrobił z nimi nagrania i nawet mieli jakieś efekty w Niemczech i w Japonii. Mnie Pagart na pocieszenie powiedział:

— *Nie martw się — znajdziemy dla ciebie odpowiedniego partnera. To nie był agent godny twojego talentu.*

Nie wiem, może trzeba było komuś dać w łapę, coś obiecać. Zresztą w zdrowym systemie artysta płaci człowiekowi zajmującemu się jego sprawami jakiś procent od honorarium. I słusznie. A mnie zdarzało się, że przedstawiciel Pagartu sam zgłaszał się po odbiór wymyślonej przez siebie sumki, czasem nawet dając do zrozumienia, że nie pogardziłby inną formą wypłaty, na przykład w naturze.

17.

Do Stanów wróciłam w następnym roku, tym razem do klubu Polonez. Po sześciu tygodniach wracaliśmy do Polski z duszą na ramieniu — dziesiątego grudnia '81 roku. Pamiętam jak z przerażeniem siedziałam z gitarzystą na lotnisku O'Hare słuchając w telewizji informacji o otaczających nasze granice czołgach radzieckich. Oglądaliśmy nawet zdjęcia satelitarne. Był to temat numer jeden w Stanach i chyba na całym świecie, a ja w ciąży. Nie najlepiej ją znosiłam. Lekarz Urszuli Dudziak nie radził nawet wsiadać do samolotu. Proponował poród w Stanach. Oczywiście nie brałam tego pod uwagę. Chciałam jak najszybciej znaleźć się w domu z Jaśkiem i Krzysztofem. Po trzech

dniach przyszedł trzynasty grudnia. Budowałam właśnie z dzieckiem wieżę z klocków lego, kiedy na ekranie telewizora pokazał się generał ze swoim pamiętnym przemówieniem. To był szok. Pamiętam, że się rozplakałam i rzuciłam klockami w ekran wykrzykując coś w rodzaju:

— *Jak on mógł, nie daruję.*

Natychmiast pojechałam samochodem do miasln. Mnóstwo śniegu, prawdziwe czołgi, jak na prawdziwej wojnie, wszędzie sporo ludzi, bez strachu przechadzających się pod groźnie uniesionymi lulfami.

W sklepach bardzo szybko zaczęło wszystkiego brakować, Rzuciłam się do organizowania zapasów. Pamiętałam opowieści wojenne babci, i to że najważniejsza jest mąka, cukier, kartofle. Na szczęście miałam trochę prawdziwych pieniędzy ze Stanów. Na nieocenionej Polnej udawało mi się od czasu do czasu zdobyć trochę jedzenia. Bardzo mi pomagała również pani Jadzia ze sklepu mięsnego na Wilczej. Wyczekiwałam cierpliwie na zapleczu między rąbanym mięsem i biegającym personelem — nerwowo odrywając kartki na mięso wołowe z kością zamieniane na wędlinę. Poród tuż-tuż. Znowu podanie do komendanta szpitala wojskowego na Szaserów. Pomyślałam, że gdzie jak gdzie, ale tam nie powinno zabraknąć środków opatrunkowych. Inne szpitale miały poważne trudności.

— *Co, będziecie rodzić żołnierza?* — zażartował komendant.

I urodził się żołnierz — Kasia. I tym razem do szpitala odwozili mnie sąsiedzi, a konkretnie Anka Minkiewicz. Już w połowie mostu Poniatowskiego myślałam, że nie dojadę. Pamiętając koszmar pierwszego porodu wybłągałam u lekarzy zastrzyk znieczulający. Podobno niebezpieczny. Wymaga od anestezjologa umiejętności zatrzymania igły przed cienką powłoką osłaniającą rdzeń kręgowy. Udało się. Poczułam się, jak cywilizowany człowiek, zaczęłam nawet rozmawiać z lekarzami, tyle że wskutek osłabienia bólów przestałam jakby brać czynny udział w porodzie. Trzech roślących położników właściwie wypchnęło łokciami moje dziecko na zewnątrz.

Krzysztof, który jak zwykle w ważnych sytuacjach życiowych był „przed premierą” — uciekł do Krakowa. Znowu zazdrościłam innym kobietom. Znowu nikt nie przychodził do mnie pod szpitalne okna, nie

podawał liścików. W dodatku omal nie zeszedłem z tego świata. Leżałem sama w izolatce z igłą w żyłę. Musiałam dostać sporo krwi. Zaczęło mi być strasznie zimno. Wpadła salowa, okryła kocem. Nie pomogło, przyniosła jeszcze jeden. W końcu, kiedy zobaczyła, że sinieją mi palce, a dreszcze przechodzą w drgawki, wezwała dyżurnego lekarza. Ten natychmiast odłączył kroplówkę. Okazało się, że pielęgniarka podała mi krew z inną niż moja podgrupą. Była to kobiecina tuż przed emeryturą, mocno starszawa i widocznie dokładnie nie sprawdziła. Tak mi się zrobiło siebie żal, że się rozplakałam i długo nie mogłam się uspokoić. Nie byłam pewna Krzysztofa, poprosiłam więc Agnieszkę Osiecką i Małgosię Frank o odebranie mnie ze szpitala. Krzysztof się jednak zjawił.

Rodząc Kasię byłam w o wiele lepszej sytuacji niż dwa lata wcześniej z Jaśkiem. Poza doktorem Diznerem i pielęgniarką Marylką miałam już Krysię. Kiedy Jasiek skończył rok, odeszła Jola — młoda dziewczyna znaleziona przez moją matkę we Włocławku. Była to osoba o szczególnym poczuciu sprawiedliwości. Kiedyś ugryzła ją pszczoła. Jola za karę łapała później każdą napotkaną pszczołkę i zamykała w butelce po oranżadzie.

Długi czas gnieździliśmy się w nie najlepszych warunkach w Teatrze STU w Krakowie. Mieszkaliśmy po prostu w gabinecie dyrektora. Było to dość uciążliwe, zważywszy potrzeby małego, paromiesięcznego dziecka — pranie pieluch, gotowanie kleików, zupek, spacerów. Oczywiście takie drobiazgi mogą nie mieć większego znaczenia, jeżeli tak zwane „pożycie” się układa. Partnera życiowego poznaje się w sytuacjach codziennych. Krzysztof, ten mój wyśniony mężczyzna o stalowych oczach, nie w każdym momencie zachowywał się elegancko. Był człowiekiem porywczym i wybuchowym.

Kiedyś po jakimś święcie krakowskim znaleźliśmy się na bankiecie w Pałacu pod Baranami. Tłumy artystów, oficjeli, sekretarzy, wojewodów. Krzysztof był w tym środowisku osobą znaną i szanowaną. Działął dłuższy czas we władzach komitetu wojewódzkiego. Kiedy go pytałam dlaczego, zawsze mi odpowiadał ze zniecierpliwieniem:

— *Przecież ktoś musi to wszystko od środka rozwałać.*

W końcu po wielu toastach udało mi się go z tego spotkania wyciągnąć. Z rynku skręciliśmy w boczną uliczkę pełną zaparkowanych samochodów. Zupełnie bez powodu Krzysztof zaczął bębnić w dach jakiegoś malucha. Wyskoczył z niego przerażony kierowca. Zobaczywszy przed sobą oszalałego faceta z dzikim wzrokiem i rozwianym włosom natychmiast wskoczył do samochodu i zaryglował się od środka. Nie wiadomo, czym by się to skończyło, gdyby nie radiowóz, który wyłonił się nagle zza węgła. Wstrętni milicjanci, nieświadomi, że mają przed sobą wybitnego, zasłużonego, krakowskiego artystę, spalowali sprawcę zająścia. Ja ze strachu i wstydu schowałam się w sąsiedniej bramie. Kiedy Krzysztof pokrzykiwał do milicjantów:

— *Wy nie wiecie kto ja jestem, jutro się dowiecie i będziecie zwolnieni* — ja rozdawałam autografy przechodzącym młodym ludziom. Po przyjściu do teatru nastąpił demolki ciąg dalszy Mój ukochany w pijackim szale zaczął przewracać wszystko, co znalazło się na jego drodze. Niestety, mierząc nogą w stół oszalały dyrektor rozciął mi luk brwiowy (chciałabym wierzyć, że był to przypadek). Nie trzeba być bokserem, żeby wiedzieć, jak wygląda oko po paru godzinach.

Następnego dnia robiłam wszystko, żeby odwołać swój udział w koncercie, który miał się odbyć po południu na krakowskim rynku. Oczywiście tłumaczyłam organizatorom, że się potknęłam na schodach i upadłam na jakiś kant. Udawali, że wierzą, ale zaśpiewać musiałam. Tona make-up`u, pudru i na rynek. Niestety, zbliżało się Opole, a tu oko gwiazdy mieni się kolorami: fioletowy, żółty, siny — do wyboru. No, ale pojechałam, zamalowałam i zaśpiewałam.

Daleko miłsze wspomnienia mam ze wspólnej wycieczki do Amsterdamu, gdzie Teatr STU został zaproszony na „Festival of Fools”, czyli festiwal nawiedzonych. Pojechaliliśmy tam z „Lokomotywą” W starych, opuszczonych dokach odbywały się przedstawienia teatralne, koncerty, dzień i noc snuły się malownicze tłumy z całego świata. Mieszkałiśmy na wodzie, w niedużej barce zamienionej na hotel. Krzysztof był dla mnie nadzwyczajnie miły. Potrafił jednak być fantastyczny. Przepadałam zwłaszcza za jego szczególnym poczuciem humoru. Zaprowadził mnie na koncert, jakiego nigdy wcześniej, ani później, nie widziałam.

Amerikanin. Nazywał się Jungo Eduards. Coś niesamowitego. Akrobata, piosenkarz, mim, aktor, komik w jednej osobie. Tłum szalał.

Po odejściu opiekunki Jaśka, Joli — moja niezawodna matka przywiozła mi do Warszawy z Mazur osiemnastoletnią Krysię. Jest z nami do dzisiaj, stała się członkiem rodziny, kimś bliskim. Bardzo się do siebie przyzwyczailiśmy. Krysia wzięła na siebie wiele obowiązków związanych z wychowaniem dzieci i prowadzeniem domu. Początkowo niewiele umiała, no bo i skąd. Kiedy na przykład zamiatałam podłogę, unosiła nogi do góry mówiąc:

— *O, tu jeszcze jest trochę brudno.*

Miała skłonności do obrażania się i to jej zostało, niestety, do dzisiaj. No, ale przy tylu zaletach — te drobne wady stały się mniej istotne. Krysia jest chodzącą solidnością i odpowiedzialnością. Dla niej wtorek wieczór, to zawsze był wtorek wieczór. Dzieci za nią przepadają, mimo że jest bardziej surowa i konsekwentna ode mnie. No, i ja mogę spokojnie jeździć po świecie mając pewność, że po powrocie zastanę potomstwo całe i zdrowe.

Kiedy Jasiek miał półtora roku pojechaliśmy na pierwsze wspólne wakacje na Kaszuby — do Somin. Załatwiła mi tam locum moja przyjaciółka — Kasia Gärtner. Nie było to na pewno miejsce moich marzeń, ale lato było piękne, okolica cudowna, a gospodarze przyrzadzali wspaniałego węgorza w marynacie. Najgorsze były muchy, które budziły nas skoro świt, w okolicach czwartej rano. Okna naszego pokoju wychodziły wprost na oborę.

Zjedzeniem było krucho (lato 1980). Zaczynały się poważne kłopoty ze wszystkim. Pamiętam jak z Krysią same robiłyśmy masło zbierając śmietankę z mleka, a potem potrząsając na zmianę słoikiem. Na obiady wędrowaliśmy do pobliskiego ośrodka wypoczynkowego. Karmili tam ohydnie, - ale wynajęli domek mojej matce, która przyjechała z mężem na grzyby. Po pewnym czasie zlitowała się nad nami i wzięła do siebie Krysię z Jaśkiem, żebyśmy mogli się wypaść i pobyć wyłącznie ze sobą. Krzysztof, niestety, świata nie widział poza rybami. Łowił do późnej nocy, a zaczynał bladym świtem. Zaczęłam się buntować. Nie miałam kiedy nawet z nim porozmawiać, przytulić się do niego. Tylko ryby

i ryby. Brałam więc do samochodu Krysię i Jaśka, i jechaliśmy do lasu na grzyby. Często towarzyszyła nam matka z ojczymem. Półtoraroczny Jasiek dzielnie dreptał obok — na widok grzyba z zachwytem wołając:

— *Dżip, dżip.*

Czasem odwiedzałam swoją szaloną koleżankę, Kasię Gärtner, mieszkającą nad jeziorem parę kilometrów od najbliższej wsi. Co ona tam robiła? Hodowała gęsi, pływała nago w jeziorze, romansowała ze znanym bluesmanem — Irkiem Dudkiem, później z jakimś tapicerem. No i pisała marsze dla wojska — na zamówienie. Opowiadała mi, że kiedy była sama, a zdarzało jej się to całymi miesiącami — brała do ręki lornetkę i oglądała sobie robotników kopiących jakieś rowy. Kiedyś wypatrzyła w ten sposób rosnącego blondyna i poczęstowała go kompotem z wiśni. Osilek się zakochał. Kiedy przyjechał tapicer — wiejski amant wchodził do sypialni Kasi po drabinie. Rozumiem, że tapicer sypiał na dole. Na dodatek Kasia sprezentowała zakochanemu chłopakowi nowy garnitur. Ten natychmiast opowiedział całej wsi, że szykuje się wesele. Skończyło się to wszystko bójką między warszawskim tapicerem i miejscowym kandydatem na męża.

W następnym roku, mimo że mała Kasia miała zaledwie cztery miesiące, spędziliśmy lato w Łagowie — aż pod granicą niemiecką. Zamieszkaliśmy w prywatnym pensjonacie u niejkiej pani Marii — w miejscu gorąco nam polecanym przez Krzyśka Maternę. Mój polonez wyglądał jak wóz cygański. Na tylnym siedzeniu maleńkie niemowlę ułożone w górnej części wózka. Obok dwu i półletni Jasiek i Krysia. Z przodu ja i Krzysztof. Na bagażniku nocniki, wanienki, kola od wózka, walizki, wędki. Do tego straszny upał, spanie po drodze w Poznaniu. Jasiek po wyjeździe z Warszawy pytał, czy to już wakacje, a w Poznaniu był już pewien, że to Łagów. Po przyjeździe na miejsce — rozczarowanie. Parterowe pawilony ustawione w czworobok, pośrodku maleńkie patio z jeszcze mniejszą fontanienką. Ja z dzieckiem — wiadomo — uziemiona, bo to i karmienia, i zmiany pieluch. Więc od rana całymi godzinami woziłam niemowlę w wózeczek, luli, luli. Ledwo dziewczynka zmrużyła oczy — trzaski drzwiami, ktoś wyszedł, dziecko obudzone. Ledwo znowu zasnęła — trzask — ktoś wszedł, i tak



Rodowicz, Osiecka, Gärtner, Zakopane 1978

w kółko. Pani Maria, właścicielka interesu, bardzo życzliwa, na początku zapraszała do korzystania z kuchni, lodówki, wszystkiego. Tyle że od razu ostrzegła, żeby się nie kręcić za bardzo pod nogami, bo przed

rokiem były poparzenia. I kiedy wstawiałam butelki z zupkami do lodówki przechyliła patelnię pełną gorącego tłuszczu, żeby zilustrować opowieść. Na szczęście wrzący olej wylał się obok mojej nogi. Do dzisiaj, trzymając w rękę rozgrzaną patelnię czy garnek, krzyczymy:

— *Uwaga, były poparzenia!*

Zdarzało się, że szefowa zapraszała nas na pokoje, podejmowała kolację, a potem wydłubywała spod swoich ukochanych róż widelcem robaki dla Krzysztofa na poranne ryby.

Kiedy następnego dnia razem z Anką Minkiewicz (która też zjechała z rodziną w to „urocze” miejsce) położyłyśmy się nieśmiało na betonie okalającym fontannę w celu opalenia swoich białych ciał, wpadła jak burza pani Maria nalegając na przeniesienie się na wąski skrawek trawnika — bliżej basenika. Po czym zniknęła, a po chwili spadł na nas lodowaty deszcz z uruchomionej przez nią fontanny.

Niemal codziennie jeździliśmy do pobliskiego Świebodzina na korty tenisowe. Przeważnie spóźnialiśmy się na kolację. Miła gospodyni zapewniała nas, że parę minut nie robi jej różnicy, ale pewnego dnia, kiedy usiedliśmy do stołu, dobiegły nas z kuchni niemile komentarze. Poprosiłam o łyżeczkę, a na to ni stąd, ni zowąd poleciały obelgi, że artystka marudzi i różne takie. Nie wytrzymałam, wstałam od stołu i ze słowami:

— *Mam tego dosyć* — udałam się zamaszystym krokiem w stronę wyjścia. Niestety, zawadziłam rękawem o klamkę i cała bluzka została w jadalni. Oczywiście musiałam się roześmiać. Złość pękła, jak ten rękaw. Pani Maria za to chodziła nadęta jeszcze przez parę dni, aż w końcu przyszła i ku mojemu zdumieniu... pocałowała mnie w rękę. Nierówna kobieta.

Tego lata do Łagowa przyjechało wielu naszych znajomych. Paweł Bromski (brat Jacka) ze swoją pierwszą żoną Ewą i małym Misiem — rówieśnikiem Jaśka. Kiedyś mój synek zamierzył się grubym kijem na synka państwa Bromskich. Krzyknęłam bez sensu, chcąc powstrzymać agresora:

— *Jaśku, nie bij Misia, bo się spocisz.*

Jasiek rzeczywiście przy byle wysiłku się pocił, a potem kaszłał. Był



Na krakowskim rynku, jem ziarno z ręki Materny (obok żona Materny — Majka)

tam również Zbyszek Żołędziowski (kiedyś prezes Stowarzyszenia Jazzowego, a obecnie businessman) ze swoją żoną — piosenkarką Zosią Kamińską i synkiem z pierwszego małżeństwa z Bogusią Wander. Śmieliśmy się po cichu ze Zbyszka, kiedy wydawał polecenia swojemu dziecku:

— *Za osiem i pół minuty jedziemy nad jezioro*

albo: -

— *Możesz być w wodzie tylko jednaście minut.*

I twardo egzekwował te minuty.

No i Materna z żoną Majeczką — długonogą, śliczną baletnicą. Majeczka spacerowała od rana do wieczora w kłapkach na bardzo wysokich obcasach i w bardzo kusych szortach. Nie muszę dodawać, że

stukając pantofelkami zawsze budziła małą Kasię, a stukiała często, wędrując do toalety znajdującej się po przeciwnej stronie palia. Lubiła poza tym obnażać — niezły zresztą — tors.

Siedząc godzinami z dzieckiem na tej małej przestrzeni, mogłam obserwować więcej niż inni.

Pracowała tam, w charakterze pomocy kuchennej, kobieta-zdun. Tak siebie zawsze przedstawiała. Nosiła męską fryzurę, męskie spodnie i opowiadała, że buduje piece. Ciekawostka zawsze odwiedzała męską toaletę.

To zamknięte miejsce w czworoboku stało się na te parę tygodni jakby przestrzenią teatralną, a goście — osobami dramatu. Krzysztof całymi godzinami zajmował się oczywiście rybami. Za domem zorganizował sobie hodowlę białych robaków na starym, śmierdzącym mięsie. Ubierał się w bardzo malowniczy strój wędkarski. Wkładał przywieziony przeze mnie ze Stanów piękny, szary kombinezon lotniczy, na to zawodową kamizelkę z klapkami, kółkami, rzepami na różne haczyki, żyłki, gumki, błyski. Do tego długie za kolana wadery, na głowie amerykańska wojskowa czapka z daszkiem, przez ramię przewieszona torba-koszyk pełna przegródek na śrubki, przynęty i Bóg wie co jeszcze. Tak wyposażony, z naręczem różnych wędek, udawał się nad jezioro. Kiedyś zabrał ze sobą Jaśka. Prosiłam, błagałam: — *Nie spuszczał go z oczu.*

Po godzinie dziecko samo przydreptało do domu. Tatuś nawet tego nie zauważył.

Przez pierwsze tygodnie pomagała mi bardzo moja niezastąpiona mama. Zostawała z niemowlakiem, kiedy ja grałam w tenisa, prała pieluchy. Niestety, jej mąż zaczął źle się czuć. Był po cię/kiej operacji żołądka. Choroba się rozwijała.

Pensjonat pani Marii leżał na trasie przejazdu zachodnich ciężarówek z darami dla Polski. Był stan wojenny. W zamian za darmowe noclegi dla kierowców właścicielka motelu dostawała w prezencie puszki, kielbasy, ubrania. Miała tym towarem wypchany cały jeden pokój. Kiedy wędlinki już swoje odleżały, wędrowały na stoły letników. Bez przerwy jedliśmy jakieś holenderskie mielonki i „poniemieckie salami.

18

1982 rok. Bojkot telewizji. Zaproponowano mi zagranie dziesięciu koncertów w sali bankietowej Hotelu Forum. Oczywiście bardzo chciałam, ale jednocześnie opadły mnie wątpliwości. Poszliśmy z Rysiem Koziczem — moim ówczesnym menażerem — do Janka Englerta, zapytać jak to jest. Pocieszył nas, że aktorzy mogą grać w teatrach, więc i na koncerty też jest przyzwolenie. Pobiegłam do magazynów Wytwórni Filmów Dokumentalnych na Chełmską. Wygrzebałam przedwojenne, oryginalne sukienki, buty, spodnie dla siebie i zespołu. Wyglądaliśmy jak okupacyjna trupa podwórkowa. Ja miałam na sobie wojskowe bryczesy, oficerki, stary frak. Spod fraka wychodził kawałek koronkowego szala, którym się po prostu owinęłam. Chórzystka włożyła wzorzystą sukienkę z żorżety, muzycy też wyglądali nie najgorzej. Telewizyjne, muzyczne programy opanowane były wtedy przez kapele rockowe. Pewnie decydenci chcieli nam pokazać:

— *Nie, to nie, mamy innych.*

Od wiosny do końca stanu wojennego gorąco namawiano mnie do nagrania recitalu w telewizji. Robił to nie kto inny, tylko moja największa przyjaciółka, mieszkająca w tym samym domu Anka Minkiewicz. Zapraszała na wystawne kolacyjki i tłumaczyła:

— *Wiesz, trzeba pracować. Nie wiadomo jak długo to jeszcze potrwa...* Przykro powiedzieć, ale dziś traktuje mnie jak wroga, kompletnie ignoruje, obsługując razem z mężem co ważniejsze imprezy „Solidarnościowe”.

Opierałam się więc jak mogłam. Zwlekałam. W czerwcu mówiłam: po wakacjach; po wakacjach, że późną jesienią; późną jesienią, kiedy już szeptano, że lada moment będzie koniec wojny, że poczekajmy, że to już lada chwila. I faktycznie, wkrótce było po stanie wojennym.

Dla mnie oznaczało to, między innymi, że mogę normalnie pracować. Bałam się tej nawałnicy rockowej w radiu i telewizji, która zmyśla skutecznie muzykę tak zwanego środka. Choć faktem jest też, że z kolei w latach 70-ych było dokładnie odwrotnie. Rock istniał głównie

w podziemiu, w klubach, garażach. Dopiero sprytnie nazwany muzyką młodej generacji — wyszedł na świat, pokazał się, a właściwie został pokazany. O rocku zaczęto pisać, zrobiono wokół niego spory szumek. Pojawiło się wiele nowych zespołów. Niektóre z nich, z rozpędu chyba, grały i pokazywały się w telewizji również w stanie wojennym, skutecznie się zresztą w ten sposób promując. A ja w tym czasie nagrałam dla radiowej „trójki” zabawny numer „Dentysta sadysta”. Zainspirowali mnie muzycy z mojego zespołu — Kleszcz (Andrzej Kleszczewski) i długowłosa Florek. Wojtek Przybylski, realizator nagrania spreparował do tego mnóstwo śmiesznych efektów dźwiękowych i wyszedł całkiem niezły pastisz muzyki punk. Kiedy pracowaliśmy, do studia wszedł ktoś spoza naszej ekipy. Wojtek zapytał:

— *Zgadnij, kto śpiewa?*

Człowiek zbaraniał. Popatrzył na mnie podejrzliwie, ale nie poznał mojego zniekształconego głosu. Przyszło nam do głowy, żeby całą tę zabawę pociągnąć dalej. Przede wszystkim podlansować w telewizji. Kompletnie się przebrać. Potem zrobić duży koncert na przykład w Katowicach. Superkoncert — supergrupy. Wjechać na scenę na Harleyach, w dymie, na twarzach stalowe maski. I zobaczyć co będzie. Grupa miała się nazywać „Różowe Czuby”. Była do tego wymyślona cała fdozofia. Chcieliśmy opasać Polskę różową linią. Dosłownie. Miał to być szeroki pas malowany różową farbą, biegnący przez ulice, domy, pola. Każdy mógł być autorem fragmentu linii. Miało to połączyć ludzi, jakby przez podanie sobie rąk. I właśnie finałem tej akcji miał być jeden jedyny koncert. Wymyślił to wszystko, podobnie jak tekst piosenki, przyjaciel Florka — pewien miły, nieco nawiedzony plastik z Łodzi — Jacek Bieleński. Zgłosiliśmy numer do telewizyjnej listy przebojów. Scenograf, Mafek Lewandowski, ubrał nas, jak trzeba. Różowe peruki, malowane twarze i zęby, czarne okulary (ja miałam nawet trzy pary), szczudła — i poszło. I ogromnie dużo głosów. Piosenka wysunęła się na prowadzenie.

Niestety. Czarne okulary zarezerwowane były dla generała. Zaczęto węszyć podstęp. Zawiadujący naonczas telewizją generał Czuba — wydał rozkaz:

— *Zdjść „Różowe Czuby” z anteny.*

Tak więc, mimo że „popelniłam kolaborację” (były to ostatnie dni stanu wojennego) — nie spodobałam się władcom i „wyczyścili” mnie z ekranu.

Całkiem niedawno moja koleżanka, Danka Rinn, powiedziała mi lekko obrażona i z niejaką wyższością:

— *Wiesz, dla mnie bojkot telewizji skończył się dopiero w momencie powstania pierwszego wolnego rządu Mazowieckiego.*

Mówiąc szczerze, nie wyobrażałam sobie takiej długiej przerwy w karierze piosenkarskiej. Taka przerwa, to pustka, śmierć artystyczna. Ale to moje zdanie i moje odczucia, nie każdy musi myśleć podobnie.

Pamiętam pewne zabawne zdarzenie z pierwszych dni stanu wojennego. Jechałam samochodem z Krzysztofem ze Śródmieścia do domu na Ursynów. Na każdym rogu stali żołnierze z czerwonymi latarkami. Był wieczór. Kontrolowali samochody. Na ulicy Sobieskiego nas zatrzymali. W momencie kiedy zbliżał się uzbrojony żołnierz, przypomniało mi się, że właściwie cały samochód jest wypchany materiałami z pamiętnego zjazdu „Solidarności” w „Olivii”. Z niedbalstwa, na tylnej szybie poniewierały się jakieś książki, broszury, w bagażniku wałały się całe rulony przeróżnych plakatów. Powiedziałam o tym histerycznym szeptem Krzysztofowi. Ten zdrętwiał. Wskoczyłam z samochodu. Zająłem się żołnierzem. Krzysztof udawał, że jest bardzo zaabsorbowany sankami, które akurat kupiliśmy i wieźliśmy na tylnym siedzeniu. Usiłował zrzucić na podłogę trefną bibułę. Ja nachalnie próbowałam zajrzeć żołnierzowi w oczy. Bardzo chciałam, żeby mnie poznał. Oczywiście poprosił, żeby otworzyć bagażnik. Płacąc coś bez sensu, zrobiłam to, po czym wyciągnęłam jedyny leżący tam własny plakat i wepchnęłam mu go do ręki. Oczywiście zapytał, co to za rulon. Powiedziałam bez mrugnienia okiem, że to moje stare, byle jakie plakaty. Kiedy się nachylił, żeby zajrzeć do środka, przytrzasnęłam mu głowę klapą — z nerwów. Skończyło się na strachu. Kiedy już ruszyliśmy, Krzysztof nie omieszkął powiedzieć, co myśli o mnie.

Żeby móc porozumiewać się ze światem (telefon założyli mi dopiero w osiemdziesiątym czwartym roku) uprosiłam milicjantów z pobliskiego komisariatu, aby pozwolili mi korzystać z ich telefonu. Wieczorami, kiedy dzieci już spały, biegłam na drugą stronę ulicy, pukalam, otwierały

się ciężkie drzwi i dzwoniłam do lekarza, muzyków, menażerów. Doktor Dizner, który odwiedzał nasz dom co parę dni, pobierał w tym czasie zapłatę w benzynie. Trzeba było pociągnąć ustami benzynę przez rurkę włożoną do baku i szybko przełożyć ją do kanistra doktora.

Pewnie każdy miał wtedy swoją zaprzyjaźnioną stację benzynową. Mnie ratował pan Tazio na stacji przy Wycścigach. Podjeżdżało się nocą, gasiło światło i do środka. Za zasłonką często spotykałam znanego dżokeja Melnickiego, a zdarzali się i ubrani po cywilnemu milicjanci. Obowiązkowo trzeba było wypić z nimi szklaneczkę wina i do domu.

W tym czasie pojechałam na parę koncertów do Czechosłowacji. Oczywiście w swoich okupacyjnych kostiumach. W jakimś miasteczku źle zaparkowałam samochód. Podbiegł do mnie milicjant z wrzaskiem. Ja do niego w te słowa:

— *Panie policjancie...*

Waląc w samochód zaczął krzyczeć:

— *Teraz są milicjanci, policjanci byli za republiki, a to se ne vrati.*

— *Bohu žel* — dodałam, co znaczy po czesku: niestety.

Milicjant poczerwieniał ze złości i uprzedził, że zrobi z tego użytek.

Po przyjeździe do Pragi udaliśmy się prosto do sali Lucerny na próbę.

Tam już czekał naczelny dyrektor Pragokoncertu — bardzo ważna osoba — niejaki Hrabal. Wziął mnie na bok (znaliśmy się ponad dziesięć lat) i powiedział:

— *Te kostiumy, o których już mnie powiadomiono, tu w Pradze nie przejdą. Poza tym wiem, co powiedziałaś policjantowi w Ostrawie. Mało tego, mam taśmę z koncertu, gdzie opowiadałaś całą tę historię ze sceny. Jeżeli nie zmienicie tych wojskowych mundurów — nie ma koncertu.*

Ja na to:

— *To wcale nie wojskowe, mój dziadek był leśnikiem i stąd te zielone spodnie.*

Nie chciał uwierzyć. Na złość wystąpiłam więc w kostiumie dzikiego zwierza z parometrowym ogonem. Na szczęście koncert był udany. Moja kochana czeska widownia i tym razem nie zawiodła. Parotysięczna sala była pełna.

Pierwszą połowę lat osiemdziesiątych przeżyłam dzięki koncertom



Z Karelem Gottem w Pradze

w Stanach Zjednoczonych i Związku Radzieckim. Raz w roku grałam przez sześć tygodni w Chicago, potem mogłam pobyc z dziećmi w domu. Następnie jechałam do Rosji, gdzie siedziałam kolejne sześć tygodni. I znowu pół roku spokoju. Na rynek radziecki wprowadził mnie Ryszard Kozicz — autor tamtejszych sukcesów Skaldów i Ewy Demarczyk. Naród mnie tam znał, choćby z telewizyjnych transmisji festiwali sopockich. Rosjanie od lat śpiewali moje „Wozy kolorowe”, „Wsiąść do pociągu”, „Kolorowe jarmarki”.

Już pierwsza trasa była wielkim sukcesem. I tak do końca. Graliśmy przeważnie w wielkich halach sportowych. Na przykład w Kijowie w ciągu tygodnia odbyło się dziesięć koncertów — każdy zgromadził po dziesięć tysięcy ludzi. Żeby była jasność, nie miało to żadnego wpływu na moje honorarium. Wszystko jedno, czy na sali było tysiąc osób, czy dwadzieścia tysięcy — suma nie ulegała zmianie. Pagart podpisywał wtedy właśnie takie umowy. Bez względu na to czy grupa estradowa liczyła dwudziestu artystów, czy trzech — kontrakt opiewał zawsze na tysiąc, tysiąc sto rubli na całą grupę z aparaturą, światłami i ekipą techniczną. Ale przy dużej liczbie koncertów — dawało to sumę, która wszystkich satysfakcjonowała. We wszystkich „demoludach” można było zarobić dużo więcej niż u nas. Do Rosji, jak pamiętam, każdy chciał wyjechać, by podreperować kieszeń. Nie wytrzymywałam tak intensywnego koncertowania, niestety, fizycznie. Półtorej godziny śpiewania, a kiedy były dwa koncerty dziennie, to trzy, dawało się we znaki. Pod koniec trasy ledwo mówiłam. Do tego dochodził mocno niehigieniczny tryb życia. Wieczorem obowiązkowe biesiady w knajpach, wódeczka, obfite kolacyjki, potem przespianie dnia, obiad, próba, koncert i to samo.

Po paru latach takiego życia nabawiłam się tam alergii. Przez całe sześć tygodni koncertowania miałam na ciele dziwne czerwone plamki. W Odessie zaprowadzono mnie do rzekomo wybitnej pani profesor. Staruszka była już na emeryturze, przyjęła mnie w domu. Przez lupe obejrzała moje ręce i poradziła, żebym się częściej myła — najlepiej raz na dwa dni.

Po powrocie do Warszawy, kiedy weszłam do domu (był wieczór, dzieci już spały), matka poczęstowała mnie zimnym piwem. I zaczęłam umierać. Przynajmniej tak mi się wydawało. Zesztywniał mi kark, spuchły wargi, powieki, język, zaczęło mi brakować powietrza, Zdążyłam tylko powiedzieć do Andrzeja (już był Andrzej):

— *Wież mnie do szpitala, coś się ze mną dzieje...*

Zawiózł mnie do szpitala na Komarowa, gdzie pracował jego szwagier. Pędził jak szalony, nie zważając na czerwone światła. W izbie przyjęć oczywiście, bez względu na stan pacjenta, najpierw urzędniczka musiała spisać dane. Jak przez mgłę pamiętam, że Andrzej omal ich wszystkich



Po ślubie na kolacji w „Świątoshku” na Starym Mieście

nie podusił z wściekłości. Okazało się, że miałam ostry atak alergii. Nazywa się to obrzęk Quinquego i rzeczywiście, jeżeli nie poda się natychmiast dożylnie hydrocortisonu i wapna, następuje zejście. Widząc ile zdrowia kosztują mnie te rosyjskie trasy, Andrzej powiedział:

— *Dosyć. Przejmuję cię na utrzymanie. Ciebie i twoją rodzinę.*

I to był chyba niezły pomysł.

19.

Nie najgorszym pomysłem była też propozycja Rysia Kozicza, bym zagrała parę koncertów w Leningradzie. Na próbę. Ponieważ poszło niezle, posypały się oferty z tamtej strony świata. Był rok 1980 i po rozpadnięciu się Skaldów (Zielińscy zostali wtedy w Stanach), stałam się dla Kozicza nowym koniem w jego pustej stajni. Dla mnie to był nowy rynek. Moje kontakty z Czechami były coraz luźniejsze, z NRD to

samo. Czasy w Polsce niepewne, a moje pierws/e dziecko już było na świecie. Wiedziałam, że w związku z Krzysztofem, to ja muszę utrzymać dom. Już na początku naszej wzajemnej fascynacji, z rozbijającą prostotą wyznał, że jemu do szczęścia potrzebna jest tylko szczoteczka do zębów, że mieszkać może byle gdzie, a najlepiej w teatrze, i że nie ma zamiaru chałturzyć w celu gromadzenia jakichś bezsensownych dóbr doczesnych. Jest człowiekiem sztuki i nie zniesie nawet prób zamachu na jego wolność osobistą przejawiającą się w niezależności finansowej. Jak powiedział, tak i zrobił. I jest konsekwentny do dzisiaj.

Prowadził na przykład bardzo zawiłą politykę swoich układów z ZPR (Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe). Instytucja ta zajmowała się kiedyś organizacją życia cyrkowego w Polsce. W pewnym momencie — nie wiem czy dla kaprysu, czy chcąc pomóc teatrom wywodzącym się z ruchu studenckiego — ZPR wzięły pod skrzydła między innymi Teatr STU z Krakowa. Finansowali te oryginalne sceny i w zamian za to oczekiwali lojalności, a w pewnym momencie i doradztwa artystycznego Krzysztofa. Przez rok — raz w tygodniu, a bywało i częściej —



Ja w bluzie armii USA z grupą żołnierzy radzieckich 1980

jeździł więc do Warszawy na jakieś narady, konsultacje, w imię swojej niezależności nie przyjmując należnego mu honorarium. Szkoda tylko, że nie odmówił wyjazdu na festiwal cyrkowy do Monte Carlo w momencie, kiedy rodził się Jasiek. No, ale atrakcje nieporównywalne.

Krzysztof nie wziął też pieniędzy za wyreżyserowanie galowego koncertu odbywającego się z okazji dni kultury polskiej w Moskwie i Leningradzie zaraz po stanie wojennym. Powiedział, że gdyby wziął pieniądze, byłoby to kurestwo. Wolał być czysty, w swoim przekonaniu. Od brudnej roboty byłam ja. W koncertach tych, poza mną brali udział: grupa Vox, Hania Banaszak, Krystyna Prońko i inni.

Pech chciał, że występ moskiewski wypadł w czasie świąt wielkanocnych. Mieszkaliśmy w ogromnym Hotelu Rossija, a graliśmy w reprezentacyjnej dużej sali w tym samym budynku. W dniu koncertu zorganizowaliśmy w jednym z pokoi dla całej ekipy uroczyste świąteczne śniadanie. Alkohol był schowany w szafie, gdzie miał przeleżeć do wieczora. Wszyscy zjawili się odświętnie ubrani. Panowie stwierdzili, że kieliszeczek wódki nikomu nie zaszkodzi i zaczęło się. Koło południa pobiegliśmy na dół na próbę generalną. Po scenie płała się dwóch moich pijanych muzyków: gitarzysta — Rysiek Sygitowicz i Florek Ciborowski — człowiek utalentowany, grający na wielu instrumentach (niestety — na żadnym perfekcyjnie). Reżyser — Krzysztof dostawał szału, wdając się w niepotrzebne dyskusje z moimi wstawionymi kolegami. W końcu udało się odtransportować ich na górę. Krysia Romanowska (pracownica Pagartu) robiła wszystko, żeby ich doprowadzić do stanu używalności: kawy, kąpiele, kawy, kąpiele. Florek i tak już był na cenzurowanym po numerze, jaki wykonał dzień wcześniej na oficjalnym bankiecie zorganizowanym dla nas przez stronę radziecką. W pewnym momencie, po przemówieniu jakiegoś ważnego „czynnika”, wznosił toast: **Za następną rewolucję i drugi wystrzał z *Aurory***. Oczywiście natychmiast poszła notatka gdzie trzeba. Poza tym nasza delegacja z powodu postu nawet się nie zbliżyła do bankietowego stołu zastawionego suto mięsiwem. I afront dla gospodarzy gotowy. W Leningradzie, który był drugim miastem na naszej krótkiej parodniowej trasie — nowa afera. Kiedy przyjechaliliśmy do miejscowego

Domu Kultury, powitał nas... mój portret. Ogromny, specjalnie z tej okazji namalowany i bardzo wysoko zawieszony. Miał reklamować nasz koncert. Była to całkowicie prywatna inicjatywa kierownika obiektu, kierującego się pewnie moją tam popularnością. Nie najlepiej się poczułam w stosunku do znakomitych kolegów.

W Polsce dowiedziałam się, że Prońko wysmażyła na mnie z tego powodu donos, nie pierwszy zresztą. Napisała, że to moje osobiste układy z reżyserem spowodowały, że nie odniosła sukces, ale ja. Swoją drogą, nigdy by mi nie przyszło do głowy, żeby w laki sposób — albo w ogóle w jakikolwiek inny — walczyć z konkurencją. Nie była to jedyna przykrość, jakiej doznałam od swojej koleżanki.

W 1980 roku w Opolu postanowiłam wykonać w koncercie premier, a więc w konkursie piękną pieśń napisaną przez Kantego-Pawluśkiewicza „Hej, żeglujże, żeglarzu!”. Nagrałam ją wcześniej w radiu, w trzecim programie. W myśl regulaminu oceniane mogły być tylko piosenki premierowe, a więc nie prezentowane wcześniej nigdzie na antenie. Koleżanka Prońko usłyszała jednak w jakiejś radiowej audycji moje „dzieło”. Piosenka bardzo się podobała już na próbach w opolskim amfiteatrze. Zaczął się koncert. Za parę minut powinnam wyjść na scenę. Już stoję na schodkach z tyłu dekoracji. Nagle podchodzi do mnie Andrzej Jaroszewski (komisja artystyczna festiwalu) i mówi:

— *Maryla, trudna i nieprzyjemna sprawa, nie wiem, jak ci to powiedzieć. Wpłynął do nas przed chwilą oficjalny protest, że twoja piosenka była puszczona przez niewagę w radiu i w myśl przepisów nie jest premierowa. Wiesz, to nie jest takie istotne i często się zdarzało innym utworom, ale w tej sytuacji nie wiemy, jak się zachować, bo twoja koleżanka bardzo się upiera, no i jest to na papierze, zdecydowaliśmy więc, że nie będziemy ciebie brać pod uwagę w konkursie. Oczywiście możesz wyjść i zaśpiewać, jak chcesz.*

Nogi się pode mną ugięły. Jakby mnie ktoś w łeb palnął. Łzy w oczach. Wyszłam jednak i na trzęsących się nogach, niżącym głosem odśpiewałam, co miałam odśpiewać.

Aha, w tym proteście był jeszcze argument (ten sam, co w Lenin-gradzie), że werdykt jury będzie na pewno stronniczy z powodu obecności

w nim Jasińskiego. Koleżanka donosicielka nie wiedziała, że Krzysztof, aby uniknąć takich podejrzeń, miał w ogóle nie zabierać głosu, gdy jury będzie mnie oceniało. Pani P. do dzisiaj zresztą — choć nie zrobiłam jej nic złego — traktuje mnie jak powietrze i nie odpowiada nawet na moje „dzień dobry”. Zawsze w mojej obecności jest nadąsana. Wygląda to na zwykłą zawiść, więc kiedy zdarzają nam się wspólne koncerty i widzę, że koleżanka schodzi na małych brawkach, nie ukrywam, że nie rozpaczam z tego powodu.

Moskiewski toast Florka miał w Warszawie swój dalszy ciąg. Kiedy przyszedł kontrakt na kolejne koncerty w Rosji, Kozicz przyniósł mi hiobową wieść:

— *Florek ma zatrzymany paszport, a za tydzień wyjazd.*

Rany boskie, gdzie ja znajdę nowego muzyka, kiedy z nim przygotowuję taki duży repertuar, no i wiem jeszcze, że dużo wody musi upłynąć, żeby dobrze się poczuć i dobrze zagrać w nowym składzie.

Co robić? W Pagarcie powiedziano mi, że decyzję zmienić może tylko Urząd Paszportowy na Koszykowej. Więc poszłam na Koszykową. Zadzwoniłam, przedstawiłam się i umówiłam z naczelnikiem. Ten mi powiedział, że o Florcu wie wszystko, między innymi to, że przywoził do Związku Radzieckiego niepożądane publikacje i kontaktował się tam z podejrzanymi ludźmi. Ja na to, że to bzdura, że wysrane z palca i że równie dobrze można takie informacje sprzedawać na przykład o mnie. W tym momencie pan naczelnik się ożywił i oświadczył, że owszem i ja mam swoją bogato zapisaną kartotekę. Wiedzą również dokładnie co powiedziałam na przykład na dworcu w Wilnie i ze sceny podczas swoich koncertów tamże. Był to strzał z grubej rury. Postałam jeszcze chwilę i wyszłam. Nie zrezygnowałam jednak z walki o Florka. Agnieszka Osiecka poradziła mi:

— *Idź do Kiszczaka, ostatnio był laskawy dla mojego przyjaciela-poety i zwolnił go z Białoleki.*

Zadzwoniłam i zostałam umówiona z generałem. Na spotkanie jechałam mocno zdenerwowana. Byłam pierwszy raz w tym ponurym gmaszysku na Rakowieckiej. Wartownik podprowadził mnie do windy. Kolejny anioł stróż wjechał ze mną na górę. Generał Kiszczak oschle się ze mną przywitał i usiadł za biurkiem tyłem do okna. Poczulałam się jak na przesłuchaniu. Twarz mojego rozmówcy tonęła w półmroku.

Usiłowałam swobodą pokryć zdenerwowania. Wszystko wypadło sztucznie, tym bardziej że oko generała pozostawało kamienne i nieprzeniknione. Przedstawiłam sprawę. Obiecał sprawdzić i poprosił o telefon. Czas naglił. Do mojego wyjazdu zostało parę dni. Na wszelki wypadek, zdesperowana, zaangażowałam nowego muzyka. Po dwóch dniach sekretarka Kiszczaka poinformowała mnie o utrzymaniu w mocy „szlabanu” na paszport Florka. Prosiła o kontakt po moim powrocie z koncertów. Oczywiście zadzwoniłam. General powiedział, że wszystko jest na dobrej drodze, tyle że chcą osobiście porozmawiać sobie z delikwentem. Rzucił nawet „lekki żart”:

— *Niech no tu przyjdzie ten Ciborowski do nas na Rakowiecką, to mu pozrywamy trochę paznokci.*

Florek — znany wesolek i prześmiewca — przedstawiał nam różne wersje przyszłego „widzenia” z panami życia i śmierci. Wyobrażał sobie, że na przykład ubierze się po amerykańsku: włoży marynarkę w kratę, pod nią dwa wyraźnie wystające „guny”, usiądzie na biurku Kiszczaka, klepnie go mocno w plecy i żartobliwie rzuci:

— *No, co tam, kolego!*

Trzeba wiedzieć jak wygląda nasz Florek. Mała chudzina, z włosami do pasa, sumiaste wąsy, wojskowe buty na grubej podeszwie, spodnie-panterka, najchętniej jeździ na Harleyach. Umieraliśmy ze śmiechu. Skończyło się na rozmowie naszego kolegi z jakimś pułkownikiem czy majorem, ale paszport był. Ledwo wyjechaliśmy na wschód, Florek wykonał kolejny numer. Urządził karczemną awanturę portierowi w hotelu, który za nic nie chciał wpuścić na górę panienek z miasta. Prawie zawsze na tych etatach obsadzeni byli przecież w ost-bloku emerytowani ubecy. Szwajcarzy, szatniarze — to byli „bankowo” policjanci. W mundurkach, czapkach, zawsze się niemilosiernie panoszyli, byli najważniejsi. A Florek był na etapie udawania hitlerowca i marzył o butach-oficerkach. Zobaczył je w komisie w Jeleniej Górze. Oczywiście zapożyczył się i kupił, mimo że były o cztery numery za duże. Do znudzenia powtarzał w Rosji ten sam numer. Szedł korytarzem waląc obcasami i krzyczał:

— *Zgadnijcie, kto idzie.*

I tak w kółko. Ciekawe, że niezmiennie nas to śmieszyło. Wielokrotnie przesadzał. Zwłaszcza w samolotach, a lataliśmy co tydzień. Graliśmy tylko w stolicach republik — od wtorku do niedzieli, w poniedziałek przelot do następnego miasta, granie i znowu w poniedziałek w samolot. Florek panicznie bał się latania (choć podobno fruwał na lotniach). Od razu po starcie, a bywało, że i przed, musiał się „zgluszyć” alkoholem. Mało ważył, więc błyskawicznie się upijał i wtedy, niestety, bywał po prostu mało dowcipny. Kiedyś zaczął się zachowywać wyjątkowo głośno. Wstawał, unosząc rękę w hitlerowskim pozdrowieniu. Robił to w dodatku w kierunku dwóch umundurowanych, obwieszonych medalami radzieckich wojskowych. Ci dostawali szału. Chcieli nawet spowodować natychmiastowe lądowanie. Żadne prośby i groźby na Florka nie działały.

Kiedy zaczęliśmy razem pracować, miał jedną parę spodni i dziurawe buty. Pamiętam, w wieczór poprzedzający ogłoszenie stanu wojennego



Ja i Florek

siedzieliśmy w mojej przytulnej kuchni razem z nim i Kleszczem (gitarzystą). Około dwunastej w nocy koledzy wyszli. Florek w letniej wojskowej kurteczce i w butach z odpadającymi podeszwami. W Rosji; postanowił się obkupić. Po koniec trasy miał już piękną, twardą walizkę, nabytą w indyjskim sklepie, a w środku dwie złote obrączki. Nic więcej. To był jego cały majątek. Ponieważ identyczne walizki kupił sobie prawie cały zespół — Florek brał swoją, potrząsał i pytał:

— *Czyja to?*

Śmiechom i żartom nie było końca. Najzabawniejszy był na kacu. Tylu komicznych opowieści, powiedzonek nie słyszałam nigdy przedtem, ani potem. Poza tym był naprawdę miłym, przeważnie niekonfliktowym kolegą, co nie jest bez znaczenia zważywszy na wielotygodniowe przebywanie w jednej grupie od rana do nocy.

No i jego talenty muzyczne. Grał na „wiórach”, czyli skrzypcach — na nutę cygańsko-countrowo-bluesową. Na „klepce”, czyli banjo — jak poćwiczył — całkiem, całkiem. Na mandolinie też potrafił, jak chciał, a najlepiej na harmonijce ustnej. Jak tylko zobaczył odstawioną na statywie gitar, — natychmiast łapał za „wiosło” i „przepowiadał”. Przeważnie „o siedmiu zbójach”, czyli marnie, ale za to miał duszę do walki. Zawsze doprowadzał tym do wściekłości gitarzystów, ponieważ ze sprzętem przeważnie obchodził się nieostrożnie — rozstrajał, obijał. No i rwał się też do bębenków. Jak tylko bębniarz rozstawił przed koncertem perkusję — już Florek za nią siedział. I pukał, i stukał. Do tego był inteligentny, a żył, jak boża krówka, z dnia na dzień, niczym się nie przejmując. W końcu się ożenił, przytył z trzydziestu ośmiu kilogramów aż do sześćdziesięciu kilku. Dobra żoneczka (anglistka) zarabia na życie, kupuje mu jego ukochane motory, a Floruś całymi dniami leży brzuchem (ma już brzuch) do góry i albo rozbiera, albo składa Harleya, czyli robi to, co lubi. Włosów nie obciął. Jest ponad modą.

Nie najmiłsze wspomnienia zostały mi w związku z moimi „orłami” (Florek i Kleszcz) — z podróży do Tel-Awihu. Wylecieliśmy z Warszawy do Budapesztu (wtedy jeszcze nie było bezpośredniego połączenia między nami i Izraelem). Był drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia.

Wiedzieliśmy, że spędzimy cały dzień na lotnisku, czekając na następny samolot.

Andrzej, który mi towarzyszył, przezornie wziął z banku trochę forintów. Moi koledzy oczywiście byli „goli”. Po wylądowaniu zostawiliśmy im trochę pieniędzy, a sami wyruszyliśmy do miasta. Kiedy po paru godzinach wróciliśmy na lotnisko oczom naszym ukazał się swojski widok. W pustej restauracji siedzieli, a raczej leżeli na stoliku moi muzycy. Obok nich stopy petów i puszek po piwach. W czasie odprawy paszportowo-bagażowej jakiś ważny węgierski funkcjonariusz po prostu nie chciał zabrać ich w tym stanie do samolotu. Kleszcz, który był zaprawiony w piwnych bojach (codzienny trening robi swoje, no i wzrost — prawie dwa metry), trzymał się jako tako. Florek — z wiszącymi w nieładzie włosami, z wystającą gdzie niegdzie koszulą, wyglądał mniej apetycznie. Wziął pod pachę skrzypce, banjo, mandolinę, walizkę i udał się do kontroli. Przed celnikiem wszystko mu wypadło z rąk, walizka się oczywiście otworzyła. Afera. Andrzej musiał odbyć poważną rozmowę z groźnym urzędasem. Obiecał mu, że bierze muzyków pod opiekę i że nie wypiją już nawet grama piwa. Ledwo Florek znalazł się w sali odlotowej pierwsze kroki skierował do baru.

Inna historia — tym razem w Wiedniu. Pojechaliśmy tam na jeden jedyny koncert do klubu polonijnego. Ja z Andrzejem — samochodem. Florek z Kleszczem — samolotem. Organizatorzy zawieźli ich do hotelu. Tam mieli zostawić walizki, przebrać się i do klubu — na koncert. W ciągu godzinnego pobytu w hotelu, koledzy zdążyli wypić półweczkę. Do garderoby przyleciał zdenerwowany szef całego interesu z awanturą:

— *Z kim pani pracuje, czy myślicie, że to stodoła, oni są pijani, mogą zerwać koncert...* — i tak dalej.

Głupia sprawa. Wiedziałam, że jak wejdą ludzie, zrobi się gorąco, mała salka — koledzy się ugotują i może być tylko gorzej. Tak też się stało. Przez dwie godziny męczyłam się jak potępieniec. Kleszcz grał na gitarze po prostu niedokładnie, co mnie zawsze zbijało z pantałyku. Natomiast Florka trzeba było po prostu widzieć. Grając na skrzypcach zdarzyło mu się zahaczyć smyczkiem o niski sufit. No, oczywiście — tak mu się to spodobało, że robił to bez przerwy. Walił w czynele i werbelki

zupełnie nie w w tych miejscach, kiedy było trzeba. Poza tym ciągle gubił pałeczki. Szukając ich przewracał tyłkiem resztę swoich instrumentów. Usiłował palić papierosa, gadał, śmiał się, a cały czas na oczach blisko siedzącej widowni. Strasznie mnie tym wszystkim dekoncentrował. No — pomyślałam sobie — poczekajcie. Niech no tylko się skończy granie. Było to jakoś wkrótce po pamiętnej wycieczce do Tel-Awihu, gdzie spisałam z kolegami umowę, że jeżeli zdarzy im się wypić przed koncertem, a odbije się to na poziomie występu — grają za darmo. Postanowiłam z dobroci serca potrącić im w końcu połowę honorarium. Zaprotestowali ostro, a w rezultacie rozstaliśmy się na amen. Żałuję bardzo, że tak się stało, bo po pierwsze — bardzo ich lubiłam, po drugie — dobrze mi się z nimi grało. Zwłaszcza Kleszcz był i jest wyjątkowym muzykiem. Świetny gitarzysta, grający z dużym wyczuciem, sprawny technicznie. W dodatku dobrze, rasowo wyglądający na scenie. Chłopak o wyjątkowo łagodnym i pogodnym usposobieniu. Graliśmy razem przez dziesięć lat. To niemało. Wystarczająco długo, żeby się dobrze poznać i zgrać. No, ale trudno. Teraz Kleszcz gra z Krzyśkiem Daukszewiczem.

Bardzo nie lubię zmian personalnych w zespole, a przychodziło mi już grać w tak różnych składach, z tyloma różnymi muzykami, że mogę coś niecoś powiedzieć o tej specyficznej grupie ludzi. Bo to, że są inni od wszystkich, to pewne. Ich największą wadą jest brak lojalności w stosunku do szefa kapeli, pracodawcy. Na pewno, gdybym miała inny system zawierania umów (to znaczy, gdybym je w ogóle zawierała) nie przeżywałabym przykrych, powtarzających się niespodzianek. Zacznę od tego, że nasza branża jest zorganizowana po amatorsku, a mówiąc dokładniej w ogóle nie jest zorganizowana. Pracuje się przeważnie na tak zwaną „gębę”. Umawiamy się — gramy razem, za tyle i tyle, I dziękuję. No, oczywiście muzyk wie, że jeżeli ma jakąś inną propozycję, powinien do mnie zadzwonić i przynajmniej ustalić terminy. Musi być obecny na próbach, mieć kostium (to oddzielny temat), być sprawnym i trzeźwym na koncercie. Do niedawna w sprawach finansowych — w kraju — panowała jasność.

Za komuny istniały tabele płac ustanawiane przez specjalną komisję



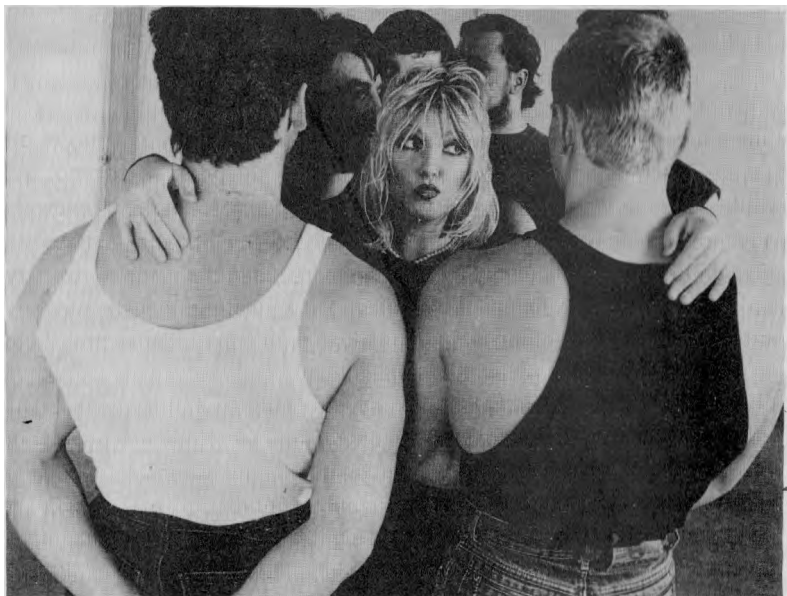
Z ulubionym gitarzystą Andrzejem Kleszczewskim

w ministerstwie kultury. Muzyk — tyle, piosenkarz — w zależności od kategorii (też wymyślonej przez urzędników) — tyle i wiadomo. Za granicą, przy wyjazdach pagartowskich było inaczej. Kontrakty opiewały na określoną sumę, na przykład: do NRD wyjedzie Rodowicz z zespołem za siedemset marek wschodnich od koncertu. Jak to podzieli między swoich ludzi (10, 12 osób) — jej sprawa. Oczywiście zawsze wszyscy chcieli zarabiać jak najwięcej, ale ponieważ tych wyjazdów ze mną było sporo — każdemu się raczej opłacało.

W tej chwili jest inaczej. Układy rynkowe, czyli można dostać tyle, ile się wynegocjuje. Z drugiej strony, kiedy gra się koncerty w niewielkich salkach (300, 400 miejsc), w powiatowych domach kultury — sumy te są ograniczone. Bilety sprzedaje się po 30, 40 tysięcy. Przy wysokich cenach hoteli, transportu — jeżeli organizator wychodzi na zero, jest szczęśliwy. Zdarzają się czasem koncerty wyjątkowe, sponsorowane i wtedy honoraria bywają dużo wyższe. Do tego dochodzi ogólny

krzys — również w kulturze. Krótko mówiąc — nie jest wesoło. Wyjazdy do klubów polonijnych przestały się lak bardzo opłacać jak kiedyś.

Dolar, wiadomo, spadł, a kontrahenci nie myślą podnosić stawek. Muzyk na przykład, jeśli chciał kupić sobie instrument czy zarobić na mieszkanie, grał miesiącami na „łódkach”, czyli statkach pasażerskich. Przeważnie zresztą pływających na atrakcyjnych trasach: Karaiby, Stany Zjednoczone, Japonia. Wynajmowali się w charakterze muzyków umilających podróż pasażerom. Były to przeważnie bardzo długie — półroczne i dłuższe — kontrakty. Różnie to znosili. W końcu to nie przyjemnego spędzać tyle identycznych dni na wodzie, nie można się napić, bo natychmiast zostałyby się odesłanym do kraju. Zdarzało się zresztą i to. Najgorsze były chyba rozłąki z rodzinami, z domem. Ot, los marynarza. Z konieczności muzycy prowadzili życie dużo bardziej higieniczne niż zazwyczaj. Znam takich, którzy na przykład w tym



W klubie „Hercules” z kulturystami

czasie dużo trenowali fizycznie, ćwiczyli na instrumentach, pochłaniali ogromne ilości książek. Można jeszcze się sprzedać do knajpy — najczęściej do Skandynawii. Też długie kontrakty. Albo cyrki w zachodniej Europie. Dzięki nim utrzymywał się na przykład przez ostatnie lata big-band Alka Maliszewskiego. Dziewięć miesięcy w roku — na przykład Szwajcaria i Francja. Każdy muzyk musiał mieć swoją przyczepę samochodową — mieszkanie, którą ciągnął za sobą jeżdżąc z miasta do miasta.

Rok temu zaczęłam współpracować z bardzo dobrym pianistą z Poznania — Wojtkiem Olszewskim, któremu właśnie zdruzilo się granie dla słoni. I nagle ni stąd, ni zowąd oświadczył mi, że nie może pojechać ze mną na koncerty do Stanów (trzy tygodnie), ponieważ ma inne, ważne zajęcia.

— *Jak to, Wojtek, na Boga, podpisałam przecież kontrakt, do wyjazdu zostało parę tygodni...*

— *Jadę, ale zagwarantuj mi na piśmie jakieś minimum pieniędzy.*

Teraz rodzi się pytanie podstawowe, czy nasz kontrahent załatwi dla nas wizę, co ostatnio staje się coraz trudniejsze. Amerykanie wyraźnie nie chcą wpuszczać artystów grających dla mniejszości. Uważam, że to nie jest w porządku, bo w ten sposób utrudniają kontakt tych ludzi z ich własną kulturą. I to ma być ta sławna amerykańska demokracja? Toż to wyraźne ograniczanie wolności. Naprawdę nie mówię tego dlatego, że ucieka nam parę koncertów, ponieważ nie ruszając się z kraju można zarobić od biedy mniej więcej takie same pieniądze. Jeszcze parę lat temu było inaczej, ale czasy się zmieniły. Więc pierwsza sprawa — wiza, a dokładniej pozwolenie na pracę. Po drugie — wcale nie musi odbyć się tyle koncertów, ile planuje organizator. W ostatnich latach zapanował tam nieludzki bałagan. Pojawiło się mnóstwo nowych impresariów. Co jeden to lepszy. Na dodatek wszyscy działają przeciw wszystkim. Jak to Polacy. Organizują na przykład parę imprez o tej samej godzinie, w tym samym mieście. Zakleją sobie wzajemnie plakaty albo je zrywają. Są w ciągłym stanie wojny. Szkoda, bo wszyscy na tym tracą — i oni, i artyści, i zupełnie zdezorientowana publiczność. Zdarza się też, że w połowie trasy menażer znika, nie wypłacając pieniędzy albo odwołuje

zaplanowane wcześniej koncerty, nie chcąc ryzykować niemałych w końcu pieniędzy. Nic dziwnego zatem, że mój pianista zażądał gwarancji finansowych na piśmie. Tylko od kogo ja biedna mam żądać gwarancji?

Pracowałam przez dwa lata ze świetnym czteroosobowym chórkim z Opolą. Sprawni warsztatowo, zdyscyplinowani, kulturalni. Cudo. Problemy się zaczynały, kiedy wyjeżdżaliśmy na występy za granicę. Z wiadomych powodów (koszty) postanowiliśmy wspólnie, że będzie wyjeżdżać tylko połowa z nich, a żeby było sprawiedliwie raz jedna, raz druga. I jakoś to przez lata funkcjonowało. I przestało. Nagle, jak zwykle. Pod koniec ubiegłego roku podpisałam kontrakt na trzy koncerty w Szwajcarii i Francji. Dla Polaków oczywiście. Na trzy tygodnie przed wyjazdem spotkała mnie przykra niespodzianka. Chórek się zbuntował:

— *Nie jedziemy, dosyć, nie chcemy się dzielić. Stanowimy całość.*

Znowu szok. Tłumaczę:

— *Nie można tak, przecież zostawiacie mnie na lodzie. O kay, rozstańmy się, ale na przykład za miesiąc, nie tak nagle. Co ja teraz zrobić. Podpisałam przecież umowę. W dodatku tak sformułowaną, że w wypadku jej zerwania płacę wysokie odszkodowanie.*

Oni na to beztrąsko:

— *To ty podpisałaś, nie my, więc to twoje zmartwienie.*

To dla mnie niepojęty brak lojalności, odpowiedzialności, brak etyki zawodowej. Przecież na poziom programu składają się wszystkie jego części — muzycy, chórzyści, repertuar. Jeżeli któraś z nich nawala, wszystko się sypie. Moi współpracownicy wiedzą najlepiej, ile przeprowadzam zawsze prób, jak ważne jest dla mnie, co robią za moimi plecami, jak są ubrani, jakie mają miny. Na perfekcję pracuje się miesiącami. I potrafią wszystko zburzyć w ciągu jednej sekundy.

Co zrobiłam? Oczywiście — poradziłam sobie. Wykonałam tysiąc pięćset telefonów, przesłuchałam kilkadziesiąt śpiewających panienek. Wybrałam dwie najlepsze, przygotowałam z nimi repertuar. Nauczyły się jak mogły najlepiej i pojechałyśmy. Wszystko było bardzo surowe, a mnie z życia umknęło parę tygodni, które miałam zupełnie inaczej zaplanowane. Wielokrotnie również w ciągu mojego długiego, ponad dwudziestoletniego życia estradowego, zdarzały mi się szantaże ze



Z nowym chórkim i gitarzystą, kwiecień 1992

strony muzyków. Zawsze chodziło o pieniądze. I zawsze robili to tuż przed wyjściem na scenę.

— *Albo dajesz więcej, albo nie gramy.*

Oczywiście dawałam, ale zwykle po takim numerze już nie mogłam z człowiekiem pracować.

Myślę, że sporo czasu upłynie zanim wyjdziemy z tej manufaktury. I nie sądzę, żebym tych zmian doczekała. Najdziwniejsze, że przez tyle lat nie zdążyłam się do tych nienormalności przyzwyczaić. Zawsze dawałam z siebie bardzo dużo, całą swoją energię, umiejętności, nie tolerowałam bylejakości, pracy na pół gwizdka. W równym stopniu

dotyczy to mojego życia osobistego. Kiedy angażowałam się uczuciowo, to do samego końca i tego samego oczekiwałam od partnera. Moje związki nie rozpadały się nagle. Pracowały na to — długo — obie strony. Nawet jeżeli dostrzegałam wady ukochanego mężczyzny — wierzyłam, że miłość czyni cuda i że wszystko można zmienić. Wierzyłam, że zło można siłą uczucia zamienić w dobro. Potrafiłam też wytrzymać wiele, ale w końcu kiedyś przychodził bunt. Zadawałam sobie pytanie: dlaczego mój partner nie odpłaca mi takim samym zaangażowaniem? Następowало otrzeźwienie. Nie potrafiłabym się zadreżać do końca życia, robić z siebie ofiary miłości, poświęcać się dla mężczyzny wbrew jego woli. Chciałam być kochana, zauważana, otaczana opieką. Dużo? Dużo. Ale dlaczego skazywać się na nijakość, letniość, obojętność? Przecież miłość jest taka piękna, porywająca. I tak wspaniale przeszkadza żyć, pracować.

Mężczyźni mojego życia nie bardzo rozumieli dlaczego nasze związki są rozpadały. Uważali, że byli zaskakiwani, że spadało to na nich jak grom z jasnego nieba, nagle. Ale nic się nie dzieje bez powodu. Przychodził moment, kiedy coś pękało, kiedy mówiłam nie, nie chcę być tak traktowana, nie zasługuję.

20.

Kiedyś będąc w bardzo zaawansowanej ciąży z pierwszym dzieckiem, przyleciałam samolotem do Krakowa. Stałam w sali przylotowej jak sierotka Marysia. Duży brzuch, sznurowane trzewiczki za kostkę, długa, szeroka spódnica, na grzbiecie ogromne ponczo z frędzlami — w ręku walizka. Stałam i czekałam, czekałam. Po godzinie zadzwoniłam do teatru. Powiedziano mi, że pan dyrektor uczy się właśnie jeździć nowym polonezem. Widać — zapomniał. W końcu się zjawił. Opatulony szczelnie czarnym golfem. Po drodze, uprzedzając jakby moją ewentualną ciekawość, opowiedział mi, jak to poprzedniego wieczoru w Spatifie (knajpa dla artystów) jakaś obca, szalona facetka przyssała mu się do szyi. A to wampirzyca jedna. Po długim, wyczerpującym śledztwie dałam wreszcie spokój biednej wykorzystanej ofierze.

Krzysztof był bardzo pochłonięty tym, co robił, czyli teatrem. Czasami odnosiłam wrażenie, że najchętniej w ogóle by nie wracał do domu, a już na pewno wstętem go napawały sprawy związane z tak zwaną prozą życia. Po długim czasie tułania się po teatralnych kątach, poprosił administrację dzielnicy Krowdrza o przysługujące mu locum. Proponowany lokal na peryferiach zamienił na mieszkanie w starym budownictwie stosunkowo blisko teatru. Przeprowadziłam się z Warszawy z dwójką dzieci (Jasiek — 3,5, Kasia — rok) i Krysią. W naszym mieszkaniu nie było centralnego ogrzewania. Trzeba było palić w piecach. Nie mieliśmy też, niestety, telefonu. Żeby nie stracić kontaktu ze światem, biegałam do teatru i wydzwaniałam do menażerów, muzyków, znajomych.

Kiedyś w czasie wielkiego sprzątania krakowskiego mieszkania zaproponowałam Krzysztofowi, żeby mi pomógł w zmywaniu podłogi. Zrobiła się awantura. Dyrektor teatru — podłogę?

— *Zapamiętaj sobie — nigdy!*

Oczywiście zaniesienie tobołów z bielizną do pobliskiego magła też nie wchodziło w rachubę. Morowe krakowskie powietrze dawało nam się we znaki. Bez przerwy czarne parapety, czarne nosy dzieci — jak kominy w Nowej Hucie, wiecznie chore gardła. Zaopatrzenie dużo gorsze niż w Warszawie. Nie miałam w żadnym sklepie mięsnym „pani Jadzi”, a miejscowe targowiska nie umywały się do warszawskich bazarów. Na spacerzy z dziećmi chodziliśmy z Krysią do parku Jordana albo pakowałyśmy towarzystwo do poloneza i jechałyśmy do pięknego, złotobrazowego Lasku Wolskiego. Mała Kasia była jasnowłosym amorkiem z dużym temperamentem. Bez przerwy walczyła ze starszym Jaśkiem. Mimo że dopiero ledwo poruszała się w wiklinowym chodziku, zawsze zdążyła dopaść biednego braciszka i capnąć go za włosy. Kiedyś wysypała cały proszek do prania do miski, dołała wody, nawrzucała ubrań i wskoczyła na to z chodzikiem, depcząc zawzięcie. Zawsze żywo reagowała na muzykę. Słyszac w radiu Franka Kimono piszczała jak małolaty na koncertach Beatlesów i śpiewała razem z nimi:

nie rycz mala nie rycz,

twoje Izzy kapią mi na koszulę,

ja jestem King Bruce Lee — karate miś (zamiast mistrz)

Słowo daję, że tak było, chociaż wydaje się to mało prawdopodobne, żeby roczne dziecko, no może miała o miesiąc, dwa więcej mogło powtórzyć tyle słów. Opracowała sobie również dość skomplikowany sposób wychodzenia z łóżeczka, które miało wysokie, drewniane boki. W końcu ułatwiła sobie zadanie wyrywając dwa szczebelki. Dla Jaśka próbowałam znaleźć jakieś w miarę przyzwoite przedszkole. W końcu trafiłam na przedziwne miejsce prowadzone przez siostry zakonne. Sprawiało na mnie wrażenie dziewiętnastowiecznej ochronki.

Krzysztof lubił grzebać w śmietnikach. Uważał, że ludzie wyrzucają dużo ciekawych rzeczy, które mogą się przydać w teatrze. Przynosił jakieś stare buty, krzesła, a kiedyś przytargał nawet wielki, mosiężny chyba, żyrandol. Właściwie nie wiem, czy był mosiężny, czy żelazny, ale na pewno bardzo stary i zardzewiały. Postanowiłam z Krysią zrobić dowcip. Wiedziałam, że tego wieczoru wróci późno. W dodatku był na mnie od pewnego czasu obrażony, chodził nadęty i nie odzywał się, wymierzając mi w ten sposób karę. Nie cierpiałam tego. Żle się czułam pod jednym dachem z kimś, kto mnie aż tak ignorował. No bo, jak tak żyć? Śniadanie — milczy, w łóżku — odwrócony tyłem. Męczące i intuujące. No i okropnie przykre. Przed przyjściem Krzysztofa zawiesiliśmy w jego „gabinecie” — śmietnikową zdobycz.

Nic było to wcale proste. Stare, przedwojenne mieszkania mają to do siebie, że są dość wysokie. Na stole postawiłyśmy mniejszy stolik, na nim krzesło, a na szczycie piramidy trochę książek. Umierając ze śmiechu, w końcu zaczepiliśmy pod sufitem brudne żelastwo. W kuchni przygotowaliśmy dla „dyrekcji” wystawną kolację. Na haftowanej serwecie — najlepszy talerz, najładniejsze sztucce, świece, kwiaty, kieliszek wina z odcisniętymi czerwonymi ustami. Niech wie, że służba (czyli my) podpija. Przytargałyśmy jego ukochany, ciężki fotel. Pod nogi — dywanik — tak jak lubił, a na stole — dodatkowo położyłyśmy pejcz, który kiedyś dostał od kogoś w prezencie. Kiedy w końcu przyszedł obserwowaliśmy go z kamiennymi twarzami. Liczyłam w duchu, że pęknie. Niestwty, ledwo się uśmiechnął. I nawet nie skomentował. Ciężki przypadek.

21

Był to czas moich długich tras koncertowych w Rosji. Tuż przed kolejnym wyjazdem, spacerując w skórzanej kurtce z dziećmi po dwudziestostopniowym mrozie, zapadłam na zapalenie oskrzeli. Nie żyło nam się w tych czasach za bogato. Poza tym zawsze wolałam marznąć w modnej szmatce niż paradować w byle jakim ciuchu. Pierwszy koncert wypadł w Leningradzie — w wielkiej hali lodowiskowej. Scena ustawiona była bezpośrednio na lodzie. Leżałam w hotelowym łóżku zmęczona wysoką temperaturą i uporczywym kaszlem. O odwołaniu koncertów nie było mowy. Sprzedano kilkadziesiąt tysięcy biletów. Dostałam serię zastrzyków i postawiono mi bańki. Następnego dnia, z plecami jak biedronka hasałam już po lodzie, ku ucieście miejscowej „ludożerki”. W Leningradzie zawsze byłam honorowana najlepszym hotelem w mieście — cudownym Europejskim. Wytworne, stare (w Petersburgu wszystko w końcu jest stare) gmaszysko, z ogromnymi pokojami pełnymi zabytkowych mebli, inkrustowanych fortepianów, złocień, rzeźb, dywanów i szwajcarów w pięknych liberjach. Z czasem kwaterowano tam wyłącznie gości dewizowych. Dla mnie robiono wyjątek na prośbę naszej moskiewskiej opiekunki Nataszy (chyba pułkownika KGB). Najbardziej podobały mi się jednak hotelowe klucze. Ogromne, mosiężne, ozdobnie rzeźbione. Raz nawet próbowałam z takim odjechać. Niestety. Na lotnisku mnie dopadli.

— *Tawariszcz Rodowicz, a klucz gdzie?*

Podobno często zdarzało się to turystom.

Natasza nie była pierwszą lepszą agentką Goskoncertu. Skończyła szkołę dla pracowników dyplomacji. Opowiadała mi, że zdanie egzaminu wstępnego było nie lada wyczynem, bowiem miejsca były niejako z góry zarezerwowane dla dzieci wysoko postawionych urzędników państwowych. Wymagano na przykład perfekcyjnej znajomości angielskiego. Natasza była dziewczyną spoza uprzywilejowanych kręgów, miała więc szczególnie trudne zadanie. Dostała się do szkoły dopiero za trzecim podejściem. Zawzięta bestia. Zresztą spod znaku Skorpion. Wcześniej pracowała przeważnie z grupami amerykańskimi. To znaczy, że z uwagi

na swoje umiejętności dostawała odpowiedzialne zadania. Zastanawiałam się, czemu jej dali grupę z Polski. Przypuszczalnie dlatego, że czas był wyjątkowy. U nas rewolucja, Wałęsa, a tu do Rosji jadą artyści z Polski. Bardzo dobrze nam się z Nataszką pracowało. Miała tylko jedną wadę — lubiła jeździć pociągami. Podejrzewam, że czasami nawet nas oszukiwała tłumacząc, że nie ma innego połączenia. Z uwagi na spore odległości w składzie bywały same wagony sypialne. Zadowolona Nataszka lokowała się w przedziale z zapasami szampanów, za którymi przepadała nie mniej niż za koleją żelazną. Znanymi tylko sobie sposobami wszystko potrafiła załatwić — najlepszy hotel, oddzielną salę-poczekalnię na lotnisku, miejsce w restauracji. Zwłaszcza to ostatnie bywało często niemożliwe. Zdarzały się na przykład prawie puste knajpy — niedostępne jednak dla normalnego śmiertelnika. Przy drzwiach stał zazwyczaj naburmuszony portier i oświadczał, że sala jest zarezerwowana albo że właśnie jest przerwa obiadowa. To jedyny kraj na świecie, gdzie w restauracji w godzinach największego ruchu mają przerwę obiadową. Kiedyś wejście do knajpy zagroził mi szwajcar pytając:

— *Wy kuda (dokąd)?*

We mnie się zagotowało:

— *Jak to dokąd? W restoran (do restauracji).*

— *Szto wy tam chatitie (czego pani tam szuka)?*

Wściekła odpowiedziałam:

— *Pakupit' tieliewidienije (kupić telewizor).*

— *W restoranie?* — ze szczerym zdziwieniem zapytał portier.

Opadły mi ręce.

Idąc do „restoranu” trzeba było przygotować się na wielogodzinne posiedzenie. Pierwsza godzina upływała na czekaniu na kelnera. I nie miało znaczenia, że zajęte były tylko dwa stoliki. Przy trzecim zwykle siedzieli wszyscy kelnerzy gwarząc sobie wesoło i obrzucając pogardliwymi spojrzeniami natrętnych gości. Po następnej godzinie niechętny kelner przynosił zimnawe jedzenie, no a potem nie można było doczekać się na rachunek.

Na muzykach spoczywał ciężar obłaskawienia kelnerek. Obskakiwali

je jak mogli, codziennie zapewniając o niepowtarzalnej, wielkiej urodzie. W ten sposób skracaliśmy czas trwania obiadu do dwóch godzin. Kolacje, to zupełnie inna rozmowa. Wieczorami zawsze w restauracjach odbywały się dancingi. Na nas zwykle czekały zarezerwowane stoliki, nierzadko w oddzielnych salkach. Często rozbawiony naród rwał się do zawierania z nami przyjaźni. Moim ludziom zdarzało się bratać z miejscowymi krasawicami, które bardzo sobie ceniły polskich chłopców. Interesowały się zwłaszcza kawalerami, którzy w wypadku fikcyjnego małżeństwa mogli zarobić nawet i dziesięć tysięcy dolarów. Raz nawet pewna przedsiębiorcza mamusia panienki wydała dla całego zespołu wystawną kolację próbując zachęcić wahającego się kolegę. Niestety, nikt jakoś nie chciał się zdecydować na takie szaleństwo.

Innym razem, a było to w Wilnie, przez cały wieczór prosił mnie do tańca przystojny młodzian. Uparcie odmawiałam. W pewnym momencie podszedł do naszego stolika i postawił przede mną butelkę drogiego, francuskiego koniaku. Kiedy zorientował się, że i to nie skutkuje, zabrał mi sprzed nosa zamiejscowy rarytas ze słowami:

— *Przepraszam, przeinwestowałem.*

Kiedyś w Jęfpatorii (nad Morzem Czarnym) okazało się, że mieszkamy w jednym hotelu z artystami z cyrku liliputów. Bardzo chcieli poznać Maryłę Rodowicz, więc zaprosili nas na kolację. Kolosalne wrażenie. Co niektórzy garściami brali małe kobietki, po dwie, po trzy — jak popadło — i do łóżka. Następnego dnia opowieściom nie było końca.

Jednak ten nadmorski kurort wspominam jak koszmar. Może dlatego, że byliśmy wszyscy już nieludzko zmęczeni. Była to końcówka długiej, sześciotygodniowej trasy. Zagraliśmy ponad sześćdziesiąt koncertów i mieliśmy wszystkiego dosyć. Miasteczko było obskurne, brudne, plaża wąska, kamienista, zasłana mrowiem ludzi. Z hotelu w żaden sposób nie można było dostać połączenia z Warszawą. Telefonistka odkładała po prostu słuchawkę mówiąc: — *Polsza zakryta* (zamknięta)! Prośby na nic się nie zdawały. Nie ma i koniec. Tylko ciągle nie mogę zrozumieć dlaczego Majakowski napisał, że żałuje każdego, kto nie zobaczył Jęfpatorii.

Na innej trasie zagnało nas aż do Alma Aty. Całkiem przyzwoity hotel z widokiem na wielką górę. Pokojowe nie omieszkały mnie

poinformować, że mieszkam w najlepszym apartamencie, po świętej pamięci Annie German, która cieszyła się wielką miłością rosyjskiej publiczności. Mówiono o niej — „anioł” i rzekomo całowano na ulicach po rękach. Z powodu zmiany klimatu oczywiście zaniemówiłam. W miejscowej (czystej) klinice szybko doprowadzono moje gardło do stanu używalności. Leczenie polegało między innymi na płukaniu migdałków ciepłą wodą mineralną Borzomi — pod ciśnieniem. Coś okropnego. Pociłam się na sam widok pielęgniarki zbliżającej się do mnie z wielką szprycą. Ale pomogło.

Koncerty miały się odbywać w nowej, pięknej sali z kryształowymi żyrandolami. Pierwszy koncert — z przodu notable w garniturach, damy w długich toaletach. Tłumy skośnookich. Po zapowiedzi miejscowego onferansjera:

A teraz przed wami laureatka międzynarodowych festiwali Maryla Rodowicz — wyszedł na scenę wypchnięty przez nas Florek. Dla dowcipu Długie włosy, z mandoliną — mógł z daleka od biedy wyglądać — jak ja. Po chwili wytoczyła się zza kulis reszta, ze mną na końcu w białych trampkach. Mieliśmy na sobie kostiumy przypominające ubranka przedwojennej trupy cyrkowo-podworkowej. Kiedy Florek znalazł się przy mikrofonie — pierwsze rzędy dojrzały jego wąsy i lekko się zaniepokoiły. Zaczynający koncert blok piosenek conutry poszedł na straty. Zero reakcji. Powiało grozą. Dwoiłam się i troiłam. Od połowy programu trochę się ruszyło, a skończyło się nawet przyzwocie. W czasie przerwy do garderoby wpadł miejscowy dziennikarz. Nic zgodziłam się na robienie zdjęć z fleszem w trakcie koncertu. Nie zwracając na to uwagi złośliwy fotograf błyskał mi przed nosem przez następną godzinę. Nazajutrz ukazała się w gazecie miażdżąca recenzja — że kpiny, że zachodnia maniera, angielski język, nieeleganckie kostiumy, a wszystko opatrzone moim zdjęciem, najgorszym w całej długiej karierze. Wyglądałam na nim, jakbym całe życie siedziała na twarzy I na dodatek wiadomość o decyzji miejscowych władz: więcej koncertów w tym mieście nie będzie. Możemy się zwijać. Od czego jednak mieliśmy Nataszkę. Zagraliśmy te swoje dziewięć koncertów przy pełnych salach.

22

W Wilnie byłam trzy razy. Pierwszym razem pojechałam z zespołem pociągami. To tak niedaleko — trzysta kilometrów. Byłam bardzo przejęta. Znałam to miasto doskonale z rodzinnych opowieści, jego atmosferę, ulice, teatry, parki. Moja babcia przyjechała do Wilna jako młoda dziewczyna z małego białoruskiego miasteczka — Możejkowa. Tam poznała swojego późniejszego męża, charakteryzatora z Teatru Pohulanka. Tam moja matka była uczennicą gimnazjum prowadzonego przez siostry nazaretanki. Okupacja, tajne komplety, małżeństwo ze starszym od niej o siedemnaście lat pracownikiem naukowym Uniwersytetu Batorego. I w końcu repatriacja, towarowymi wagonami na „ziemie odzyskane”. Z tego samego dworca, na który miałam za chwilę wjechać. Wsiadając z pociągu gromkim głosem odśpiewaliśmy chórem:

*Nie oddamy Wilna, nie oddamy Wilna,
z jednej strony armia silna,
z drugiej strony armia silna,
a my nie oddamy Wilna.*

Oczekująca nas Natasza zrobiła na to kwaśną minę. I od razu z satysfakcją oznajmiła, że nie gramy w Wilnie, tylko w Kownie.

— *Jak to? Miało być inaczej.*

— *Nic na to nie poradzę. Autokar czeka przed dworcem.*

O, nie. Za długo na to czekałam. Muzycy poszli na kolację. Ja z Ryśkiem Koziczem (też wilniukiem) do miasta. Prosto pod Ostrą Bramę. Wszyscy przechodnie pytani o drogę mówili po polsku. Tak jak sobie wyobrażałam. Lży wzruszenia.

Na koncerty w Kownie przyjeżdżały całe pociągi Polaków z Wilna. Wśród nich tłumy młodzieży z biało-czerwonymi flagami.

Do Wilna wpuścili nas dopiero po roku. Zamieszkaliśmy w dobrym hotelu Lietuva (Litwa) na prawym brzegu Wilii. Z okna swojego pokoju rozkoszowałam się widokiem wież czterdziestu kościołów, czerwoną dachówką starówki, wpatrywałam się w brązowoszarą rzekę. Snułam



Wilno — Rossa, tu leży serce Piłsudskiego

się godzinami starymi zaułkami, zapamiętałe wszystko fotografując. Odwiedziłam z kolegami cudowny, zabytkowy cmentarz na Rossie, gdzie spełniłam „obowiązek”, kładąc kwiaty na grobie Piłsudskiego. Było to tym bardziej podniecające, że' wszystko działo się niejako potajemnie, wbrew zakazom Nataszy. Pilotowali nas uczniowie polskiej szkoły. Z przejściem pokazywali groby Staszica, Lelewela i wielu innych luminarzy polskiej nauki i kultury. Zdziwiali swoją znajomością historii, literatury i wszystko, co mówili, przepojone było prawdziwym patriotyzmem. Widzieliśmy poprzewracane krzyże, pooblewane farbą grobowce. Wszystkie te zniszczenia były podobno dziełem rosyjskiej i litewskiej młodzieży z pobliskich szkół. Następnie już sama pojechałam taksówką na zamknięty od dawna cmentarz bernardyński. Bez trudu trafiłam (miałam narysowany plan) na grób dziadka i ciotki, czyli siostry mojej matki. Latami nie pielęgnowany — wyglądał żałośnie. Po





Z Andrzejem
Jaroszewiczem

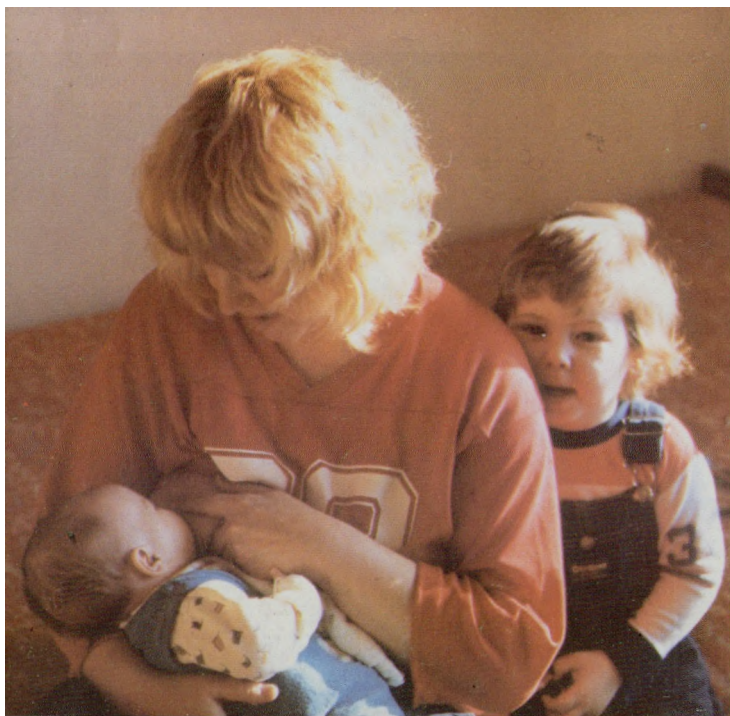


Sopot 1984,
z Aznavourem
w czasie próby





Na Ursynowie
— Jasiak 2,5 roku,
Kasia 4 miesiące



Karmienie Kasi,
obok Jasiak

Trzecie dziecko
kąpię już sama



Z Jaśkiem i Kasią
na Ursynowie







Koncert w klubie
„Milford
Lounge”, Chicago
1980



Chicago 1985 —
w klubie Cardinal ze
Stanem Borysem



Hollywood 1984,
pod zamkniętymi
drzwiami pokoju
hotelowego

THE WORLD SONG FESTIVAL IN AMERICA '84
LOS ANGELES ART ACADEMY



Los Angeles,
wszyscy wykonawcy
na scenie
w oczekiwaniu na
werdykt jury



Nowy Jork 1986,
w recepcji Hotelu
Penta z Agnieszką
i Krzysztofem
Materną

Nowy Jork 1986
w garderobie



Nowy Jork,
konferencja
prasowa w hotelu
„Penta”, od prawej
włosy O. Laski, ja,
Niemen, Rosiewicz





Powrót
z San Remo

a wydawało
się, że tacy
poważni
ludzie



Seweryn nie
rusza się
bez
śliniaczka

Bangkok, na
wycieczce
z Andrzejem R.



Pekin w tłumie





Urząd
Stanu
Cywilnego
na Woli,
państwo
młodzi ze
świadkami
Agnieszką
i Sewerynem



Chwileczkę
jeszcze
goście nie
wyszli



Gwiazdka 1990 —
jeszcze w starym
mieszkanu

Wilno, na
cmentarzu
bernardyńskim przy
grobie dziadka



W Alpach,
z Andrzejem,
Nowy
Rok 1992



Występ dla
dzieci



paru dniach nie poznałam tego miejsca. Okazało się, że obserwujący mnie zza krzaków polscy uczniowie wzięli sprawę w swoje ręce. Krzyż na miejscu, łańcuchy poreperowane, ziemia uprzątnięta, kwiatki zasa-
dzone. Kolejne wzruszenia i to wcale nie ostatnie.

Pani Jadwiga Pietkiewicz, opiekująca się między innymi i tym cmentarzem, zaprosiła mnie do kościoła Dominikanów (tam właśnie była chrzczona moja matka) na południową mszę dla młodzieży. Pojechaliliśmy prawie w komplecie służbowym autobusem. Bocznyymi schodkami wprowadzono nas na tak zwany „chór”. Wielowiekowe organy grały, ludzie bez przerwy zerkali w naszą stronę. Po mszy rozmowa z chórzystami, wzruszające przemówienie starszej, miłej pani — chyba działaczki polonijnej. Na szczęście miałam w kieszeni ciemne okulary. Łzy zmieszane z czarnym tuszem łały mi się po policzkach nieprzerwanym strumieniem. Po wyjściu z kościoła byłam zaskoczona



Babcia Rodowicz



Dziadek Rodowicz w Rosji (Baku)

i zmieszana. Na ulicy czekali na mnie uczestnicy mszy. Pamiątkowe zdjęcia, rozmowy — i do hotelu.

W czasie koncertów okrzyki z sali po polsku. Proszę bardzo. W dodatku nie mogłam się powstrzymać od puszczenia ze sceny paru tekstów świadczących o moich „rewizjonistycznych poglądach”, opowiedziałam o losach swojej rodziny. Po paru dniach spotkałam w pociągu zastępcę burmistrza Wilna — Polaka. Powiedział, że ma uzasadnione obawy, czy jeszcze kiedykolwiek będę mogła tu przyjechać. Czas pokazał, że jego czarnowidztwo się nie sprawdziło.

Po ostatnim koncercie czekał na mnie pod halą tłum polskiej młodzieży, z którą zaprzyjaźniłam się podczas mojej wizyty w ich szkole. Podobnie jak wcześniej w Kownie — z flagami, transparentami, kwiatami. Często bukietki przewiązane były biało-czerwonymi wstążkami z napisem: nie zapominajcie o nas. W pewnym momencie przyjechała milicja i brutalnie rozpędziła młodych ludzi.

Podczas zwiedzania Wilna ze zgrozą oglądaliśmy zabytkową katedrę zamienioną na muzeum sztuki ateizmu. W uniwersyteckim kościółku Świętego Jana — to samo. Na każdym kroku zacieranie śladów polskości. Zapewne z powodu moich zaczepnych pytań i komentarzy litewska przewodniczka, żegnając się z nami, wręczyła mi kolorowy folder pełen zakłamanych informacji — z komentarzem: — **Proszę poznać historię naszej czerwonej Litwy**. A niech cię drzwi ścisną.

Mam również ciekawe wspomnienia z pobytu w Armenii. Graliśmy w filharmonii w Erewaniu. Dyrektor hotelu codziennie podejmował nas wystawnymi kolacjami — suszone mięso, zieleńca o niespotkanych smakach mięty, czosnku, a do tego wszystkiego czerwone wino (ulubiony gatunek Stalina). Pierwszego dnia ukradziono mi w domu towarowym portfel. Po paru godzinach zadzwonił do mnie człowiek:

— **Znalazłem w bramie swojego domu pani zgubę.**

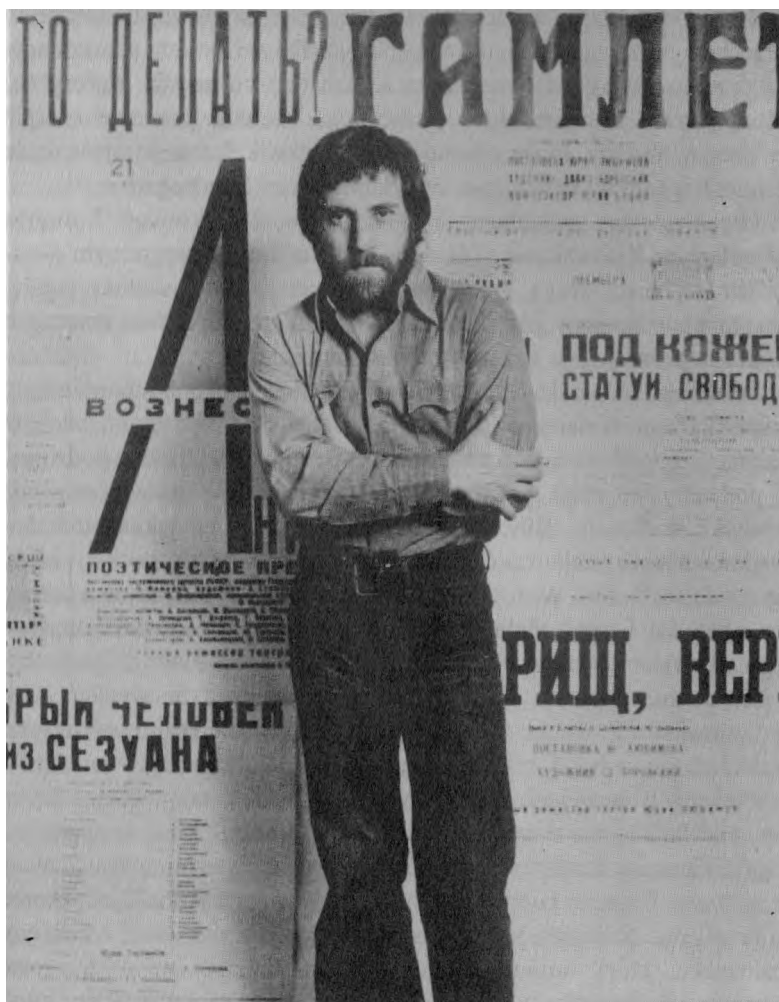
W portfelu były zdjęcia — moje i dzieci. Znalazca był młodym przystojnym aktorem. Codziennie przychodził na koncerty i przywoził mi od swojej babci z gór przepiękne kwiaty. Jakaś rzadko spotykana odmiana irysów w kolorze kości słoniowej. Mój ormiański kolega żywo interesował się metafizyką i nie zwracał uwagi na pleć przeciwną.

Odbyliśmy wycieczkę w niesamowite miejsce — do klasztoru, w którym przechowywane były szczątki Arki Noego. Do dziś jestem przekonana, że oprowadzający po tym miejscu mnich (też niebrzydki mężczyzna) hipnotyzował nas wzrokiem. A może tak działała na mnie energia zaklęta w murach, może obecność tych relikwii. Jedno jest pewne, że czułam się tam niezwykajnie. Wyszłam na miękkich nogach.

Organizatorzy uprosili mnie o zagranie dodatkowego koncertu w odległym Kirowanie. Pół dnia tłukliśmy się niewygodnym autobusem wyboistą drogą, oglądając monotony, szary, skalisty pejzaż. Widownia entuzjastyczna. Było to miasto, które najbardziej ucierpiało w czasie późniejszego strasznego trzęsienia ziemi.

W Mińsku na przykład „zderzyliśmy się” z ogromnie tam popularnym piosenkarzem Walerijem Leontiewem. Okazał się być moim wielkim fanem. Odwołał swoje koncerty, żeby przez dziurkę w kurtynie podziwiać i podpatrywać moje popisy. Zachowywał się nie inaczej, niż cała rosyjska widownia. Kiedy szczególnie wzruszała go jakaś piosenka, płakał. Moja publiczność przeważnie wyciągała chusteczki, kiedy śpiewałam „Konie” Wysockiego. Nagrałam, między innymi, tę piosenkę na płytę dla firmy „Melodia”. Nikt do dzisiaj nie wie dokładnie, ile egzemplarzy mojego krążka zostało sprzedanych. Padaly różne liczby: pięć, osiem, a nawet dziesięć milionów. Ja na tym wyszłam, jak przysłowiowy Zabłocki. Dołożyłam jeszcze do całego interesu trzysta rubli, płacąc za hotel, w którym mieszkałam w czasie nagrania.

Podczas tych wyjazdów muzycy dorabiali sobie wyprzedając się ze sprzętu. Pod koniec trasy często nie mieli już na czym grać, a i aparatura nagłośnieniowa kurczyła się w miarę zbliżania się terminu opuszczenia tego kraju. Ostatnie koncerty były zwykle bardzo „cienkie”, jeśli chodzi o brzmienie. Najlepszą jednak historię usłyszałam niedawno o pewnym człowieku, który umówił się z rosyjskim klientem na dostarczenie kompletnej aparatury nagłośnieniowej. Chłopak zapożyczył się, kupił świetny sprzęt, zawiózł, dobił targu, po czym chciał się oddalić z walizką pełną gotówki. Wsiadł do samochodu kontrahenta, ruszyli i nagle maszyna stanęła. Właściciel auta pogrzebał w silniku i nic. Znaczy się awaria, ale nie przejmuj się, polski kolego. Coś wymyślimy. I zatrzymał



Włodzia Wysocki

pierwszy przejeżdżający samochód. Panowie czule się pożegnali, a nasz człowiek ruszył zadowolony z nieznanym. W pewnym momencie szara łada parsknęła, coś zazgrzytało i stop. Kierowca poprosił:

— *Miody człowieku, nic takiego, wysiądź z łaski swojej i popchnij.*

Biedak wysiadł i popchnął, a samochód (oczywiście podstawiony) odjechał w paskudną, siną dal.

Rozpisałam się o tych moich rosyjskich koncertach, ale przecież spędziłam tam parę miesięcy, doznałam satysfakcji ze strony publiczności, a i ja dostarczyłam im (mam nadzieję) trochę wzruszeń, rozrywki. No i dzięki tym wyjazdom jakoś przeżyłam pierwszą połowę trudnych lat osiemdziesiątych.

Egzystowałam od wyjazdu do wyjazdu. Miesiąc w Rosji — pół roku życia rodzinnego. I znowu parę tygodni Stany — i pół roku w domu. Dzieci rosły, a mój związek z Krzysztofem przeżywał poważny kryzys. Zdecydowałam się na wyjazd z Krakowa do Warszawy. Zamówiłam ciężarówkę i spakowałam niewielki dobytek. Opuszczałam krakowskie mieszkanie z ciężkim sercem. Czuliśmy oboje, że wyjeżdżam na zawsze. Ze ściśniętym gardłem zbiegałam po schodach domu przy Karłowicza. Ale jeszcze miałam nadzieję, jeszcze się ludziłam, że coś się zmieni, że się wyprostuje. Przecież było dwoje dzieci. Naprawdę chciałam być z nim do końca życia. Wydawało mi się, że i on tego chce. Cały swój czas dzieliłam między dom i pracę. Nie miałam właściwie przyjaciół, życie bankietowe mnie nie interesowało. Potrzebowałam jednak czułości, kontaktu psychicznego, a z tym właśnie bywało najgorzej.

Kiedy wracałam z koncertów, na których byłam w centrum uwagi i zainteresowania najbardziej pragnęłam, żeby on objął mnie ramieniem — ten najważniejszy, jedyny człowiek. Było, niestety, inaczej. Rosnąca obojętność, agresja. Działo to na mnie coraz gorzej. Krzysztof próbował się nawet zmieniać, ale głównie zewnątrz. Postanawiał na przykład, że od jutra będzie jadł, dajmy na to, tylko małe zwierzątka. I że obcina włosy. Jego fryzura, myślę, stanowiła w dużym stopniu o osobowości. Długie, rozwiane „pióra” przypominały mu pierwsze sukcesy teatralne, stwarzały pozory niezmienności młodzińskich, radykalnych, bezkompromisowych poglądów i zachowań. Miały też

dawać wyraz chęci pozostawiania ponad modą, układami,, polityką. A małe zwierzątka to miały być ryby, drób, ewentualnie króliki. W ramach zmian zdarzały się jeszcze postanowienia dodatkowe, np. wstawać o czwartej rano i regularnie czytać. Włosy jednak szybko odrastały, a Krzysztof wkrótce zasiadał do dużej pieczeni cielejącej.

Mniej więcej w tym czasie odbyłam dwie ciekawe podróże. Na Kubę ('83) i festiwal do Los Angeles ('84). Długo się zastanawiałam, co zaśpiewać w Stanach, jaka muzyka mogłaby zaskoczyć Amerykanów. Pojechałam do Seweryna Krajewskiego. Kiedy usłyszałam pięknego walca, wiedziałam: to jest to. Ciężka, pełna ciemnego dramatyzmu muzyka. Byłam zachwycona, ale miałam kłopot: Agnieszka Osiecka napisała już do tego tekst dla Połomskiego, zaczynający się od słów: — Jurek-ogórek, kielbasa i sznurek. Bez sensu. Taka muzyka! Wreszcie stanęło na tym, że Seweryn napisze dla Jurka P. coś innego, a Agnieszka wymyśli dla mnie nowy tekst. Tak też się stało. Powstała piękna piosenka „Niech żyje bal”. Wysłaliśmy taśmę do Ameryki. Po paru tygodniach wiadomość: utwór, spośród paru tysięcy propozycji z całego świata, został zakwalifikowany do finału (dwadzieścia cztery piosenki). Hura! Jedziemy. Ja i Seweryn. Piosenkarz i kompozytor. Tak stało w kontrakcie. Zamówiliśmy angielski tekst u znanego fachowca w tej dziedzinie — Jerzego Siemasza. Spędziłam w jego mieszkaniu wiele godzin szlifując wymowę. Ola Laska uszyła mi jedwabną czarną sukienkę z pęknięciami na ramionach i dekoltem z tyłu do pasa. Całą ozdobą kreacji miała być srebrna biżuteria. Świetny plastik Marcin Zaremski wykonał z dużej, starej łyżki cudną, wielką głowę (płaską oczywiście) z fantazyjnym zakratowanym (taka aluzja polityczna) mózgiem. Sam-festiwal miał trwać zaledwie trzy dni. Stamtąd Seweryn udawał się na koncerty z Czerwonymi Gitarami do Chicago, a ja na Mazury — do dzieci.

Uprosiłam dyrektora Pagartu o wysłanie razem z nami w charakterze menażera Jurka Romańskiego — przytomnego, dobrze wyglądającego, w dodatku władającego świetnie językami obcymi pracownika impresariatu rozrywki.

Wysiadłam z samolotu w Los Angeles z rakiętą tenisową pod jedną

pachą i rulonem plakatów pod drugą. Te plakaty to na wypadek ewentualnej amerykańskiej kariery. A rakieta? Byłam wtedy na etapie fascynacji tenisem, a miałam w planie spotkanie z moim starym przyjacielem, który — jak wynikało z listów — mieszkał obok kortów czynnych całą dobę. Kolega, z którym nie widzieliśmy się ponad dziesięć lat, czekał na lotnisku. Oczywiście umarł ze śmiechu na widok rakiety. Okazało się, że mieszkamy w hotelu w Hollywood. Następnego dnia, kiedy stanęłam przy oknie, oniemiałam. Nie myślałam, że kiedyś to zobaczę. Na wprost hotelu na zboczu łagodnego wzgórza znajdował się biały, ogromny napis — HOLLYWOOD. Ja — panienska z Włocławka — w mieście marzeń i snów.

Hotel, jak hotel — przyzwoity Holiday Inn, ale za to parę metrów od słynnej ulicy Sunset Boulevard, tej z gwiazdami w chodniku. Przebiegłam ją wzdłuż i wszerz. Upał, bo to maj. Miasteczko, poza gwiazdami i napisem, jakby trochę prowincjonalne, parterowe, ale miłe. Zawieziono nas na próbę do jakiejś byle jakiej salki. Oczekaliśmy zdenerwowani w kolejce parę godzin bez skutku. W pewnym momencie orkiestra zwinęła nuty i wyszła. Związki zawodowe. Jesteś zgodzony na wykonanie jakiejś pracy od—do i dziękuję. Wychodzisz. Takie twoje prawo. Po godzinach? No, chyba że masz ochotę i w dodatku ci zapłacą. Tak też się stało z naszymi muzykami. Po przerwie zaczęła się dalsza część próby. Wreszcie my. Jeszcze drobne poprawki i gramy. To znaczy oni grają, a ja śpiewam. Orkiestrze i chórowi się podoba. Nam mniej. Utwór pomyślany był bardziej ostro. Z przesterowaną rockową gitarą. Orkiestrowy gitarzysta, stary Murzyn, nie miał nawet odpowiedniego sprzętu. Brzmiało to wszystko za międko. A już zupełnie nie spodobałiśmy się dyrygentowi, Węgrowi z pochodzenia. Od początku traktował nas lekceważąco i z pogardą. Powiedział nawet, że jesteśmy wrednymi czerwonymi Polakami. Natomiast w porządku jest on, bo uciekł na Zachód. Najbardziej ze wszystkich piosenek poruszyła nas amerykańska — wykonana przez świetnie śpiewającą drobną, białą dziewczynę i rosłego Murzyna.

W nie najlepszych humorach wróciliśmy do hotelu. Nazajutrz wszyscy wykonawcy zostali zawiezieni do starego, okazałego teatru w Los

Angeles „Shrine Auditorium” (kiedyś miejsce wręczenia Oscarów). Miała się odbyć próba — jakby generalna — na scenie, z mikrofonami i wieczorem koncert. Okazało się, że bałagan w tej branży panuje nie tylko w Polsce. Oczywiście scena była nie gotowa. Biegali po niej jacyś ludzie, coś nosili, przybijali, zawieszali. Próba odbyła się na korytarzu. Było jeszcze trochę czasu do koncertu. Wzięłam taksówkę i pojechałam do hotelu. Umyłam głowę, wzięłam kostium i z powrotem. Inspicjent zdążył nam tylko powiedzieć, że po zapowiedzi prezentera (dość znany telewizyjny showman) musimy zejść wolno po schodach (schody — jakżeby inaczej), zatrzymać się, po czym kompozytor (Seweryn) ma się udać w lewą kulisę, a ja do mikrofonu. Na uginających się z tremy nogach zeszliliśmy na dół, zatrzymaliśmy się zgodnie z instrukcją i patrzemy, że konferansjer szuka w popłochu kartki z naszymi nazwiskami. Nie może znaleźć, zaczyna więc coś bredzić, ku uciesze gawiedzi, że Holland, Poland, że czy to nie wszystko jedno. Patrę na Seweryna. Błady jak ściana. W końcu zostały odczytane nasze nazwiska i tytuł piosenki. Seweryn w lewo, ja do mikrofonu i właściwie dopiero teraz rzuciłam okiem na publiczność. Sami skośnoocy i zółci. Nie bardzo mogłam zastanawiać się nad tym odkryciem, wykonałam więc najlepiej, jak mogłam swoją pieśń. Brawa niezłe. Była to ostatnia piosenka pierwszej części konkursu, a więc moim zdaniem najlepsze miejsce. Publiczność jeszcze nie jest zmęczona, a już rozgrzana. Podczas przerwy mnóstwo obcych ludzi przybiegało do nas z gratulacjami. Jako pierwszy rzucił mi się na szyję kurtyniarz (człowiek od zaciągania kurtyny). Powiedział, że rewelacja, a wiadomo, że w teatrach najważniejsza jest pierwsza recenzja obsługi technicznej. Byliśmy dumni jak pawie. Ustawiliśmy się sprytnie na korytarzu, którym musieli przejść za chwilę jurorzy. Na mój widok kiwali z uznaniem głowami. Przybiegła również amerykańska uczestniczka konkursu (nie ta od Murzyna) ze słowami szczerogo — wydawać się mogło — zachwytu. No, a kiedy podeszło do mnie dwóch przedstawicieli różnych wytwórni płytowych, wręczając swoje wizytówki i prosząc o kontakt — pękałam z dumy. Byłam prawie pewna, że zostałam zauważona i że coś z tego wyniknie. Każdy piosenkarz, czy to ze Wschodu, czy z Zachodu przez całe życie

czeka na swoją szansę. Łudzi się, że może teraz, może za miesiąc zostanie odkryty dla świata. Każdy jest przekonany o swojej wielkości i niepowtarzalności. Ta wiara pozwala wychodzić na scenę, przełamywać strach, niepewność. A lęków, wahań, stresów w tym zawodzie nie brakuje.

Jurek Romański — nasz przedstawiciel — prowadził wstępne rozmowy. Pytano między innymi czy mam anglojęzyczne nagrania. Boże! Co za kretynka ze mnie, przecież zamiast rakiety tenisowej powinnam mieć pod pachą właściwą taśmę. Oczywiście zemścił się brak menażerskiego myślenia. Obiecałam, że za parę miesięcy (wybierałam się jesienią do knajpy w Chicago) je przywiezę.

Skończyła się druga część i jury udało się na naradę. Dwudziestu czterech wykonawców stłoczono za kulisami. Do tego oczywiście dwudziestu czterech kompozytorów. Tłum ludzi, upał, nerwy i oczekiwanie na werdykt. W końcu przyszli. Wprowadzono nas na scenę, ustawiono w rzędzie i zaczęło się odczytywanie wyników. Od pierwszego miejsca. Koło mnie stała Amerykanka. Cały czas z nieukrywaniem podziwem zapewniała mnie o nagrodzie. Tymczasem wyczytano główną nagrodę. Piosenka amerykańska w wykonaniu biało-czarnego duetu. Nie miałam nic przeciwko temu. Wręcz przeciwnie. Dziesięć tysięcy dolarów zostało w kraju. W dodatku dołożono jeszcze pięć za supershow estradowy. Chyba trochę przesadzili, no ale w końcu ktoś to musiał dostać. Zaczęto odczytywać nagrodę drugą. Moja sąsiadka stuknęła mnie w ramię: *na pewno ty*. Guzik prawda. Dostała ją właśnie ona. No, w tym momencie się zagotowałam. Za kulisami bowiem dowiedziałam się, że śpiewała kompozycję dyrygenta orkiestry (naszego Węgra), a zarazem dyrektora muzycznego festiwalu. Było to niezgodne z regulaminem, w którym jak byk napisano, że do konkursu nie mogli zgłaszać swoich produkcji organizatorzy imprezy. Często zdarzało mi się na różnych festiwalach obserwować takie „nieprawidłowości”. Trzecia nagroda przypadła piosence koreańskiej i wszystko się wyjaśniło. Głównym organizatorem całego przedsięwzięcia była Koreanka (stąd żółta widownia). Później się okazało, że bardzo skutecznie promowała swoich ziomków również

na poprzednich festiwalach. Jestem przekonana, że gdyby Polak wpadł na pomysł zorganizowania podobnej imprezy, postępowałby odwrotnie. Wygrywaliby Amerykanie, Koreańczycy, Włosi. Wszyscy, tylko nie Polacy. Mamy tyle niepotrzebnych kompleksów, tak bardzo wstydzimy się swoich rodaków, że często nawet lekceważymy i pomniejszamy ich sukcesy. No, chyba że taki jeden z drugim zostanie zauważony na Zachodzie. Wtedy inna rozmowa. Wtedy lubimy się nimi nawet pochwalić.

Krótko mówiąc, główne nagrody rozdane, a tu nic. Jak tu wracać do kraju. Taki wstyd. A wcale nie czuliśmy się gorsi. Przeciwnie. Piosenka była naprawdę świetna. Muzyka wyjątkowej urody. Jerzy Siemasz napisał bardzo dobry tekst, w którym nasza *sucha kostucha, miss wykidajło*, co to miała nam *wyłączyć prąd w środku dnia* — została zastąpiona widmem wybuchu atomowego w bardzo zręczny, poetycki sposób. W dodatku mój amerykański angielski musiał być zrozumiały, bo wiele osób zwróciło uwagę właśnie na tekst.

Konferansjer zaczął czytać wyróżnienia, których było sporo. Seweryn, z natury małowówny, nie odezwał się do mnie słowem. Bładł tylko coraz bardziej. W gorszej kondycji od niego był jedynie przedstawiciel Meksyku. Twarz miał koloru ściany. Sapał straszliwie, bez przerwy się wachlując. Zaczęłam się obawiać czy nie zemdleje. Powoli zaczynało mnie to wszystko śmieszyć. Już wiedziałam, że nagrody przeleciały nam koło nosa. Potworny stres zaczął mijać. Kiedy wręczali nam jedno z wyróżnień, było mi wszystko jedno. Największe emocje już za nami.

Czekał nas jeszcze bankiet na najwyższym piętrze hotelu. Zapowiedziano gwiazdy filmowe, producentów i inne atrakcje. Gwiazd nie widziałam, za to przy naszym stoliku siedział przez cały wieczór dość znany producent fińskiego pochodzenia, który próbował ścisnąć mnie za rękę zapraszając na zwiedzanie miasteczka filmowego wytwórni Warner Brothers. Nie zdecydowałam się. Zasypywał mnie komplementami również pewien ważny juror — też człowiek zajmujący się filmem. Mówiliśmy na niego „farbowany lis”. Miał rzadkie siwe włosy, które nie najlepiej udawały rude. Wyglądał załośnie. Za to parę razy napomknął, że jestem fotogeniczna i że moglibyśmy zaryzykować próbne

zdjęcia. Z jego obłędnego sposobu zachowania się można było wywnioskować, że te zdjęcia powinny zacząć się w łóżku.

Kiedy po paru godzinach opuszczaliśmy wytworne towarzystwo, nie domyślaliśmy się, że na dole czeka nas przykra niespodzianka. Nasze pokoje były zamknięte, a ściślej mówiąc policyjnie zabezpieczone. W recepcji oświadczone, że festiwal się skończył. Żarty. To gdzie mamy spać? W końcu jednak łaskawie oddano nam klucze. Posiedzieliśmy jeszcze razem z moim starym przyjacielem z Sopotu Stefanem Libanem i jego narzeczoną, napiliśmy się wódeczki z sokiem pomarańczowym i po wyczerpujących przeżyciach udaliśmy się na zasłużony odpoczynek.

Następnego dnia miałam umówionych parę spotkań. Po pierwsze — musiałam przekazać instrument pewnej Ukraince, siostrze żony znajomego Ryśka Kozicza. Była to stara mandolina, która przejechała kawał drogi z Moskwy, przez Warszawę, do Los Angeles. Pojechałam razem ze Stefanem, który na tę okoliczność zwolnił się z pracy na drugi koniec miasta, do dzielnicy rosyjskich emigrantów. Czekala tam na nas ładna blondynka, z którą oczywiście mój kolega natychmiast zaczął umawiać się na tenisa. Zdaje się bez większego skutku.

Następnie spotkaliśmy się w kawiarni z koleżanką mojej koleżanki, Zosi Rudnickiej, znanej baletnicy, która prosiła mnie o przekazanie listu. Po drodze do mieszkania ciotki mojego radiowego przyjaciela Janka Borkowskiego (też z listem), zdążyliśmy jeszcze kupić gitarę zamówioną przez innego kolegę — Janka Wołka. Proszę, jaka uczynna ze mnie kobita.

W apartamencie ciotki Jasia B. spore towarzystwo polonijne. I to nie byle jakie. Między innymi państwo hrabiostwo Tyszkiewiczostwo. Żoneczka pana hrabiego, żywa brunetka, wzięła mnie z miejsca w krzyżowy ogień pytań. Po pierwsze — czy występowałam w stanie wojennym w telewizji. Ja na to, że nie. A teraz? Teraz tak. Chyba można. Jakie można? Nic podobnego. Histerycznie zaczęła mi robić zarzuty, że porządni ludzie w ogóle nie występują, tylko siedzą w domach na utrzymaniu amerykańskim. Jako przykład podała Maję Komorowską, która właśnie gościła w ich pięknym domu w Beverly Hills. Była

zdmiona, że nic nie wiem o polonijnej organizacji „Pomost”, mającej między innymi finansowo wspierać bezrobotnych artystów. Pan hrabia Tyszkiewicz na stronie przeproszał mnie za agresję swojej żony.

W końcu z ulgą udaliśmy się do Hollywood. Po południu byliśmy zaproszeni, a raczej wprosililiśmy się na obiad do domu znanego teraz i u nas fryzjera Vidala Sassoon. To był właściwie jeden wielki przypadek, chociaż podobno przypadków nie ma i wszystko w przyrodzie ma swoją przyczynę.

Otóż do Jurka Romańskiego zadzwonił kiedyś w Warszawie kolega, że ma Amerykanina o polskim pochodzeniu, a ponieważ jest bardzo zajęty prosi o zaopiekowanie się gościem. Żegnając się pan Sassoon wręczył swoją wizytówkę ze słowami:

— *Jeżeli kiedykolwiek będziesz w moich stronach, koniecznie zadzwoń.*

I teraz Romański postanowił się przypomnieć. W rezultacie zostaliśmy zaproszeni na obiad do rezydencji w Bell Air. Zdażyliśmy się zorientować, że jedziemy do znanej osobistości. Kiedy wsiedliśmy do przysłanego po nas pięknego samochodu, byłam przekonana, że prowadzi maszynę sam Vidal Sassoon. Młody, opalony, dobrze ostrzyżony (w końcu fryzjer), swobodnie zachowujący się człowiek okazał się być tylko szoferem pana V.S. A tyle się niepotrzebnie naćwierkałam. Miły kierowca pokazał nam po drodze wille wielkich gwiazd: Gary Coopera, Kirka Douglasa. Wszystkie otoczone wysokimi murami i pilnie strzeżone. Najbardziej podobało mi się to, że nie ma tam chodników. Spacery po ulicach w ogóle nie są przewidywane. Bo i po co? Gwiazda wyjeżdża z domu samochodem, pokręci się po ulicach i wraca do swojego zamczyska, a bloków takich, jak na przykład na naszym Ursynowie, w pobliżu nie widziałam, więc normalny naród nie ma w zasadzie po co zapuszczać się w te strony. Chyba, że samochodem.

Podjechaliśmy pod nieduży, biały dom o nowoczesnej architekturze — ładnie położony na wzgórzu. Gospodarz w majtkach kąpielowych czekał na nas przy basenie. Jego przystojna narzeczona zażywała właśnie kąpieli. Nasz producent szamponów okazał się zadbanym (obowiązek zawodowy i towarzyski w tym kraju) mężczyzną po pięćdziesiątce. Był wyraźnie skacowany. Piliśmy szampana za szam-

panem, zagryzając pysznymi udkami kurczaka, które donosiła gruba Murzynka przepasana białym fartuszkiem. Byliśmy trochę speszeni, a poza tym czuliśmy się strasznie prowincjonalnie w swoich ubraniach, jakby z innej operetki. Mieliliśmy na sobie jakieś czarne koszule z długimi rękawami, co stanowiło niezły kontrast z golizną Sassoona. Wyglądaliśmy raczej jak pracownicy marnego zakładu pogrzebowego, a nie jak artyści estradowi. Do dzisiaj nie wiem, czemu tak pięknie się ubraliśmy na tę wakacyjną kalifornijską okoliczność.

W pewnym momencie Jurek Romański spytał gospodarza, czy nie mógłby nam jakoś pomóc w naszych sprawach zawodowych, na przykład poznać z kimś ważnym z branży muzycznej. Na to Sassoon powiedział, że to żaden problem, że wystarczy na przykład, żebyśmy przyszli tego dnia wieczorem do niego na bankiet. Będzie ze sto pięćdziesiąt osób (same ważne), a wiadomo, że najlepsze kontakty zawiera się właśnie na takich imprezach. To nas lekko zaskoczyło, ponieważ za dwie godziny mieliśmy już być na lotnisku. Seweryn mrucał (sennie jak zwykle) pod nosem, że on to chyba nie może, bo musi zdążyć na koncert w Chicago. Mnie też zabrakło odwagi i udałam się przez Nowy Jork do Warszawy, zasłaniając się wykupionymi wczasami w miejscowości Wałpusz na Mazurach.

Oczywiście powinniśmy zostać i kuć żelazo póki gorące. Umawiać się, pukać do drzwi, rozmawiać, próbować szczęścia. Gdybym miała radzić komuś młodemu, startującemu w showbusinessie — to tylko to. Oczywiście potrzebna jest męska decyzja — zostaję, próbuję. Tyle że zwykle okazuje się, że każdy zostawił kogoś w kraju, do czegoś tęskni. Arysta nie powinien mieć rodziny, dzieci, powinien być wolny, ciężko pracować i całkowicie poświęcić się karierze. Sukces musi być okupiony samotnością i ciężką pracą. Niestety, człowiek jest tak skonstruowany, że potrzebuje również miłości, domu. I stąd tyle tragedii: alkohol, narkotyki, samobójstwa. A już szczególnie trudno pogodzić karierę z potrzebą macierzyństwa. Wiem coś na ten temat. W końcu przez całe lata osiemdziesiąte byłam w ciąży.

Wieczne rozdarcie. Hotele, podróże, koncerty, tłumy fanów — fanatyczne. Wciągające, upajające, przynoszące mnóstwo satysfakcji. Do

czasu. Przychodzi tęsknota. Wtedy galopem, albo jeszcze szybciej, do domu. Tu — ukochany mężczyzna, dzieci — zupełnie inne zajęcia, inny tryb życia. Po jakimś czasie stres, niepokój, że coś ucieka, że ktoś wyprzedzi, że tam mnie nie ma. Gdzie — tam? Wszystko jedno — tam. I znowu pakowanie walizek i inny świat. Wiem, jak często nieszczęśliwe są moje koleżanki, które nie mają dzieci, przegapiły ten tak zwany ostatni dzwonek, a jeśli jeszcze i kariera zawodowa zmarnieje? Pustka. Z drugiej strony one mają ten luksus, że mogą cały czas poświęcić sobie, a ja?

Wieczny brak czasu, ogromne zmęczenie i stres, że niczego nie robię dobrze. Za mało czasu poświęcam zawodowi, przygotowaniom, pracy koncepcyjnej i jednocześnie strasznie zaniedbuję dom. Mąż wiecznie narzeka, że siedzi wieczorami sam, że ma tego dosyć, dzieci nie mają matki, zaniedbują się w szkole — koszmar. Do tego od momentu urodzenia Jaśka mam ciągle kłopoty z nadwagą. Beznadziejne podejmowanie prób z przeróżnymi dietami: bezsolna, warzywna, beztłuszczowa. Czego to już nie próbowałam. Jak się tak porządnie zawzięłam — to i owszem, efekty były, ale na krótko. Wystarczyło parę miesięcy normalnego jedzenia i to samo. Żeby utrzymać przyzwoitą wagę, właściwie do końca życia powinnam się pilnować i to ostro. Najgorzej, że mam słabą wolę, a jedzenie może być taką przyjemnością. Podobno jest tylko jeden pewny sposób, żeby stracić na wadze. Kupić ją za pięćset tysięcy, a sprzedać za trzysta. A propos nadwagi i odchudzania słyszałam kiedyś niezłą anegdotę o Dance Rinn. Otóż pojechała ileś lat temu do Konstancina na wczasy odchudzające. Po powrocie — koledzy, którzy jakoś nie zauważyli zmiany w jej objętości, zapytali Dankę:

--- *Jak tam było, na czym to polegało?*

Na to ona:

— *Grozą wiało. Rano — przezroczysty platek szynki, potem dwadzieścia kilometrów marszu, obiad — liść salaty, biegi, szklanka wody i parogodzinna dyskoteka.*

— *No dobrze, ale dlaczego nie schudłaś?*

Danka:

— *Po pierwsze — ze swoim nazwiskiem załatwiłam sobie zwolnienie z marszobiegów, po drugie — zaprzyjaźniłam się z kucharzem i tak dalej.*

A wszystkiemu winna moda na chude. No, bo czy to nie jest rzecz umowna? Czy nie można by ustalić, że od teraz będzie się nam podobać człowiek z ciałem? Otwieram żurnal — wieszaki. Patrę do lustra — no, niestety. Jak żyć? Świat jest niesprawiedliwy.

23.

Tego samego roku (1984) w lipcu Pagart postanowił wysłać mnie na Kubę. A tam wielka feta — trzydziesta rocznica rewolucji. I z tej okazji galowe koncerty z udziałem piosenkarzy ze wszystkich „demoludów”. Gitarzysta (Andrzej Kleszczewski) tuż przed wyjazdem oświadczył mi, że nie jedzie, bo ma inne plany. Wybiera się z kolegą — gitarzystą elektrycznym (Ryszard Sygitowicz — kiedyś „Perfekt”) na kontrakt do jakiegoś zachodniego hotelu. Bodaj do Kuwejtu. W końcu po długich namowach zdecydował, że jedziemy razem. Najpierw pojechaliśmy moim polonezem do Pragi, a stamtąd samolotem do Hawany. W Hawanie temperatura +40°C, nie ma czym oddychać, do tego ogromna wilgoć w powietrzu. Człowiek cały czas mokry. Obrzydliwe. Zamieszkaliśmy w ogromnym Hotelu International, wybudowanym jeszcze przez Amerykanów. W niektórych pokojach działała nawet klimatyzacja. Na dole znajdował się basen, w którym przyszło nam spędzać najbliższe dni.

Okazało się, że każdy wykonawca musi zaśpiewać kubańską piosenkę. Mało tego, będzie oceniany przez jury, czyli konkurs. Bardzo proszę. Tylko tego brakowało. Spytałam, czy mogę wykonać piosenkę, której się nauczyłam podczas swojego pierwszego pobytu — w siedemdziesiątym roku. Oni na to, że nie, że to stare, że musi być nowy repertuar. W dodatku przez nich zaproponowany. Masz ci los. Dali mi nuty, tekst (długi) i zapowiedzieli, że za dwa dni ma to być nauczone. Nie było wyjścia. Piosenka nawet ładna, liryczna. Nazywała się „Jedno-rożec” — „Un unicornõ”. Leżąc plackiem na słońcu wkuwałam

hiszpańskie słowa. Po dwóch dniach pojechaliśmy do teatru na generalną próbę. Wymyśliłam sobie, że wykonam to kubańskie dzieło tylko z gitarą, czyli z Andrzejem i z miejscowym skrzypkiem. Nie byłam do końca pewna tekstu, więc pierwszą zwrotkę napisałam flamastrem na podłodze, a drugą położyłam skrzypkowi na pulpicie. Miałam w planie przykleknienie na początku utworu (podłoga), a potem romantyczne zagranie do skrzypka (pulpit). Jakież było moje zdumienie, kiedy okazało się, że dekoratorzy pomalowali przed koncertem podłogę! Została ręka, czyli stary, wypróbowany sposób napisania długopisem na dłoni początkowych wyrazów każdej linijki. Została sklasyfikowana na drugim miejscu. Wygrała Rosjanka z Alma Aty. Skośnooka, drobna dziewczyna o ogromnym głosie.

Następnego dnia cała ekipa ruszyła dwoma autokarami (z klimatyzacją) w trasę. W każdym mieście przed koncertem byliśmy obowiązkowo prowadzeni do muzeum rewolucji. Wieczorami organizowaliśmy miłe bankiecieki połączone z kąpielą w basenie. W jakiejś kolejnej miejscowości cały wieczór przetańczyliśmy przy grającej specjalnie dla nas orkiestrze. Moje ukochane, ekscytujące, południowoamerykańskie rytmy... Hasałam przez parę godzin do siódmych potów w takt ognistej salsy. Zakochał się we mnie trębacz z naszej orkiestry. Murzyn. Ogromny. Miał ze dwa metry i adorował mnie wytrwale. Wskakiwał na przykład za mną do basenu i szeptał niskim głosem:

— *I love you.*

To były zresztą jedyne słowa angielskie, jakie znał. Albo w czasie wieczornych biesiad siadał za mną, brał kawałek deski wyrwanej z płotu i tym urządzeniem usiłował mnie wachlować. Koledzy ochrzcili go Supersanio, od nazwy najczęściej spotykanych w kubańskich hotelach klimatyzatorów.

Wylecieliśmy z Hawany po całonocnym bankiecie pożegnalnym. W Pradze znaleźliśmy się bladym świtem. Pojechaliśmy razem z zaprzyjaźnioną czeską gwiazdą Petrą Janu do jej mieszkania. Wypiliśmy szybko kawę. Uruchoiłam poloneza „na pych” i ruszyliśmy z Andrzejem w drogę powrotną. Dojechałam półżywa. Ponad siedemset kilometrów w strasznym upale. Bez przerwy zasypiałam nad kierownicą.

Dzieci były w tym czasie u babci we Włocławku z Krzysztofem i z Krysią. Całymi dniami przesiadywali za miastem na działce. Dwuletnia Kasia w południe sypiała na drzewie, a dokładniej na hamaku zrobionym z dużego koca. Sierpień spędziliśmy w Wałpuszu. To był kontakt Władka Komara. Spotkałam go kiedyś na ulicy i spytałam, czy nie zna jakiegoś miłego miejsca w lesie, nad wodą, najchętniej bez ludzi, za to komfortowego. Powiedział:

— *Oczywiście, Wałpusz.*

— *Co to jest?*

— *Mazury — koleżanko. Mój brat jest dyrektorem dużego pegeeru i na pewno ci wynajmie jakieś locum.*

I wynajął. Rzeczywiście, las, woda, drewniane domki, stołówka. Tak polubiliśmy to miejsce, że przyjeżdżaliśmy na całe wakacje przez kilka lat. Pamiętam, że pierwsze lato było niezbyt udane. Mazury — wiadomo — cudne, jeżeli dopisuje pogoda. Tamtego roku cały czas lało, temperatury były niskie, w domku wilgoć. Kasia małutka babrała się godzinami w błocie, a ja prałam i suszyłam żelazkiem pieluchy. Pod koniec wakacji Jasiek, na prośbę kolegi, wszedł bosą stopą w ognisko. Oczywiście pogotowie w Szczytnie, zastrzyki. Krzysztof jak zwykle bawił się w wędkowanie. Na moje prośby:

— *Pobądź trochę z dziećmi, przemów do nich ludzkim głosem* odpowiadał:

— *Będę robił to, na co mam ochotę. Ja też mam prawo do wakacji.*

Jedyną moją rozrywką był tenis. Grywałam przeważnie z wykładowcami z pobliskiej szkoły milicyjnej i z wójtem sąsiedniej wsi. Czasami w brydża z mężem szefowej kuchni — szczytnieńskim krawcem o twarzy Salvadora Dali, no i zaprzyjaźnionymi partnerami z kortów.

Któreś lato spędziliśmy po sąsiedzku z Komarami. Władek bardzo chciał nauczyć się spinningu. Popłynął więc razem z Krzysztofem na ryby. Wziął spinning do ręki i spytał, co się z tym robi. Krzysztof pokazał mu sposób, w jaki przytrzymuje się żyłkę i powiedział: *A teraz zamach i rzucasz jak najdalej.* I Władek rzucił daleko, daleko, jak na mistrza przystało. Całą wędkę. Nie mógł zrozumieć rozpaczy Krzysztofa. — *Powiedziałeś jak najdalej, to rzuciłem.*

24.

Rok 1984 był dla mnie dość intensywny zawodowo. Los Angeles, Kuba, Rosja, Stany — klub polonijny i krajowe festiwale: Opole i Sopot. Do Opola zostałam zaproszona na koncert, w którym miałam zaśpiewać wybraną przez komisję artystyczną piosenkę z mojego repertuaru. Wiem z doświadczenia, jak trudno jest zaistnieć w ciągu trzech minut na scenie, jakie to bywa ryzykowne. Zaproponowałam zamiast dość banalnej piosenki na piękny nowy utwór „Niech żyje bal”. Nie zgodzili się. Mało tego. Zostałam wezwana do ministerstwa kultury na dywanik do szefa departamentu teatru i rozrywki. On do mnie:

— *Czemu nie chce pani wystąpić w Opolu?*

Ja na to:

— *Chętnie, ale nie mogę się dogadać z organizatorami.*

Przy mnie połączył się z Opolem. Trafił akurat na naradę komisji artystycznej. Zaparli się jak osły. Nie i nie. No to nie.

— *Sam pan widzi, że z nimi nie ma dyskusji.*

Po paru godzinach znowu telefon z Opola:

— *Przyjeżdżaj i śpiewaj, co chcesz.*

„Bal” dostał wtedy nagrodę dziennikarzy.

Był to czas, kiedy zaczęłam zastanawiać się nad możliwością zmiany mieszkania. Zamarzył mi się dom w Konstancinie. Jeździłam tam często z dziećmi na spacer. Wszak to z Ursynowa rzut beretem, jak mawiał Florek. Coraz bardziej zachwycalam się pięknymi, starymi willami — cudami architektury. Serce mi się ścisnęło z żalu, kiedy patrzyłam na niszczące drewniane ganeczki, zagrzybione mury, zdewastowane ogrody. Najpiękniejsze domy, zamieszkałe przez przypadkowe rodziny upchane tam po wojnie, po wywłaszczeniu właścicieli. A wszystko na złość burżujom. Moja mama wymyśliła, że najlepiej byłoby znaleźć jakąś samotną staruszkę, która ma dosyć naprawiania ciekącego dachu i marzy, żeby zamieszkać w ciepłutkim (zwłaszcza moje — ciepłutkie) mieszkanku w bloku. Zaczęłam szukać domu ze staruszką.

Najbardziej zachwycały mnie olbrzymie działki po pięć, dziesięć tysięcy metrów z ogromnymi, starymi drzewami. To było to. Niestety, kiedy zaczęłam liczyć na kartce, mnożyć, odejmować — nic mi się nie zgadzało. Do pieniędzy, które mogłam uzyskać ze sprzedaży Ursynowa trzeba by jeszcze sporo dołożyć, by wyremontować Konstancin. Domy tam były nie remontowane przez kilkadziesiąt lat, często miały drewniane stropy, nadające się tylko do wymiany. I grzyb. Najgorsza zhora. Osuszanie murów — straszne koszty, a wiedziałam, że mogę liczyć wyłącznie na siebie. Była ciepła jesień — rok osiemdziesiąty piąty. Spotkałam Agnieszkę Osiecką. Dość dawno się nie widziałyśmy. Opowiedziała mi o swoich nowych przyjaźniach. O pewnym miłym małżeństwie, prowadzącym salonowe życie. Krótko mówiąc powiedziała:

— *Musisz ich poznać, często o tobie rozmawiamy.*

To mnie zainteresowało. Miałam dość samotności. Ciągnęło mnie do ludzi. Czułam, że zaczynają mnie interesować mężczyźni, chyba nawet bardziej niż domy w Konstancinie. Powiedziałam o tym Krzysztofowi. Nie zareagował. Któregoś dnia umówiłam się z Agnieszką na wspólne oglądanie kolejnej nieosiągalnej willi. Zastałam ją w Europejskim rozmawiającą z przystojną brunetką. Domyśliłam się, że to pani Dorota — nowa koleżanka. Mało tego, nagle zobaczyłam idącego w naszym kierunku wysokiego, przystojnego mężczyznę. Szedł nie odrywając ode mnie oczu. Pocałował mnie w rękę. Spytałam:

— *To pan?*

(Czułam, że jest mężem pani D. — tym z opowieści Agnieszki).

— *To pani?*

Byłam wyraźnie zaniepokojona. Zadrzało mi serce. Wyczuwałam podobne napięcie u niego. Rozmawialiśmy nie zwracając uwagi na resztę towarzystwa. W rezultacie pojechaliśmy trzema samochodami do Konstancina. Ja z dziećmi, Krysią, rzeczoznawcą i Agnieszka z przyjaciółmi, czyli z panią Dorotą, jej mężem i Teresą Zygdlewicz, znaną telewizyjną scenografką. Cała wycieczka. Kiedy przedzieraliśmy się przez chaszczkę zapuszczonego ogrodu — rzeczoznawcę ugryzł pies. Chapnął go porządnie w łydkę rozszarpując spodnie. Towarzystwo rozbiegło się po pustych pokojach. Zatrzymałam się na dużym tarasie.

Pan Andrzej, mąż Doroty, niby przypadkiem znalazł się przy mnie. Miał duże, okrągłe, brązowe oczy, jak u misia. Przebywanie w jego towarzystwie sprawiało mi wyraźną przyjemność. Podobała mi się jego barczysta sylwetka. Było w nim coś łagodnego, a jednocześnie ekscytującego. Wróciliśmy do Warszawy.

Po paru dniach wyjechałam na długie sześć tygodni do Chicago. Natychmiast wysłałam przyjacielowi do Los Angeles swoją specjalnie przygotowaną anglojęzyczną taśmę. Ciągle miałam nadzieję, że coś z tego może wyniknąć. Życie pokazało jednak, że pół roku, jakie upłynęło od mojego pobytu w L.A. to bardzo dużo. Jeden z zainteresowanych agentów poważnej firmy płytowej już tam nie pracował, drugi wykazywał jakby mniejsze zainteresowanie, a poza tym był ciągle nieuchwytny. „Farbowany lis”, który mógłby pomóc najbardziej, wykręcał się a to brakiem czasu, a to zepsutym magnetofonem. Nie był poza tym zadowolony, że działał przez posłańca. Wracał bez przerwy do swojego ulubionego tematu próbnych zdjęć. Do diabła — gdyby to miało być prawdą — to przecież próbne zdjęcia w Hollywood nie zdarzają się codziennie. Może trzeba było wsiąść do samochodu i ahoj przygodo! Może. Na razie jednak mieszkalam w zakaraluszonym chicagowskim mieszkaniu i od piątku do niedzieli zdierałam gardło w klubie „Polonez”.

Próbowali się do mnie przystawiać różni panowie. Słodkie spojrzenia rzucał knajpiany wykidajło, kwiaty na scenę przysyłał właściciel „Polameru” — firmy wysyłającej paczki do Polski — ten sam, który próbował wyważyć parę lat wcześniej drzwi do mojej sypialni.

Grywałam regularnie w tenisa. Ze specjalistą od komputerów i z zawodowym pokerzystą. Tego drugiego interesowały wyłącznie dwie rzeczy: utrzymywanie swojego ciała w kondycji fizycznej i karty. Grywał od piątku do niedzieli. Kończył w poniedziałek nad ranem. Często nas nachodził (mieszkalam w jednym mieszkaniu z Andrzejem — gitarzystą) o tej porze z naręczem szampanów. Wyraźnie nie chciało mu się wracać do domu. Komputerowiec natomiast znany był w „Poloniezie” z tego, że świetnie tańczył. Zwłaszcza dobrze wywijał partnerkami w rock’n’rollu. Kiedyś (widziałam to na własne oczy) podrzucił wysoko

pod sufit swoją była żoną, odwrócił się i poszedł sobie. Panienska wbiła się zębami w podłogę. Ze dwa to chyba zostały tam na zawsze. Poważnie.

Któregoś piątku, w czasie przerwy między jednym i drugim moim występem, usłyszałam w garderobie histeryczny krzyk:

— *Pali się!*

Wybiegłam w jednym bucie do sali bilardowej i zobaczyłam biegających w popłochu gości. Podeszedł do mnie Andrzej — jak zwykle — spokojny i flegmatyczny i oświadczył:

— *Stařenka —jara się — będzimy się ewakuować.*

Włożyłam drugi but, złapałam gitarę i przytomnie rulon plakatów. Plakaty na wypadek, gdyby trzeba było zmieniać miejsce pracy. W głównej sali już byli strażacy i rąbali siekierami podłogę. Ogień szedł z piwnicy. Jedna rzecz mnie zdumiała. Błyskawicznie pojawiły się samochody firmy remontowej. Do wieczora następnego dnia wszystkie zniszczenia były naprawione. Trochę tylko przeszkadzał w śpiewaniu unoszący się swąd spalenizny. Ostatnie nasze granie wypadło ósmego grudnia. Moje imieniny i urodziny,. Zrobiłam sobie wspaniały prezent. Poszłam na koncert supergrupy — Chicago. Wieczorem przyjaciele wydali na moją cześć bankiet.

Następnego dnia odwieziono nas na lotnisko. Byłam okropnie przeziębiona. Miałam chyba wysoką temperaturę. W dodatku celniczka zażądała ogromnej sumy za nadbagaż. W końcu po długich błaganiach stanęło na siedmuset dolarach. Andrzej zlorzcząc wysupłał dwieście, ja z bólem serca całe pięćset. Te dodatkowe kilogramy, to były głównie ubrania dla dzieci i zabawki. W samolocie przeżywałam koszmar. Kaszel mnie dosłownie rozrywał. Było to rozległe, obustronne zapalenie płuc, czego nawet nie podejrzewałam. Przeleżałam potem parę tygodni w łóżku.

Następnego dnia po powrocie zadzwonił telefon:

— *Mówi Andrzej Dużyński — chcieliśmy z żoną zaprosić panią do nas na kolację.*

Grzecznie podziękowałam, tłumacząc się chorobą. Nie uwierzył. Poczul się odrzucony.

W połowie stycznia rozpadł mi się silnik w mercedesie. Warsztatowiec rozkładał ręce. Nie ma części. Rany boskie, za parę tygodni wiozę dzieci na narty do Bukowiny. Wtedy przyszedł mi do głowy pan Andrzej. Wiedziałam, że pracuje w branży samochodowej. Prowadził autoryzowaną stację „Peugeot”. Zadzwoiłam. Po paru dniach dostałam ogromny bukiet róż, a w środku tkwił nieosiągalny błyszczący tłok. Tłok w różach. I jak tu się nie zakochać.

Po paru dniach zostałam zaproszona z Agnieszką do państwa Dużyńskich na kolację. Potem był jeszcze wspólny obiad w Victorii, jakieś kawki, a w końcu wielki bankiet z okazji imienin pani Doroty. Pamiętam, że tego dnia do późnego wieczora nagrywałam w telewizji program dla dzieci, po czym wzięłam taksówkę i pojechałam na Wolę. Miałam dla solenizatki duży bukiet pięknych, różowych róż. W proggu powitał mnie pan domu ze słowami:

— *O, dziękuję za wspaniałe kwiaty.*

Zaczęłam sama się zastanawiać dla kogo je kupiłam.

Na bankiecie tłum ludzi. Mnóstwo znajomych. Nie odstępował mnie Filier (wtedy szef „Szpilek”) i ambasador Maroka. Gospodarz donosił drinki. Trochę się dziwił, że piję wódkę z sokiem pomarańczowym i ciągle miał kłopoty z trafieniem we właściwe proporcje. Do dzisiaj hasło „złe proporcje” wywołuje u nas uśmiech.

Towarzystwo piło raczej whisky i wino, a szansonistka, wiadomo, wódkę. Kiedy doszło do pożegnań, ktoś zaproponował, że mnie odwiezie. Mogłam wybierać między Fillerem, Marokańczykiem i Danielem O. Wskazałam na gospodarza i powiedziałam — pan. Powstało lekkie zamieszanie, przestawianie samochodów. Kiedy Andrzej otwierał mi dzwi auta, nie bardzo rozumiałam co robi. Sądziłam, że te od strony kierowcy się zacięły i że chce wsiąść od mojej strony. Nie byłam przyzwyczajona do takiej galanterii. Dawno nie spotkałam mężczyzny o takich manierach. W końcu wsiadłam do stalowego audi i ruszyliśmy w kierunku Ursynowa. Podróż trwała stanowczo za krótko. Pocałowaliśmy się na wiadukcie ulicy Marynarskiej. Byłam w siódmym niebie.

Po paru dniach, wyjeżdżając z dziećmi do Bukowiny, poprosiłam Andrzeja, żeby mnie tam nie odwiedzał. Patrząc mi w oczy powiedział:

— *Tego nie obiecuję.*

Po drodze ropa mi zamarzała w silniku. Było dwadzieścia pięć stopni mrozu. Ledwo dojechałam dolewając kupionej po drodze nafty. Na miejscu byliśmy późnym wieczorem. Bukowina bajkowa. Samochód poruszał się tunelem wykopanym w wysokim na dwa metry śniegu. Cisza, gdzieś odzywały się dzwoneczki góralskich sań, poszczekiwały psy. Codziennie jeździłam na nartach, jak szalona. Sześciolatek Jasek radził sobie coraz lepiej. Nawet Kasia przypinała deski i robiła pierwsze „plugi”. Prowadziłam higieniczny tryb życia. Wieczorami czytałam, rano wstawałam z dziećmi na śniadanie, potem narty do obiadu, po obiedzie to samo. Bardzo mi to odpowiadało. Postanowiłam przedłużyć ferie do marca. W końcu Jasek był dopiero w zerówce, a tu tak pięknie. Ktoregoś wieczoru leżałam jak zwykle z książką w łóżku. Nagle usłyszałam jakby znajomy „sound” silnika. Wyjrzałam z drzeniem serca przez okno. Mimo ciemności poznałam charakterystyczne sylwetki — audi 100 i jego pana. Wpadłam w popłoch. Pobiegłam w nocnej koszuli do pokoju Krysi i dzieci, szepcząc cichutko:

— *Mnie nie ma... — Albo nie: — śpię, żeby przyjechał jutro.*

I znowu do okna. Ktoś chodził koło mojego samochodu. Słyszałam skrzypienie śniegu. Po chwili znowu — skrzyp, skrzyp — w drugą stronę. Odjechał. Rano przed śniadaniem pobiegłam do mercedesa. Za wycieraczką znalazłam liścik:

— *Posłaniec z Warszawy przywiózł pani kwiaty; mieszka w „Kasprowym”; jutro zadzwoni o jedenastej.*

O jedenastej? Boże! Właśnie umówiłam się z góralek na wycieczkę do Gliczarowej. Trudno. Kiedy wróciliśmy powitała mnie w progu podskcytowana góralka pani Hania:

— *Czy pani ma imieniny?*

Ja ná to, że nie.

— *Urodziny?*

— *Też nie.*

— *No to co to za okazja? Był tu taaaki przystojny, wysoki blondyn z cygarem i zostawił dla pani ogromny bukiet róż. Taki ogromny, to musi być jakiś powód.*

Później sąsiadki mi opowiadały, że po tej wizycie przystojnego blondyna pani Hania narzuciła na głowę chustę i poleciała z rewelacją po chałupach.

„Specjalny posłaniec” odebrał kartkę, którą z kolei ja zostawiłam w tym samym miejscu — za wycieraczką. Spotkaliśmy się dopiero wieczorem. Wysłałam z domu troszkę wcześniej i podreptałam w kierunku, skąd miało nadjechać audi. Odbywaliśmy wielogodzinne, romantyczne przejażdżki przez Głodówkę w kierunku Kuźnic patrząc sobie w oczy. Jedynym świadkiem naszych nocnych randek był ogromny księżyc, będący na dodatek w pełni, jak zwykle w takich sytuacjach. Zapobiegliwy Andrzej miał przygotowane moje ulubione reńskie wino i nie mniej wytworny kieliszek na smukłej nóżce.

Po Bukowinie wyjechałam na długie sześć tygodni do Rosji. Pozostały nam telefony. Zaczął się czas gorących rozmów na linii Wilno—Warszawa, Warszawa—Kijów etc.

25.

Andrzej rozstał się ze swoją żoną, ja odbyłam trudną rozmowę z Krzysztofem. Zareagował gwałtownie. Byłam zaskoczona, zważywszy ostatnie chłodne lata. Następne miesiące stały się dla nas koszmarem. Najbardziej drżałam o psychiczny spokój dzieci. To ze względu na nie zgodziłam się na wspólne wakacje z Krzysztofem, na jego prośbę nie widywałam się z Andrzejem, tym samym wystawiając i jego na ciężką próbę. I znowu przeraźliwie smutne rozstanie. I tysiące wątpliwości. Jedno wiedziałam na pewno. Nie mogę się pomylić. Mężczyzna, którego przedstawię dzieciom, nie może być efemerydą. Andrzej, kiedy go poznałam, prowadził życie lwa salonowego. Bankiety, narzeczone, duże powodzenie u kobiet, sukcesy towarzyskie. A tu nagle kobieta z przychówkiem, często nieobecna z racji zawodowych wyjazdów, masa nowych przyziemnych obowiązków. Czasami udawało nam się uciec na parę dni w góry, gdzie mogliśmy pozachwycać się sobą i przyrodą.

Kiedyś, wracając pod wieczór z Czarnego Stawu, przeżyliśmy chwile grozy. Zmierzchało. Panowała absolutna cisza. Pamiętam, że nawet powiedziałam: „Zobacz, przyroda nie hałasuje”. I nagle daleko, daleko usłyszeliśmy jakiś dziwny odgłos. Spytałam co to. Andrzej mnie uspokoił: *To na pewno krowa zostawiona na noc przez jakiegoś górala. Krowa w górach?*— zdziwiłam się w duchu. Po chwili odgłos się powtórzył, tyle że znacznie bliżej. No a kiedy to coś ryknęło nam w ciemnościach tuż nad uchem, puściliśmy się galopem w dół. Nie było to łatwe w wyjątkowo czarną, bezksiężycową noc i drogą usianą wielkimi głazami. To prawdziwy cud, że nie połamaliśmy nóg. Mizio, głośno rycząc, towarzyszył nam aż do Kuźnic, do pierwszych chałup. Później okazało się, że mieliśmy szczęście, ponieważ tuż obok nas zaczynała się siatka — szliśmy trasą narciarską. Andrzej do dzisiaj powtarza, że wielokrotnie chodził po górach w nocy i nigdy nie miał podobnej przygody, a wystarczyło, że wybrał się z Rodowicz i od razu niedźwiedź przyleciał po autograf.

Przez pierwszy rok prowadziliśmy zupełnie wariacki tryb życia. Spotykaliśmy się wieczorem, często późno (usypiałam dzieci), jechaliśmy do wolskiego mieszkania Andrzeja, po czym byłam odwożona głęboką nocą, a zdarzało się, że i nad ranem — na Ursynów. Ja mogłam pospać parę godzin, byłam więc w dużo lepszej sytuacji niż Andrzej, który zwykle między siódmą a ósmą zaczynał urzędowanie w swoim warsztacie. W dodatku, litując się nade mną, wracał około dziewiętej po to, żeby odwiedzić Jaśka do przedszkola. Nie wiem, jakim cudem nasze organizmy wytrzymały te szaleństwa. Tylko wielka miłość mogła to sprawić.

Na szczęście dla naszej mocno nadwątlonej kondycji wyjechałam jesienią na kolejny kontrakt polonijny — tym razem do Nowego Jorku. Z powodu nowej, dokuczliwej przypadłości, alergii, okropnie bałam się samolotu. Dziewięć godzin w powietrzu bez możliwości natychmiastowej pomocy. Zaopatrzyłam się w niezbędne leki — hydrocortison i inne odczulające świństwa. Na skutek histerycznej paniki, ciągle wydawało mi się, że się duszę. Do Stanów doleciałam półżywa. To samo mi się przydarzało na ulicach Nowego Jorku. Zaczęłam miewać dziwne stany lękowe.

Któregoś dnia w mieszkaniu Urbaniaków rozmawiałam o nowej amerykańskiej diecie i za namową Michała wypilałam różową, pieniącą się miksturę — całkowicie ponoć hamującą łaknienie. Natychmiast zaczęło mi się wydawać, że umieram. Zawroty głowy, mgła przed oczami. Wyrzuciłam:

— *Wieźcie mnie do szpitala, to koniec.*

A Michał zaczął sobie głośno przypominać liczne przypadki zejścia z tego świata osób zażywających wypity przeze mnie cudowny środek odchudzający. Byłam pewna, że jestem następną ofiarą. Pojechaliśmy do najbliższego pogotowia. Po drodze Michał kupił mi jeszcze ciastko, aby podnieść poziom cukru. Podejrzewał, że to może być zasląbnienie cukrzycowe. Lekarz był podobnego zdania, chociaż na wszelki wypadek podał mi dożylnie leki odczulające. Nie było to wcale proste ze względu na moje pochowane żyłki. W efekcie pokłuli mi okropnie obie ręce. Leki zaczęły działać i ogarnęła mnie senność.

Wróciliśmy na pięćdziesiątą szóstą ulicę do mieszkania Michałów. Ku mojemu zdumieniu nagle wszedł Krzysiek Materna, który właśnie przyleciał z Warszawy. Z lotniska przyjechał taksówką powożoną przez swojego dobrego kolegę z Polski, spotkanego oczywiście przypadkiem.

Całą grupą udaliśmy się do domu sławnego już tu reżysera Zbigniewa Rybczyńskiego. Za swój krótki film „Tango” dostał nawet Oscara i w krótkim czasie stał się jednym z najbardziej wziętych autorów wideoklipów na świecie.

Tego wieczoru mieliśmy się jeszcze spotkać z dyrektorem Lotu. Oszołomiona silną dawką leków, właściwie nie byłam pewna, gdzie jesteśmy i na wszelki wypadek zaczęłam prosić laureata Oscara o załatwienie mi rezerwacji do Warszawy na określony termin. Reszta gości, z nabożeństwem wpatrująca się w mistrza kina, oniemiała. Mimo moich przeprosin atmosfera się wyraźnie znieświeżyła. Gospodarz w dodatku zaatakował Maternę za prokomunistyczną działalność, mnie podając przy tym za przykład niewinności. Tłumaczył, że swoim śpiewaniem dają dużo przyjemności narodowi bez konieczności opowiadania się po stronie znenawidzonego systemu. Słowa padały coraz ostrzejsze, zaczęło

się robić gorąco. Omal nie doszło do mordobicia. Musieliśmy się ewakuować. Zdążyłam jeszcze zobaczyć rewelacyjnie wyposażone studio, dziwną maszynę, a wszystko w ogromnych oryginalnych pofabrycznych pomieszczeniach.

Śpiewałam w klubie „Skorpion” w New Jersey — pół godziny drogi autobusem od Manhattanu. Kanciapa do spania znajdowała się nad lokalem, który stał na skrzyżowaniu autostrad, sąsiadując jedynie ze stacją benzynową. Wokół jakieś chaszcze i ewentualnie Murzyni i to nie za często, jako że miejsce było raczej odludne. W pokoiku za to towarzystwo karaluchów, które wchodziły również na łóżko, mimo że odsunęłam je od ściany. W nocy bez przerwy po korytarzu ganiały jakieś panienki z kolorowymi. Umierałam ze strachu. Drzwi były, jak to w Ameryce, z cienkiej dykty — zamykane na byle jaką zasuwkę. Dni wolne od pracy swoim starym zwyczajem spędzałam w Nowym Jorku. Dojeżdżałam autobusem do dworca stojącego przy najmniej chyba bezpiecznej ulicy tego miasta — przy czterdziestej drugiej. W końcu zlitowała się nade mną koleżanka — Ela Świącicka — i przygarnęła do swojego mieszkania. Sytuacja zmieniła się o tyle, że teraz mieszkałam w centrum Manhattanu, a jeździłam autobusem na weekendy do New Jersey. Elka, kobieta niezależna i przebojowa, robiła karierę w zawodzie bardzo w Stanach popularnym — psychoterapeuty. Właściwie chyba każdy mieszkaniec tego kraju odczuwa potrzebę leczenia swojej duszy.

Wieczorami biegałyśmy po knajpach i po znajomych. Spotykałam tam mniej i bardziej zaprzyjaźnionych kolegów: Marka Piwowskiego, montującego bez końca swoje stare, świetne filmy; Janusza Głowackiego, barczystego blondyna w malowniczo rozchełstanej koszuli — już po pierwszych pisarskich sukcesach; pięknego Rafała Olbińskiego — zdolnego grafika — z jego wysoką, wyróżniającą się w tłumie kobietą; Jasia Byrczka — kiedyś muzyka, potem działacza jazzowego, a ostatnio udziałowca banku amerykańskiego.

Na moje klubowe występy przychodziła czasami bardzo efektowna widownia. Spore zamieszanie swoim nagłym pojawieniem się wywołał kiedyś Fibak. Innym razem Jola Koman (z domu Stanik), eks-żona muzyka Janusza Komana, przyszła z całym tłumem amerykańskich

businessmenów. Bardzo im się spodobałam — znaczy moje śpiewanie. Zaczęliśmy rozmawiać o możliwości zorganizowania koncertu w znanym miejscu, dla szerszej widowni. Zasypywali mnie komplementami, że się marnuję, że trzeba to pokazać światu. Dyskusja toczyła się wokół repertuaru, konieczności zaproszenia na koncert prasy, telewizji i różnych ważnych osobistości ze świata showbusinessu. Zaczęły padać terminy. Zorientowałam się, że szalony pomysł staje się coraz bardziej realny. Zaproponowałam, żeby zrobić polski festiwal sztuki, czyli „polski dzień” w jakiejś dużej sali. Na ulicy sztuka ludowa — z wyci-nankami, orkiestrami — w foyer wystawa silnej grupy polskich grafików mieszkających w Nowym Jorku, wyświetlanie filmów Piwowskiego, Rybczyńskiego i w końcu koncert, między innymi z moim udziałem. Nawymyślałam to wszystko ze strachu przed jednoosobową odpowiedzialnością.

W końcu stanęło na tym, że robimy sam występ artystów estradowych. Zaproponowałam Korę, Niemena, Rosiewicza, Vox. W rezultacie przyjechała Małgosia Ostrowska, w miejsce zajętej Jackowskiej, ale na razie skończyłam kontrakt knajpiany i wróciłam do Polski.

Sprawami organizacyjnymi zajął się Krzysiek Materna, z ramienia ZPR. Miał wprawdzie dużą ochotę na reżyserowanie koncertu, ale w końcu zdecydowano, że najlepiej zrobi to Witek Orzechowski, były mąż Beaty Tyszkiewicz, reżyser filmowy, również przebywający w tym czasie w Stanach. Dwie przedsiębiorcze dziewczyny: Święcicka i Komanowa kręciły się wokół całej sprawy, aż furczało. Biegały po redakcjach gazet, wynajdywały sponsorów, wydzwaniały po ludziach. Szefem muzycznym całości został oczywiście Michał Urbaniak. Zajął się angażowaniem muzyków i miał za zadanie namówienie do wzięcia udziału w naszej imprezie znanych nazwisk. Na początku stycznia '86 zadzwoniła Jola, że udało się załatwić dla wszystkich wizy typu H-1, co oznacza pozwolenie na pracę. Byliśmy już pewni, że koncert się odbędzie. Po paru tygodniach pojechałam z moim Andrzejem do Nowego Jorku. Mieszkaliśmy wszyscy w niezłym Penta-hotelu, vis-à-vis Pensylwania Station. Ukazały się w prasie pierwsze artykuły anonsujące koncert, w znanej dyskotecie „Studio 54”.

Najbardziej ekscytowała Małgosia Ostrowska swoim punkowym wyglądem, zwłaszcza że przybywała zza żelaznej kurtyny. Odbyła się konferencja prasowa, na którą przybyli tylko nieliczni dziennikarze, głównie z żydowskich gazet. To nikłe zainteresowanie było naszym pierwszym rozczarowaniem. Wpadłam na pomysł, żeby koncert skończyć wspólnie zaśpiewaną piosenką. Agnieszka Osiecka (była na miejscu) szybko napisała słowa, muzykę skomponował Andrzej Zieliński (Skaldowie). Podzieliliśmy zwrotki między wszystkich wykonawców, odbyli-



Nowy Jork 1986 — Po konferencji prasowej, (od prawej) M. Urbaniak, ja, właściciel hotelu, Ola Laska, dziennikarz, Małgosia Ostrowska, Jola Koman (blondynka), Ela Świącieicka (brunetka).

my konieczne próby. Do „Studia 54” pojechaliśmy specjalnie wynajętymi ogromnymi limuzynami z otwierającymi drzwi szoferami w liberjach. Podniecenie rosło. Weszliśmy bocznym wejściem dla artystów. Aż szkoda, że nikt nie widział naszego eleganckiego podjazdu.

Na miejscu dowiedzieliśmy się, że przed frontem sali afera. Dzikie tłum zatarasował ulicę. Pojawiła się policja konna i straż pożarna, która interweniuje tam zawsze w przypadku nadkompletu widzów. Co się okazało: organizatorzy postanowili część biletów rozprowadzić w polskiej

dzielnicy, a część sprzedawać Amerykanom. Po to cała akcja została przecież wymyślona. Tymczasem jakiś pomyslowy Polak upłynął sto procent biletów wśród swoich i dodrukował drugie tyle. Co najciekawsze, wszystko poszło jak woda. Zrobiło się straszne zamieszanie. Do tego zaczął padać deszcz. Było jasne, że koncert się opóźni. Siedzieliśmy w podziemiach budynku sprężeni do skoku na scenę. Snuliśmy się nerwowo między jakimiś rurami, kablami i kartonami powtarzając swoje angielskie teksty. No bo to przecież promocja. W końcu się zaczęło. Pierwszy Niemen. Szybko się zorientował, że na sali sami Polacy. Dopiero kiedy odśpiewał po polsku „Dziwny jest ten świat” tłum zawył z zachwytu. Małgosia, spowita w dymy, z powodzeniem wykonała swoje ostre kawałki. Andrzej Rosiewicz występował, co miał do występowania, opowiedział widowni to, co sobie przygotował najśmieszniejszego. Małgosia i Vox grali z pół playbacków, to znaczy wokalał na żywo, reszta z taśmy. Nieszczerólną sytuację miała Urszula Dudziak — oczywiście biorąca udział w koncercie. Jej mąż Michał był właśnie zakochany po uszy w pięknej aktorce Lilianie Głąbczyńskiej, która prowadziła cały show. Ja śpiewałam ze świetną amerykańską sekcją (Lenny White na bębnach) i swoim gitarzystą Andrzejem Kleszczewskim. W połowie angielskiej wersji „Wsiąść do pociągu” rozległy się okrzyki: „*po polsku, po polsku*”, przesłam więc na język ojczysty. Podobnie było z „Balem”. Na końcu wystąpił świetny wokalista i gitarzysta George Benson i znany pianista jazzowy Deodato. Wszystko się skończyło wspólną hulanką na parkiecie. Nie mógł się nadziwić tylko barman, który widząc taką chmarę ludzi liczył na spory utarg. Tymczasem Polacy, jak to Polacy, pociągali z za pazuchy z przyniesionych z domu flaszeczek.

W hotelu odbyliśmy radę. Dowiedzieliśmy się, że, niestety, nie dotarli wielcy menażerowie, ale że jeszcze mamy cię szansy, jeżeli jakaś stacja telewizyjna kupi taśmę nakręconą w czasie koncertu. Zaczęły się targi finansowe. Andrzej Rosiewicz oświadczył, że bierze swoje umówione pieniądze i bez względu na konsekwencje opuszcza nasze towarzystwo. Reszta, w milczeniu, licząc po cichu na skutki promocji, zadowolili się mniejszym honorarium. Małgosia w kącie szeptała z Elką

Święcicką o możliwości zaangażowania się do superprodukcji pt. „Miami Voice”. W koncercie wzięła również udział, a właściwie przez nią zrobione kreacje, Ola Laska-Wołek. Podobnie jak wszyscy, przekonana o swoim talencie, liczyła na odkrycie. Ola była zabawna, zwłaszcza w nocy, kiedy w ciemnych okularach — porysowanych, z kiepskiego plastiku, za to dobrze wyglądających z całością — wychodziła z nami z hotelu, bez przerwy się potykając, do pobliskiego sklepiku otwartego twenty four hours. Było to świetne miejsce, głównie z artykułami spożywczymi, prowadzone przez Chińczyka. Przy wejściu brało się wielką tackę z przegródkami, po czym nakładało przeróżne sałatki, surówki, pokrojone owoce, a nawet gorące dania. Fura żarcia nie kosztowała więcej niż siedem, osiem dolarów. Zawsze mówiłam, że Ameryka jest tańsza od Polski.

Po tygodniu nicnierobienia miał się odbyć następny koncert, w wynajętej ładnej sali na Broadwayu. „Town Hall”, niestety, się nie sprzedał. Podobno organizatorki nie bardzo przyłożyły się tym razem do reklamy.

Któregoś wieczoru pokłóciłam się dość poważnie z Andrzejem. Mocno obrażony przespacerował pół nocy po niebezpiecznych ulicach, ryzykując nawet przejście w metrze po torach (przerwa nocna) od stacji do stacji. Sam się później dziwił, że nikt go nie zaczepił, kiedy tak wędrował, przeskakując przez śpiących pokotem bezdomnych w kartonach. No, ale to w końcu chłopak z Woli, więc się za bardzo nie bał tych dziwnych amerykańskich koleśków.

Wróciliśmy do Warszawy. Andrzej nareszcie zamieszkał z nami na Ursynowie. Za jego namową kupiłam nawet duży, japoński telewizor, który zastąpił jakieś polskie byle co. Nagle się okazało, że mam kupę niezłego sprzętu. Wcześniej przywiozłam ze Stanów philipsowski magnetowid i poczułam, że rosnę w siłę, a żyje mi się dostatniej.

Przyszła wiosna i ostatnia moja eskapada do Rosji. Bardzo chciałam, żeby Andrzej ze mną tam pobyl chociaż parę dni. W końcu się zdecydował. Wybrał się po raz pierwszy w życiu do tego kraju. I jak później zapewniał — po raz ostatni. Rosyjski znał, można powiedzieć, z widzenia. Jego rozmowa z kontrolerem paszportowym na lotnisku w Moskwie wyglądała mniej więcej tak. Pada pytanie:

— *Kak wasza familia?*

Andrzej dziwiąc się w duchu: skąd on wie, że mam rodzinę (pamiętał, że po angielsku rodzina to family) — odpowiedział:

— *Spasiba, charaszo.*

Na następne pytanie:

— *Niet, kak was zawut?* (tu mu się skojarzyło, że „zawut” pewnie znaczy zawód).

— *Ja inżynier.*

Tu kolejka jadących w delegację Polaków nie wytrzymała i pomogła niedouczonemu rodakowi porozumieć się z przedstawicielem radzieckich służb specjalnych. Zawiozłam Andrzeja do hotelu i oszołomiłam go wykwintną kolacją. Byliśmy obsługiwani w moim pięknym apartamencie przez trójkę zakolegowanych kelnerów. Oczywiście sowicie wynagradzanych. Rozkoszowaliśmy się świetnym szarym kawiozem (szlachetniejsza odmiana), wędzonym jesiotrem i sandaczem po polsku.

Następnego dnia moja Nataszka zaprosiła nas na kolację do trochę dziwnej restauracji. Wejście z bramy, szatnia bez numerków, niewielka salka z małą fontanną pośrodku, w rogu stary piec, na belce pod sufitem dwa żywe koguty. Nie mogłam zrozumieć zakazu sprzedaży alkoholu, no, ale zapobiegliwa Natasza polewała wszystkim (był tu jeszcze Rysiu Kozicz) ze swojej torebki pod stołem. W pewnym momencie zaczęły się jakieś występy artystyczne. Ktoś usiadł do pianina, ktoś zagrał na banjo, wyszedł chór znakomitych dziewczyn i pięknie odśpiewał rosyjskie przyśpiewki. Po chwili, niby spontanicznie, wstali od stolików młodzi ludzie, z akompaniamentem pianisty zaśpiewali moje „Wozy kolorowe” i porwali mnie na siłę do tańca. Następnego dnia okazało się, że było to wszystko starannie przygotowane i za-inscenizowane. Kiedy byłam z wizytą w Goskoncercie (rosyjski Pagart), podszedł do Andrzeja elegancko ubrany mężczyzna pytając piękną angielszczyzną o wrażenia z poprzedniego wieczoru. Przy okazji powiedział, że szkoda, że to nie zima, bo w „trojkach” są jeszcze lepsi.

Andrzejowi wycieczka zaczęła się coraz bardziej podobać. Najciekawsze jednak miało dopiero nadejść. Pojechaliliśmy na Syberię (ja pierwszy raz w tych stronach). Nowosybirsk. Najbrzydsze miasto na świecie.

Brzydsze od naszego Konina. Hotel nad brzegiem ogromnej, ciężko płynącej czarnej rzeki Ob. Restauracja w remoncie. W jedynym czynnym bufecie odrzucający smród i szynka w uspokajającym zielonym kolorze. W pokojach brud i zimno. Znaleźliśmy w mieście knajpę, gdzie przez dziesięć dni jedliśmy to samo: zapiekane kołduny w śmietanie. Nawet niezłe.

Koncerty odbywały się w obskurnej hali lodowej. Widownia oddalona od sceny o całą długość lodowiska. Zero kontaktu z publicznością.

Opuszczając to smutne miasto mieliśmy jeszcze przykrą przygodę na lotnisku. Podczas oczekiwania na samolot, udaliśmy się do restauracji na obiad. Do naszego stolika podeszła obrażona kelnerka, a wybredny Andrzej zaczął grymasić. Ponieważ zawsze wprawia mnie to w zażenowanie, żartem zakryłam mu ręką usta i zamówiłam jajka z kawiozem. Andrzej wyklócał się o sam kawior, którego nie było w karcie. Wreszcie kelnerka stwierdziła, że mnie w ogóle nic nie poda, ponieważ była na koncercie i czuje się obrażona. I nawet powiedziała dlaczego. Po pierwsze — nie miałam na sobie błyszczącej kreacji, a ona wie, że takie się teraz nosi, a po drugie zarzucała mi, że nie jestem podobna do Ałły Pugaczowej. I to mój największy grzech. Od razu przypomniała mi się właśnie Pugaczowa, wyplakująca mi się na ramieniu, jak to jej było ciężko na początku, kiedy wszystko robiła, żeby się upodobnić właśnie do mnie: sukienki, kapelusze, sposób bycia na scenie. Jak to naród radziecki, oglądając moje telewizyjne występy nareszcie zobaczył, że można inaczej, śmielej, co jej później pomogło w kreowaniu siebie. Kelnerka zachowywała się tak agresywnie, że wpisałam skargę do książki zażaleń. Po półgodzinie odszukał nas jakiś naczelnik lotniska i zakomunikował, że jego pracownica została zwolniona. Ublągaliśmy go jednak o złagodzenie okrutnej kary.

Następnym miastem był Nowokuznieck, cały zasnuty kolorowymi dymami. Zagłębie węglowe. I zmory restauracyjnej ciąg dalszy. Któregoś dnia po dwóch koncertach w miejscowej filharmonii i paru bisach spóźniliśmy się na kolację. Rozżaleni i głodni pocałowaliśmy — jak to się mówi — klamkę zamkniętych drzwi. Nagle zobaczyliśmy w kuchni krzątającą się sprzątaczkę. Poprosiliśmy chociaż o kawałek chleba.

Wszystkie produkty były, niestety, pozamykane. Litując się nad nami, kobiecina wlała wody do gara po rosole, zamieszała i postawiła na stole ze słowami:

— *Kuszajcie, na zdrowie.*

Co najważniejsze, my to kuszali, wrywając sobie bezmięśne kosteczki i zagryzając chlebem.

Następnego dnia postanowiliśmy zrobić zakupy i jadać w pokoju hotelowym. Na nasze pytanie *czy nie ma jajek*, usłyszeliśmy, że u nich nie ma masła, a jajek to nie ma także w sąsiednim miasteczku. Okazało się, że są tu całe rejony, gdzie na przykład przez wiele lat nie było mleka, albo masła, albo mięsa. Jakże cierpliwy jest ten naród! Któregoś dnia kolega z zespołu zadzwonił do rodziny do Szwecji. Tam już wiedzieli. Czarnobyl. Wpadliśmy w panikę. Prasa i telewizja milczała albo podawała nieprawdziwe informacje. Postanowiliśmy, że Andrzej natychmiast wróci przez Moskwę do Warszawy. Do dzieci. Otrzymał bojowe zadanie: kupić po drodze mleko w proszku. Nie wiem, jakie było w smaku, ale moje rozpuszczone dzieci go nie tknęły. Za to poczułam się dużo spokojniejsza wiedząc, że jest z nimi ktoś, na kogo mogę liczyć. Kiedy Andrzej mi zapowiedział:

— *Nie ciągnij mnie więcej do tego kraju, byłam pewna, że nigdy tam nie wróci.*

Bardzo się zdumiałam w Nowokuźniecku właśnie, kiedy po którymś koncercie weszłam do garderoby i zobaczyłam Andrzeja (Andrzeja, sączącego wyłącznie whisky i dobre wina) z wesolutkimi oczkami i ze stakanem wódki w ręce. No, cóż — zachował się jak wrona w stadzie.

Oboje bardzo chcieliśmy mieć dziecko. Nasze wspólne dziecko. Ale kiedy okazało się, że jestem w ciąży, Andrzej się wyraźnie przeraził. Zaczął nawet histeryzować, że nie wie, czy może wziąć na siebie taką odpowiedzialność. Szybko jednak się uspokoił, a brzuch zaczął rosnąć. Kiedy byłam w trzecim miesiącu ciąży, zawiozłam dzieci do Bukowiny na narty (ferie '87), a sama poleciałam z Andrzejem Rosiewiczem na dziesięć koncertów do Australii.

Najpierw był bardzo męczący lot ilet 62, którego okropnie się bałam. Potem przesiadka w Bangkoku i parodniowy postój. Do hotelu

jechaliśmy małym busikiem. Nagle do środka samochodu buchnęła gorąca para. Powstała panika. Nic nie było widać. W końcu otworzono tylne drzwi. Jakieś dziecko zgubiło okulary. Ktoś płakał. Przedostając się przez stopy bagaży, stłukłam sobie porządnie nogę. Myślałam głównie o ciąży. Polscy turyści mieli zarezerwowany marny hotel, na dodatek z robactwem. Siedząc w restauracji obserwowałam pomykające między stolikami tłuste szczury. Nie przeszkadzało mi to w zajadaniu się gorącymi zupami o dziwnych orientalnych smakach. Powłóczyłam się trochę po mieście, które wydawało się być jedną wielką jadłodajnią. Na ulicach co krok spotykałam siedzących na ziemi ludzi, mieszających w wielkich garach pachnące azjatyckie przysmaki.

Z pracownikami LOT trafiliśmy do przedziwnego lokalu. Widownia siedziała amfiteatralnie, pośrodku zaś na wysokim podium, kręciły się jednakowo wyglądające, gołe, bardzo młode panienki — do kupienia za małe pieniądze. Wybrałam się też — z Andrzejem Rosiewiczem — na wycieczkę z przewodnikiem. Obejrzelśmy olbrzymie, z przepychem budowane stare pałace; miejsca kultu z ogromnymi, odlanymi ze szczerego złota posągami Buddy. Andrzej zaprzyjaźnił się z całą międzynarodową wycieczką, bawiąc wszystkich swoimi dowcipami.

W Australii wylądowaliśmy w mieście Brisbane. Na lotnisku oficjalne, miłe powitanie, z małymi dziewczynkami przebranymi w krakowskie stroje. Miasto cudowne. Mnóstwo niespotykanych roślin, nowoczesna, wyrafinowana architektura. W hotelu czekała na nas dziennikarka z miejscowej gazety, a wieczorem w pobliskim parku nagraliśmy dla telewizji po jednej piosence zaśpiewanej na żywo — z gitarami.

Zachłanny na sukces Andrzej przedłużał jak mógł swoją rejestrację chcąc mnie, jak to się mówi, „wymiksować” z programu. Wiedział przy tym, że ekipa nie ma za dużo czasu. Znam go całe lata, wielokrotnie przychodziło nam razem pracować i zawsze towarzyszyły temu kolizje.

Andrzej to typ hieny estradowej. Bardzo źle znosi sukcesy konkurencji i często jest w stanie podeptać kolegów, żeby tylko wysunąć się na pierwszy plan. Zdarzyło mi się parę razy przygotowywać z nim piosenki do wspólnego wykonania i zawsze finał był identyczny. W ostatniej chwili okazywało się, że nie nauczył się tekstu albo nie ma czasu na



Z premierem w Australii

wspólną próbę. Właściwie tylko raz udało się doprowadzić nasz wspólny występ do szczęśliwego końca — w Opolu — kiedy zaśpiewaliśmy razem piosenkę „Adio, pomidory”.

Przed laty w telewizyjnym ośrodku w Katowicach robiliśmy — on i ja

— program barburkowy. Padła propozycja, żeby zrobić wspólny finał, by te nasze produkcje jakoś połączyć. Wymyśliłam, że odegram rolę Miss Piggy w specjalnie zrobionej masce, Andrzej miał się wcielić w Kermita. Razem mieliśmy zaśpiewać piosenkę. Tymczasem mój wspaniały kolega będąc wcześniej na koncertach w Rzeszowie nagrał wszystkie głosy w bardzo złym technicznie radiowym studiu. Moją partię powierzył swojej chórzystce i zaproponował mi, żebym użyczyła tylko twarzy pod już zrealizowany playback. Poza tym oświadczył, że jest tak zmęczony, że i tak nie przyjdzie na żadną wspólną próbę. Reżyser dostawał szału i powiedział:

— *Nigdy więcej z tym panem.*

Kiedy indziej w Monachium w czasie wspólnego programu telewizyjnego tak długo okupował studio ze swoim balecikiem, że ja już nie miałam szans na żadną próbę. Nie inaczej było teraz. Zdarzało się, że przed koncertem, kiedy ja sprawdzałam fatalne przeważnie nagłośnienie

— Andrzej podchodził, odpychał mnie od mikrofonu mówiąc:

— *Teraz ja.*

I nie było w tym cienia żartu.

Na pierwszym koncercie, właśnie w Brisbane, wypadł cieniutko. Nie chciał przygotować swojego programu z moimi muzykami (pianista, gitarzysta) i przywiózł półplaybacki, które miały być odtwarzane z kasety. Magnetofon dowieziono w ostatniej chwili, i człowiek, który miał przyciskać guziki, zaczął wszystko plątać. Włączał bez przerwy inne podkłady. Publiczność zaczęła się denerwować. Skończyło się tym, że Andrzej odśpiewał wszystko z gitarą i tak już na szczęście zostało do końca. A kiedy widział na przykład, że mam duże brawa, wchodził na scenę i mówił:

— *No, dosyć, wystarczy.*

Były momenty, kiedy myślałam, że go zabiję. Innym sposobem na pognębienie mnie, były opowieści typu:

— *Tyle braw? Jak to, nie wiecie, że ona jest ulubioną artystką generała Jaruzelskiego?*

Było to szokujące, zwłaszcza dla Polonii. W końcu organizatorzy zwrócili mu uwagę i Andrzej się nieco uspokoił.

Mieliśmy na całej trasie duże powodzenie. Program się bardzo



Z Andrzejem Rosiewiczem na próbie w studio telewizji Monachium, 1977

podobał. Andrzej jest świetnym artystą, o dużym wdzięku estradowym i ogromnym talencie. Estrada jest jego życiem. Niestety, często to co robi na estradzie, przenosi w życie prywatne. W każdym mieście, po koncercie, byliśmy zapraszani na bankiety do zamożnych domów

polonijnych. Dziwiłam się widząc Andrzeja targającego wszędzie gitarę. Było to regułą. W pewnym momencie siadał, uciszał gości i śpiewał do białego rana. Przy tym wszystkich terroryzował. Nie można się było odezwać, ani nawet poruszyć. Dochodziło nawet do awantur. Krzyczał wtedy, że ludzie płacą za to, żeby go móc posłuchać, a on tu za darmo, więc ma być cisza, bo inaczej schowa gitarę i sobie pójdzie. Więc ludzie uszy po sobie i słuchali.

Ogromne odległości pokonywaliśmy samolotami. Raz tylko, z Canberry do Sydney, jechaliśmy wynajętym vanem. Całymi kilometrami, co ja mówię, setkami kilometrów nie spotkaliśmy żywego ducha, żadnych osad, domów. Tylko ogromne przestrzenie ogrodzone drutem — chyba do wypasu owiec, czy innych zwierząt i gdzieś tam leżące przy drodze zabite (przez samochody?) kangury. Ktoś nam opowiadał, że jacyś polscy urzędnicy będący w Australii chcieli koniecznie sfotografować się z tymi zabawnymi zwierzątkami. Kiedy w końcu zaczęli się ustawiać do zdjęcia — jeden z nich włożył kangurowi swoją marynarkę, a ten nagle jak się nie wyrwie i chodu. Podobno do tej pory biega z polskim paszportem po buszu.

Inna opowieść — przeczytana w tamtejszej prasie. Starsze małżeństwo wybrało się samochodem campingowym na długą wycieczkę po Australii. Mąż prowadził, żona spała rozebrana do rosołu w części mieszkalnej. W pewnym momencie obudziła się. Wyjrzała przez okienko. Kiedy zobaczyła męża siusiącego w krzakach, postanowiła zrobić to samo. Niestety, nieświadomy małżonek ruszył zanim wróciła. Oszalała z przerażenia goła staruszka desperacko wybiegła na szosę. Przypadek zrzucił, że przejeżdżał tamtędy (była to boczna, rzadko uczęszczana droga) młody motocyklista. Jakież było zdziwienie męża, kiedy zobaczył goniącą go dziwną parę, a już kompletnie osłupiał, kiedy rozpoznał w nagiej kobiecie swoją żonę.

Znam jeszcze jedną zabawną historię, która rzekomo przydarzyła się matce Ewy Sałackiej (aktorki). Pani ta znana jest ze swojego roztargnienia. Kiedyś wracała z mężem z wakacji i... zgubili przyczepę. Może nie tyle zgubili, ile odczepiła się od samochodu i zaczęła ich wyprzedzać. Zobaczyli nagle w bocznym lusterku jakiś nieoświetlony pojazd. Pani Sałacka powiedziała do męża:

— *Zobacz, jakiś kretyn wyprzedza nas bez świateł.*

Australia, Ameryka — żałuję, że nigdy nie miałam czasu, by dobrze poznać te fascynujące kontynenty. Zawsze tylko hotel — sala koncertowa — restauracja — autostrada — hotel i tak dalej. Byłam w tylu miejscach i tak mało widziałam. ,

Przed urodzeniem Jędrka zdążyłam jeszcze pojechać do Wilna i wystąpić na opolskim festiwalu. Moskiewska telewizja zaproponowała mi zrobienie dużego programu. Autor scenariusza, a jednocześnie reżyser znalazł powody mojego szczególnego sentymentu do tego miasta. Zgodziłam się. Był wyjątkowo zimny maj. Przez dwa tygodnie marżałam realizując piosenki na ulicach, śpiewając na stadionach, podtruwając się chemicznymi dymami.

Do wzięcia udziału w festiwalu opolskim namówił mnie Andrzej Strzelecki (dyrektor Teatru Rampa) po usłyszeniu „Polskiej Madonny”. Cenzura nie chciała początkowo o tym słyszeć. W końcu pojechałam. Sama tak wzruszałam się tą piosenką — tekstem i muzyką — że próbowałam ją za każdym razem ze ściśniętym gardłem. A byłam już prawie w siódmym miesiącu ciąży. Bałam się, że śpiewając wyjątkowo dla mnie wysokie partie — urodzę. Na stojąco, jak — podobno — Indianki. Po koncercie wróciłam z Andrzejem do Warszawy. Następnego dnia telefon:

— *Musisz przyjechać. „Madonna” dostała nagrodę dziennikarzy. Zaśpiewasz ją w koncercie finałowym.*

Znowu w samochód i znowu do Opol. Przy okazji okazało się, że minęło dwadzieścia lat od mojego debiutu na festiwalu studenckim w Krakowie. Były kwiaty od Andrzeja wniesione na scenę (oczywiście ogromny bukiet róż) i sto lat zaśpiewane przez publiczność. Omal się nie poryczałam. Kiedy byłam w garderobie usłyszałam rozmowę między Andrzejem i wieloletnim dyrektorem festiwalu Bartkiewiczem. Dyrektor:

— *Wie pan, zastanawialiśmy się komu dać w tym roku nagrodę Grand Prix za tak zwany całokształt. Nikt nam nie przychodził do głowy.*

Andrzej na to:

— *Szkoda, że nie pomyśleliście o Maryli, dwudziestolecie pracy, nie opuściła prawie żadnego festiwalu.*

— *No, nie, ona już chyba dostała wszystko, co można było dostać.*

Andrzej:

— *Chyba nie, nagrody otrzymywały piosenki w jej wykonaniu.*

Dyrektor:

— *Ejże, coś mi się wydaje, że ona dostała kiedyś Grand Prix.*

Andrzej:

— *Wystarczy sprawdzić. Jest tu chyba jakieś archiwum.*

Na to dyrektor:

— *Nie, nie, wszystko już dostała.*

Andrzej:

— *To co? Już nie musi tu przyjechać, pana zdaniem.*

Dyrektor:

— *No, właściwie chyba nie.*

Wtedy postanowiłam: w życiu tam nie pojadę. Przygotowywać się, stresować? Po co? Chyba to nikogo, poza mną, nie obchodzi. W tym roku zmieniła się dyrekcja. Dwadzieścia pięć lat za mną. Może pojadę. Zawsze lubiłam ten festiwal. Było to dla mnie wielkie święto, wielkie emocje. Raz w roku spotykał się w Opolu cały światek piosenkowski, snujący się zazwyczaj swoimi ścieżkami, zajęty przez resztę miesiący swoimi sprawami. Nie mogliśmy się nagadać. Poza tym wszystkim zależało, żeby wypaść jak najlepiej. Zlatywała się przecież cała prasa plus transmisje telewizyjne. Człowiek dawał znać o sobie, że żyje, istnieje, jest w dobrej formie. To było ważne. A teraz? Najważniejsza jest polityka, ekonomia, reszta zesła na bardzo daleki plan.

Zliżał się termin porodu. Jeszcze nagrałam płytę, jeszcze pojechałam do Pragi i zaśpiewałam dwie piosenki dla Supraphonu. Z taką siłą ryknęłam w studiu, aż się zatkał mikrofon. Czesi odpadli z wrazenia:

— *Ta to zpiva!*

Urodził się Jędrus. Wierna kopia ojca, tyle że model nieco ulepszoney. Najbardziej pogodne dziecko z całej trójki. Uśmiechające się od samego rana. Rozkosz. Myślę, że głównie dlatego, że ja byłam dużo spokojniejsza niż przy Jaśku czy Kasi. Nie byłam taka zielona, histeryczna, znałam się już na bólach, łzach, kupkach, papkach. Krótko mówiąc — świadome macierzyństwo dojrzałej kobiety. W dodatku kochanej i otoczonej męskim ramieniem. To było to. Przez całe życie instynktownie czułam,

że tak może i powinno być. W ciągu niespełna dziesięciu lat dorobiłam się sporej rodziny. Z niesfornej, beztroskiej panienki przeistoczyłam się w odpowiedzialną matkę i żonę. Nie przestając przy tym pracować, nagrywać, koncertować. Nie jest mi łatwo. Często czuję się zmęczona, ale również źle znoszę świadomość, że dzieciom dzieje się krzywda, że są przeze mnie zaniedbywane, że tęsknią. Bywa, że rezygnuję z ciekawych propozycji, wyjazdów, bankietów. Zrozumiałam znaczenie ważnego słowa: kompromis i równie mało efektywnego: rezygnacja. Dzieci, a właściwie fakt, że one istnieją, oduczają egoizmu. Ja, która lubię pospać sobie do południa, poczytać do rana, uwielbiamą nicnierobienie snucie się z kąta w kąt, nagle wpadłam w wir nieznanych mi obowiązków i zobowiązań. Najbardziej jestem wrażliwa na płacz dziecka. Nie mogę znieść świadomości, że takiej małej, bezbronnej istotce dzieje się krzywda, więc popełniam często tak zwane błędy pedagogiczne. Wystarczy jedna łza dziecięca, a godzę się na wszystko. Stąd na przykład wielogodzinne usypianie całej mojej trójki. Starsze w tej chwili już robią to same, chociaż bardzo lubią, kiedy się przy nich chociaż chwilę przy łóżku posiedzi. Jest to najlepszy czas na zwierzenia, pieszczoty. A przy malutkim po prostu trzeba się położyć. Trzeba go przy tym jedną ręką trzymać za łapki, a drugą za stopki. Wtedy zasypia. Jasiek, bardzo płacziwy i wiecznie skrzywiony niemowlak, był przeze mnie godzinami noszony na rękach i lulany. Mówi się, że są dwie szkoły — falenicka i otwocka. Według pierwszej — wrzeszczącego dzieciaka zostawia się samego w łóżeczku i zamyka drzwi. Podobno po trzech dniach skutkuje. Szkoła otwocka mówi o pięciu dniach. I dlatego nigdy nie lubiłam prawobrzeżnej Warszawy. Jasiek, który był zawsze dość ciężkim klockiem, po paru miesiącach wymyślił sobie, że lepiej mu się zasypia, kiedy (oczywiście na rękach) dodatkowo skubie moje włosy. Kiedy nastąpiła Krysia i po paru miesiącach stwierdziła podobne do moich ubytki na głowie — przygotowała następujący fortel. Wkładała do łóżka Jaśka wielkiego misia w czepku kąpielowym przypominającym perukę, żeby chłopczyk sobie mógł poskubać. W ten sposób uniknęliśmy wielogodzinnego często wiszenia z głową w dół nad moim synkiem.

Kiedy miał się urodzić Jędrus, Krysia zaczęła się buntować. Chciała

odejść. Zaczęły się błagania, prośby. Powtarza się to mniej więcej co pół roku i trwa już szósty rok. Krysia pracuje u nas, mieszka z nami prawie dwanaście lat. To dużo. Stała się członkiem rodziny, najważniejszą osobą, koło której chodzimy na palcach, której nie można urazić, bo potem przez długie tygodnie odczuwamy tego skutki. Dzieci są do niej bardzo przywiązane. Jędrus ją uwielbia. Ta dziewczyna poświęciła całe swoje młode lata dla nas, dla trójki moich dzieci, naturalnie więc, że chce się wyrwać, pożyć swoim życiem. Jest dorosła, chce wolności, bez troski, samodzielności. Nie wiem, jakie ma plany, co będzie robiła. Nie mówi. Zresztą zawsze była osobą zamkniętą. Uczciwą i odpowiedzialną. Wiedziałam, że mogę hasać po różnych Amerykach, Rosjach i spać spokojnie, bo dzieci będą zadbane, nakarmione, bezpieczne. Nie wiem, jak sobie zorganizujemy świat po odejściu Krysi. Wierzę, że wszystko się jakoś ułoży, bo jestem z natury optymistką i hołduję zasadzie chcieć to móc. Wierzę w siebie. Taka byłam od zawsze, od dziecka. Opowiadano mi, że kiedy miałam trzy lata, oglądałam w cyrku chodzącą po linie wysoko pod kopułą panienkę i nagle krzyknęłam:

— *I ja tak potrafię.*

26.

Było to w Zielonej Górze, dokąd trafiły wagony repatriacyjne z moimi rodzicami. Przyjechali z Wilna. Zresztą osobno. Najpierw ojciec z moim malutkim bratem i teściową. Matkę aresztowało NKWD razem z grupą bardzo młodych ludzi podejrzanych o przynależność do tajnej organizacji. Trzymano ich przez kilkanaście dni w budynku dawnego sądu przy ulicy Ofiarnej. Spali na gołej podłodze strzeżeni przez rosyjskiego żołnierza z karabinem gotowym do strzału. Torturowano ich, zmuszano do zeznań, grożono wywiezieniem na Syberię. Matka miała dziewiętnaście lat i była ze mną w ciąży. Niejaki major Kozłow „litując się” nad nią mówił, że w jednej letniej sukience na pewno zamarznie tam na śmierć. Po miesiącu wypuszczono kilka dziewczyn — w tym matkę, która zamieszkała u teściów. Nie miała

pojęcia co stało się z resztą rodziny. Wreszcie wyruszyli do Polski. Przez trzy tygodnie tłukli się wagonami towarowymi, zatrzymując się od czasu do czasu dla uzupełnienia zapasów wody i zrobienia zrzutki dla maszynisty. Po drodze przez przypadek dowiedzieli się, że ich najbliżsi udali się w kierunku Zielonej Góry. Teściowie wysiedli w Bydgoszczy. Matka dojechała do Świebodzina.

Tu następuję opowieść bardzo działająca mi na wyobraźnię. Miaszeczek zupełnie opustoszała. Wypalone domy. Na ulicach walające się stosy niemieckich książek, powyrzucane przez okna meble, fortepiany ze sterzącymi strunami. To wszystko było dziełem zwycięskiej Armii



Rodzice w Zielonej Górze

Czerwonej. Kiedy moja ciężarna mama snuła się między ruinami, nagle usłyszała w oddali stukot końskich kopyt. Zamarła ze strachu. Zza węgła wyłonił się jeździec, w którym natychmiast poznała dobrego znajomego z Wilna. Ten podał adres pobytu jej męża. Kiedy wreszcie dotarła do Zielonej Góry, rodzina nie wierzyła własnym oczom. Nie sądzili, że ją kiedykolwiek zobaczą.

Mieszkanie było ładne, aczkolwiek kompletnie rozszabrowane, bez wody i światła. W mieście po piwnicach ukrywała się resztką Niemców. Polaków było około tysiąca. Na noc trzeba było barykadować drzwi. Bano się napadów. Brakowało żywności. Nie było sklepów. Chleb

piekło się samemu, warzywa trzeba było zdobywać za miastem w opuszczonych poniemieckich ogródkach. Luksusem były na przykład jajka. Nikt nie miał pieniędzy, bo i skąd. Zbliżała się zima. Mój ojciec otworzył pierwszą w mieście księgarnię i wypożyczalnię książek przywiezionych z Wilna. Zajął się również organizowaniem gimnazjum i pracą społeczną na rzecz miasta. Był człowiekiem wykształconym. Miał skończone dwa fakultety na uniwersytecie wileńskim — prawo i przyrodę. Matka mojej matki zajęła się domem. Bardzo się przydała przywieziona maszyna do szycia — stary „Singer”. Babcia była autorką moich pierwszych kreacji. Urodziłam się o cały miesiąc za wcześnie, na skutek niefortunnego upadku matki na schodach w magazynie księgarni.

Następnego dnia po upadku, a była to niedziela, mama zjadła dużą porcję kołdunów litewskich. Wkrótce potem przyszła na świat mała, brzydka, pomarszczona dziewczynka o długich stopach. Nikt nie chciał nawet spojrzeć na brzydkie kaczątko. (Ciekawe, że moja córka Kasia urodziła się również po zjedzeniu przeze mnie kołdunów).

Przyszła wiosna. Wokół domu zakwitły magnolie. Rodzice postanowili mnie ochrzcić. Matką chrzestną została panna Sołowiejówna, polonistka, nauczycielka mojej matki z wileńskich nazaretanek. Nauczycielka pozostała niezamężną po stracie ukochanego legionisty w 1918 roku. Ojcem chrzestnym był z kolei matematyk — niejaki Albin Szymański. Niestety, nigdy ich nie poznałam. Wyjechalśmy z Zielonej Góry, kiedy miałam trzy lata.

Do chrztu wioził mnie bryczką zaprzęzoną w dwa ogniste siwki zaprzyjaźniony z rodziną porucznik Krwawicz. W czasie jazdy konie poniosły, wystraszone jedynym pojazdem motorowym w mieście. Cud sprawił, że prawie nikomu się nic nie stało. Ucierpiał tylko powożący porucznik.

Pamiętam niewiele z tego okresu w moim życiu. Mieszkanie wydawało mi się ogromne. Biały stół, rozsuwane drzwi, wiszący pod sufitem błękitny celuloidowy samolot. Przypominam też sobie czołg-pomnik stojący na jakimś placyku i codzienną modlitwę w przedszkolu. Kiedy opuszczaliśmy miasto z powodu aresztowania mego ojca, oglądałam z przerażeniem wypalone domy na mijanych dworcach. Pozwolono nam

zabrać ze sobą zaledwie kilka walizek. Matka z dwójką małych dzieci, pozostawiona bez środków do życia, dała ogłoszenie do gazety. Niewiele umiała. Była bardzo młoda. Chciała pracować w księgarni. Pierwsza pozytywna odpowiedź przyszła z Włocławka. Następnego dnia posypały się propozycje z całej Polski, ale my już siedzieliśmy w pociągu zmierzającym w kierunku Włocławka. Ojcu darowano winę dopiero w '56 roku, kiedy więźniów politycznych objęła amnestia. Pozbawiono go możliwości pracy w swoim zawodzie — był entomologiem. Poza tym mógł robić różne rzeczy, znał kilka języków: francuski, niemiecki, łacinę. Proponowano mu jedynie posadę stróża nocnego. W tej sytuacji zamieszkał ze swoimi rodzicami w Bydgoszczy i przez długie lata zajmował się robieniem pomocy naukowych dla szkół. Chodził po lasach, zbierał żuki, chrabąszcze, motyle, preparował to całe towarzystwo, po czym robił z tego gabloty. Rodzice do siebie już nie wrócili. Matka za dobrze pamiętała pierwsze lata małżeństwa, kiedy to ojciec uganiał się za młodszymi od niej siedemnastkami.

We Włocławku zamieszkaliśmy w jednym pokoju przy głównej ulicy 3 Maja. Zostaliśmy lokatorami zamożnej rodziny żydowskiej, państwa Gąsiorowskich (po kilku latach wyjechali do Palestyny). Mimo zakazów, ich córka Fredzia czasami się ze mną bawiła na wspólnym korytarzu. Właściwie wszystko było wspólne: łazienka, przedpokój, kuchnia. Kiedy się do niej wchodziło wieczorem i zapalało światło, spod nóg pierzchały roje karaluchów, a tylko o tej porze babcia mogła (otrzymała takie pozwolenie) przygotowywać posiłki. W pokoju stał duży, biały kaflowy piec, w którym trzeba było codziennie palić. Nam, dzieciom, nie wolno było się do niego zbliżać. Na podwórku urządzaliśmy dzikie gonitwy po kłatkach schodowych, po strychach.

W naszym budynku mieściła się cukiernia. Pamiętam pyszne ciastka po dwa złote. Bardzo lubiłam zwłaszcza markizy — białoróżowe półkule i bajaderki. Produkowano tam również lody. Pośrodku podwórka był wykopany wielki dół. Przez całe lato składowano tam olbrzymie sztaby lodu przekładane trocinami. Utworzona w ten sposób góra była również miejscem naszych harców. Mieliśmy parę ulubionych zabaw. Na pierwszym miejscu było drażnienie dozorczy. Wystarczyło podejść pod



Z matką we Włocławku (mam 4 lata)

jego okna, potem wejść na pompę obudowaną deskami i potupać. Potem w nogi. No, oczywiście było również gonienie za fajerką i czepianie się z tyłu dorożek. Moja była siedemnastka z gniadym konikiem. Trzeba było uważać, żeby nie oberwać batem po plecach i nie wpaść pod samochód. Pamiętam również, jak na sąsiedniej ulicy Piekarskiej kręcono film „Pamiętka z Celulozy”. Była to dla dzieci duża frajda.

Moja matka była osobą bardzo zapracowaną. Poza etatem dekoratora w miejscowej PSS udzielała się w świetlicowym chórze, a potem do nocy widziałam ją pochyloną nad stołem — malowała ręcznie świąteczne kartki — choinki na Boże Narodzenie i zajęczki, jajka na Wielkanoc. Wiecznie też jeździła na jakieś kursy do Nysy, do Łądko-Zdroju. Była dwudziestokilkuletnią, ładną kobietą. Chyba lubiła być elegancka, bo pamiętam jej czerwone paznokcie i pomalowane usta. Zdarzało się, że godzinami przesiadywałam w jej pracowniach dekoratorskich przyglądając się, jak zbija listewki, maluje plansze, portrety Lenina, wycina orły z białego kartonu. Były to przeważnie straszne nory w ponurych podwórkach. Krążyła tam nawet opowieść o pewnej latrynie, z której wybiegł kiedyś przerażony mężczyzna z uczepionym do jego „interesu” szczurem.

W peesowskiej świetlicy przy ulicy Cyganki przysłuchiwałam się



Przedstawienie „Kasieńska — Kaprysienka”: ja w środku w roli pafia

często próbom chóru. Matka śpiewała solówki i drugie głosy. Najbardziej podobała mi się rosyjska piosenka „Klon zielony” i jeszcze coś takiego o chmurkach płochych i że nie we mnie ktoś się zakochał. Sama wystąpiłam na akademii pierwszomajowej śpiewając „Malagenię”, ku oburzeniu dorosłej widowni. Mogłam mieć około dziesięciu lat. Byłam również w dziecięcym teatryku prowadzonym przez panią Kotowską. Dostawałam oczywiście główne role. Poza tym tańczyłam. Moja babcia, której mąż i brat byli charakteryzatorami w Wilnie, zajmowała się makijażem i perukami, a matka robiła dekoracje do naszych przedstawień. Grałam przeważnie role męskie. „Pastreczka i kominiarczyk”: ja — kominiarczyk, moja koleżanka, słodka blondyneczka — pastreczka; „Kasieńska-kaprysienka”: ja — paź, ona — Kasieńska. Spotkałam ją w latach osiemdziesiątych w czasie festiwalu piosenki radzieckiej w Zielonej Górze; była wtedy żoną tamtejszego pierwszego sekretarza partii.

W domu od najmłodszych lat lubiłam się popisywać. Stawałam na

krześle i wygłaszałam długie, płomienne monologi. Zaczęto mnie nawet podejrzewać o przyszłość prawnika. Często prosiłam babcię o drewniane góralskie pudełko pełne kolorowych guzików, odpruwanych od ubrań przysyłanych nam przez wujka z Chicago. Potrafiłam się nimi bawić — za biurkiem — godzinami: prowadząc wojny i organizując różne akcje. Mały guzik na dużym, to był na przykład koń z jeźdźcem. Lalki? Nie za bardzo. Wolałam rysować, kleić i uganiać się po podwórku. Przez dwa lata chodziłam również na zajęcia baletowe. W krótkim czasie stałam się uczennicą numer jeden. Błyskawicznie uczyłam się trudnych elementów i zostałam przeniesiona do najstarszej grupy. Przy tym



Komunia — ta brunetka w amerykańskiej sukience to ja

wyraźnie gardziłam mniej zdolnymi koleżankami, a jedną taką, wyjątkową niezdarę tłukłam skakanką ile wlezie. Chyba to nie była moja najlepsza cecha. W tym czasie rodzice się rozwiedli. Mój starszy o dwa lata brat, Jurek, przeprowadził się do ojca do Bydgoszczy, a wkrótce znalazł się w technikum rolniczym z internatem. Z rozmów między babcią i matką wynikało, że z jego nauką było niewesoło, mimo rozlicznych korepetycji. Nie mogę powiedzieć, że cierpiałam z powodu nieobecności brata. Bez przerwy obrywałam od niego po głowie, poza tym i tak nie chciał mnie zabierać na ryby nad rzekę Zgłowiączkę, płynącą przez włocławski park.

Kiedy byłam w czwartej klasie zmieniliśmy mieszkanie. Robiliśmy to jeszcze kilka razy. Do mnie zawsze należało owijanie w gazety szkła i talerzy. Ładowaliśmy nasz skromny dobytek na wóz na gumowych kołach, zaprzężony w pociągowego perszerona, i jechaliśmy parę ulic dalej. W związku z tym trzykrotnie zmieniłam szkoły. Uczyłam się na piątkach tylko do trzeciej klasy. W piątej już przestałam rozumieć cokolwiek z matematyki. Natomiast zainteresowałam się grą na skrzypcach i sportem. Zdałam egzamin do ogniska muzycznego. Zajęcia odbywały się popołudniami, po szkole, często do ósmej, dziewiątej. Do domu zwykle odprowadzali mnie podkochujący się we mnie koledzy.

W siódmej klasie zaczęłam trenować lekkoatletykę. Najgorsze wyniki miałam w rzucie piłeczką palantową. Wzwyż skakałam 1,15 m, sześćdziesiątkę przebiegałam w osiem sekund z groszami. Z trudem zdałam



Mam 17 lat



Jako dwunastolatka

do liceum. Wybrałam Liceum Ziemi Kujawskiej — szkołę z tradycjami, ale głównie z tego powodu, że była to kiedyś szkoła męska. Wprawdzie zaczęli w ostatnich latach przyjmować dziewczyny, ale ciągle były w mniejszości. Zostałam od razu otoczona rojem adoratorów. Podobał mi się głównie chłopcy z ostatnich klas. Pisywaliśmy do siebie długie listy, ale najbardziej intrygowali mnie dwaj uczniowie dziesiątej klasy: Wojtek — syn dyrektora banku i Zbyszek — synek wziętego ginekologa. Bananowa młodzież. Byli dobrze znani ze swego łobuzerstwa. Wojtek mieszkał blisko szkoły i miał motocykl. Zrywaliśmy się często do niego na węgry. Miał mnóstwo świetnych płyt przywożonych przez brata-studenta z Warszawy. Zbyszek natomiast szpanował skodą ojca. Zapisaliśmy się do szkolnego kabaretu. Kolega nauczył mnie grać na gitarze, no, może przesadziłam, że grać. Pokazał mi kilka chwytów. Występowaliśmy na wszystkich uroczystościach szkolnych. Mój repertuar nie był zbyt bogaty. Śpiewałam „Marinę” w tonacji D-dur, przygrywając sobie na gitarze, i „Dianę”, belkocząc w bliżej mi nie znanym języku. Tylko refren się zgadzał: *Oh, please, stay by me, Diana...* Kiedy w czasie jakiejś akademii wyszłam na scenę w czerwonej sukience, opasce na włosach i wykonałam brawurowo *...Znacie knajpę „Pod aniołem”, podia knajpa, lecz po drodze...*, czyli „Criminal tango”, dyrektor wpadł w szal i występy na jakiś czas się skończyły.

Całymi wieczorami przesiadywałam z uchem przy starej „Tesli”, która miała wetkniętą spinkę do włosów zamiast anteny. Słuchałam Radia Luksemburg. Presley, Cliff Richard, Little Eva, Neil Sedaka, Wanda Jackson — to byli moi pierwsi idole. Zaczęłam sama pisać pierwsze nieudaczone teksty. Wyrывałam się, kiedy mogłam, do Klubu Wioślarsza, żeby sobie pośpiewać z prawdziwym zespołem muzycznym. Grali wszystko, od standardów dixielandowych po aktualne przeboje. Nie było to dobrze widziane w szkole. Jednocześnie dużo trenowałam, właściwie codziennie, w Międzyszkolnym Klubie Sportowym na stadionie Kujawiaka, pod okiem świetnego trenera, Wiesława Augsburga. Wtedy zaczęły być modne plotki.

Był początek lat sześćdziesiątych. Po miesiącu intensywnych treningów wygrałam mistrzostwa Polski Północnej w Olsztynie wynikiem 12,9 sek.

Dawało mi to trzecie miejsce w Polsce w kategorii młodziczek. Niestety, dwójce z matematyki prawie wyeliminowały mnie z klubu. Szkoła wydała mi zakaz trenowania. Dzięki korepetycjom udało się mnie jednak przepchnąć do dziesiątej klasy.

Na wszystkie obozy sportowe jeździłam z gitarą, aż do momentu, kiedy koleżanka mi na niej usiadła. Moim ulubionym utworem była wtedy „Malowana lala” Karin Stanek. Potem byli Beatlesi, Stonesi i „Dom wschodzącego słońca” grany obowiązkowo w krzakach, na ławce, na rozstrojonej gitarze.

Zbliżała się matura. Zaczęłam wertować poradnik dla kandydatów na studia. Wchodziły w grę tylko te kierunki, na których nie było przedmiotów ścisłych. Bardzo chciałam zdawać do Akademii Sztuk Pięknych. Nawet zapisałam się do ogniska plastycznego i przez rok pilnie malowałam. Dzięki pomocy mojej przyjaciółki Heńki Górskiej, zdałam na czwórkę maturalny egzamin z matematyki. Przerobiła ze mną cały materiał. Nagle wszystko zrozumiałam, a trygonometrię nawet polubiłam. Reszta poszła bardzo dobrze. Niestety, nie dopuszczono mnie nawet do egzaminu wstępnego na akademię, z powodu niskiego poziomu wysłanych wcześniej prac. Nie spodobali im się moi Indianie (główny temat), nie poznali się na moim „talencie”. Widocznie tak musiało być. Matka razem z mężem inżynierem postanowili, że powinnam pójść do pracy. Uważam do dziś tę decyzję za okropny błąd. Zamiast przygotowywać mnie do egzaminów w następnym roku, załatwili mi pracę w inwentaryzacji. Wstawałam bladym świtem, gnałam do wytwórni wód gazowanych i godzinami liczyłam puste skrzynki ustawione na placu albo podliczałam niekończące się słupki w sklepie z guzikami. Jedyna wyniesiona z tego korzyść, nikomu zresztą niepotrzebna, jest taka, że szybko dodają. Wykonywałam te bezsensowne zajęcia przez dwa lata. W założeniu miało mnie to nauczyć szacunku dla pracy i pieniędzy. Guzik prawda. Swoją pensję, całe siedemset złotych, wydawałam od razu pierwszego dnia. I to mi zostało do dzisiaj.

W czasie kiedy robiłam maturę, tygodnik „Dookoła Świata”, big-bitowy zespół „Czerwono-Czarni” i Jacek Nieźychowski, dyrektor estrady szczecińskiej, ogłosili wielki ogólnopolski konkurs dla piosen-



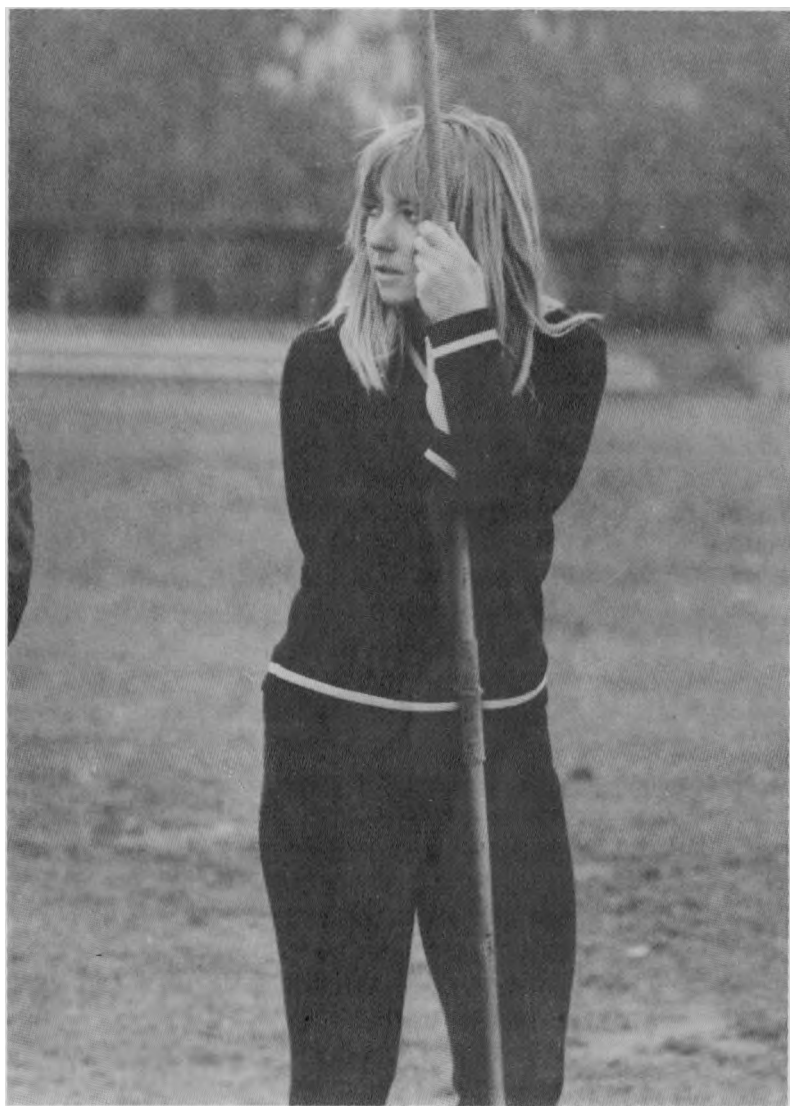
Bal maturalny, sukienka z paczki amerykańskiej, głowa pierwszy raz od fryzjera

karzy-ainatorów. Jeździli po wszystkich miastach i miasteczkach, i przesłuchiwali tysiące młodych talentów. Kiedy przyjechali do Włocławka, oczywiście zgłosiłam się za kulisy. Po paru tygodniach dostałam list od organizatorów, z którego wynikało, że jestem dopuszczona do finałów. Skakałam z radości pod sufit. Pech chciał, że dokładnie w tym terminie miały się odbyć lekkoatletyczne mistrzostwa Polski, na których

miałam wystartować w kilku konkurencjach, /dobywając potrzebne klubowi punkty. Po długich wahaniach pojechałam na zawody. Było mi jednak bardzo smutno. Czułam, że to właśnie śpiewanie jest moją największą pasją i kiedy w następnym roku konkurs powtórzono, tym razem dojechałam aż do Szczecina, gdzie odbywały się finałowe koncerty. Babcia uszyła mi na tę okoliczność piękny kostiumik z wąską spódnicą z czarnego rypsu w białe kropki — z materiału z amerykańskiej paczki. Niestety, nie weszłam do „złotej dziesiątki”, w której znaleźli się między innymi: Wojtek Korda, Ada Rusowicz, Wojtek Gąsowski, Nalepa z Mirą Kubasińską. Wszyscy oni zrobili wielkie kariery, podobnie jak gwiazdy z poprzedniego roku: Czesław Wydrycki (Niemen), Helena Majdaniec czy Karin Stanek. W ten sposób mój debiut mocno się opóźnił i przypadł dopiero na koniec lat sześćdziesiątych, ale za to nie zaliczam się do grupy „dinozaurów” polskiej muzyki rozrywkowej. Mówiąc szczerze, studia traktowałam jako możliwość załapania się w klubach, nawiązania właściwych kontaktów. Chciałam również



Trening na AWF



Amazonka z oszczepem



AWF, czasy studenckie

wreszcie wyrwać się z ciasnego już dla mnie Włocławka, skończyć z bezsensowną pracą. Byłam prawie pewna, że Akademia Wychowania Fizycznego leży w zasięgu moich możliwości. Szkoda mi było uciekających lat. Miałam dziewiętnastkę na karku.

Pożegnałam się ze sztukami pięknymi. Pojechałam do Warszawy na egzaminy. Przy okazji z ciekawości złożyłam papiery na weterynarię, ze świadomością swoich marnych wiadomości z chemii. Oczywiście to mnie położyło. Natomiast na AWF dostałam się z łatwością; biologia, polski, język — w tym byłam dobra, no, a sprawnościowo — to wiadomo.

I pierwszy obóz żeglarski w Giżycku, i wieczorami wielogodzinne śpiewanie z gitarą przez tubę do wzywania kajaków do brzegu... Ta tuba, to takie niewielkie urządzenie z przyciskiem trzymane w czasie tych „koncertów” przez instruktora od łódek i łyżew pana Starostę.

Wszystkie panienki, w tej liczbie i ja, kochały się wtedy w pięknym trenerze narciarsko-żeglarskim, panu Kazku. Pan Kazek z koleżką po fachu zabrał mnie nawet na parodniowy rejs łódką po jeziorze. Kapitan mojej jednostki był fascynujący, szkoda tylko, że bardziej podobała mu się moja koleżanka. Na środku jeziora Sniardwy dopadały nas fale wielkości masztu, słowo daję.

Do grzechu namówił mnie po roku na obozie zimowym, w Zieleńcu w Górach Stołowych. Studentki mieszkały wtedy w starym poniemieckim schronisku, w warunkach dalekich od luksusu. Pamiętam, że woda zamarzała w mydelniczkach, a rano na poduszkach leżał śnieg. Za to w nocy bywało romantycznie. Na randki wychodziło się przez okienko w dachu. Niestety, pan Kazek wkrótce zawiesił swoje uwodzicielskie oko na długonogiej Miśce, obecnej żonie Władka Komara, i później ona przez okienko na dach, hyc na ziemię i skrzyp, skrzyp po śniegu...

Na AWF w klubie „Relax” działał wtedy zespół bigbitowy „Szejtany”. Szukali solistki. Ktoś im powiedział, że właśnie pojawiła się na pierwszym roku śpiewająca panienska. Zrobili mi przesłuchanie i zaczęły się wspólne grania. Dostawałam na początku marnie grosze — kilkadziesiąt złotych, dojechałam do dziewięćdziesięciu, ale i tak wrzucaliśmy swoje honoraria

do kapelusza, chcąc kupić sobie porządną aparaturę nagłośnieniową i wzmacniacze, czyli jak byśmy powiedzieli dzisiaj — paczki i piece. Dorabiałam myciem okien razem ze swoim chłopakiem, gitarzystą basowym. On rozkręcał, ja robiłam resztę. Dostawaliśmy dwadzieścia złotych od okna.

Na kolejnym przeglądzie zespołów gitarowych przyznali nam I kategorię i w ten sposób mogliśmy otrzymywać sto dwadzieścia złotych na granie. Te pieniądze plus paczki żywnościowe z domu pozwoliły mi przetrwać.

W „Relaxie” działał również kabaret „Gag” prowadzony przez kompozytora Jerzego Andrzeja Marka i Adama Kreczmara, młodego poetę. Ni z tego, ni z owego poprosili mnie, żebym zaśpiewała ich piosenkę na giełdzie piosenki studenckiej w Częstochowie, w zastępstwie za dziewczynę, która właśnie złamała nogę na zajęciach z gimnastyki. Pojechałam i wywalczyłam pierwszą nagrodę. Kiedy koledzy z zespołu zgłosili mnie do konkursu piosenkarzy studenckich w Krakowie (listopad '67) miałam już właściwy repertuar. Wiedziałam, że ten festiwal, to nie klub, że wypada ubrać się na czarno, jak Demarczyk i robić zupełnie inne miny. Koleżanka w akademiku uszyła mi kreację ze starego amerykańskiego ciucha i pojechałam. Eliminacje odbywały się w kinie „Uciecha”, a finały nie byle gdzie, bo w filharmonii. Zaśpiewałam z akompaniamentem pianistki Aliny Piechowskiej dwie piosenki: „Jak cię, miły, zatrzymać” i „Pytania” Jonasza Kofy, też z muzyką Marka. Pierwszy raz w historii tych festiwali wygrała warszawianka, czyli ja. Pokonałam samego Marka Grechutę, przedstawiciela Krakowa, pięknie śpiewającego nie mniej piękne piosenki: „Tango Anawa” i „Serce”, przy ogłuszającym dopingu widowni. To znaczy ten doping był dla niego, chociaż i ja nie mogłam narzekać. W jury same wielkie nazwiska: Osiecka, Młynarski, profesor Rudzki, Jan Borkowki z radia, który został później na całe lata moim artystycznym doradcą.

Festiwal był transmitowany po raz pierwszy przez telewizję. Zaczęłam być rozpoznawana na ulicy. Cała uczelnia cieszyła się z mojego sukcesu. Po przyjeździe zastałam bramę wjazdową udekorowaną bogato papierem toaletowym. Sypały się gratulacje. Przyszły pierwsze propozycje z Radio-



Kolejny wymyślony przeze mnie strój

wego Studia Piosenki, z którym współpracowali najlepsi. Prowadzili je kolejno: Agnieszka Osiecka i Wojtek Młynarski. Nie mogłam lepiej trafić. Zaczęły się pierwsze nagrania: ze Skaldami, Bernardem Kawką

(Novi Singers), ale to wszystko jeszcze nie było to. To nie była moja muzyka, nie miałam, wpływu na brzmienie, na aranżację.

I znów przypadek. Ówczesna gwiazda, Krystyna Konarska, wyjeżdża nagle do Paryża — w związku chyba z tym przeklętym sześćdziesiątym ósmym. Podkłady nagrane. Szukają piosenkarki. Telefon na AWF. Ja na zajęciach z gimnastyki. W bardzo niewygodnej pozycji — zaliczałam akurat przewrót w tył do rozkroku — przyjmuję z radością propozycję. Pożyczam sweter, biorę narty, plecak i jadę do Zakopanego; a tam film „Kulig” i wielki Kobiela, który ciągle mówił, że mam cielece spojrzenie.



Na terenie AWF po wygraniu konkursu studenckiego w Krakowie

Nit to, śpiewam nieudolnie (nie moje tonacje) piosenki: „Jeszcze zima” i „Zakopane”. O dziwo, stają się przebojami. Uczestniczę we wspaniałej przygodzie. Prawdziwy plan filmowy: światła, kable, kaskaderzy, adoratorzy, operatorzy.

Na bankiecie u Witka Dudziaka (sprinter-playboya) spotkałam mistrza narciarskiego, Andrzeja Bachledę. Ogromnie mi imponował swoimi wynikami. O świcie zabraliśmy sprzęt i na Kasprowy. Ja

w przyklejonych sztucznych rzęsach (w końcu jestem po całodziennym dniu zdjęciowym i bankiecie) i w pełnym makijażu dzielnie zjeżdżam z Andrzejem w dół. Przez długi czas potem dostawałam od Bachledy kolorowe widokówki z całego świata, a koleżanki w akademiku zieleniały z zazdrości.

Latem władze uczelni fundnęły wszystkim studentom udzielającym się kulturalnie wyjazd na międzynarodowy obóz młodzieżowy do Bułgarii. Dotarliśmy tam po wielogodzinnej podróży pociągiem przez Lwów i Bukareszt. Spaliśmy w kilkudziesięcioosobowych namiotach wojskowych. Opiekowali się nami państwo Krawczykowie — filozofowie, pracownicy naukowci akademii, fantastyczni ludzie, mili, mądrzy, pełni poczucia humoru. Dzięki nim prowadziliśmy się dość swobodnie, spaliśmy do południa, urządzaliśmy nocne wycieczki do pobliskiego Nesebyru. Jakże inne życie wiedli Niemcy z sąsiednich namiotów: ostry reżim, wszystko na komendę, gimnastyka o piątej rano. W nie lepszej sytuacji byli Bułgarzy, a zwłaszcza Bułgarki. One to właśnie świdrami ryły w ziemi i łopatami kopały nikomu niepotrzebne rowy. I właśnie na tym obozie zaczęłam grać z kolegami w innym składzie: trzy gitary akustyczne. Był to początek istnienia zespołu „Maryla Rodowicz i jej gitarzyści”.

Jesienią '69 pojechaliśmy na festiwal piosenki politycznej do Soczi. Zaśpiewałam tam pacyfistyczny tekst Agnieszki Osieckiej „Żyj, mój świecie”. Zacytuję może fragment swojego listu do matki z festiwalowymi wrażeniami:

...w końcu w konkursie na piosenkę polityczną „Żyj, mój świecie” zajęła V miejsce, oczywiście niesprawiedliwie. Wszyscy się zachwycali, miałam parę bisów. Wygrała piosenka o sztandarze socjalizmu, patetyczna — oczywiście tutejsza. Drugie miejsce — piosenka bułgarska o Wietnamczyku, któremu mina urwała trzy palce (bardzo dosłowny tekst i aranż — tanie chwytły), trzecie miejsce — włoska piosenka o młodych komunistach, czwarte — węgierska o studencie, który w studenckim obozie pracy będzie cały dzień przrzucał łopataą ziemię bez jedzenia i odpoczynku. To nie był dla nas festiwal. W ogóle w naszym przypadku na festiwalu się nie powinno jeździć, najwyżej poza konkursem, żeby się pokazać. Konkursy są dla zupełnie początkujących piosenkarzy, którzy nie mają nic do stracenia...



Maryla Rodowicz i jej gitarzyści 1969



Jedno z moich pierwszych zdjęć reklamowych

Ciekawe jest zwłaszcza ostatnie zdanie o konkursach. Znaczący, że uważałam się już za piosenkarkę z dorobkiem. Byłam na podobnej imprezie w Berlinie wschodnim w klubie „Oktober”. Po wykonaniu przeze mnie piosenek Dylana i Pet Sigerę zostałam po prostu z festiwalu wyrzucona i publicznie skrytykowana na specjalnie zwołanym zebraniu. Komunizm w Polsce miał jednak, przynajmniej wówczas, nieco łagodniejsze oblicze niż w innych „demoludach”.

Do Opoli pierwszy raz pojechałam w '68 roku. Wystąpiłam w popularnym koncercie dla debiutantów z piosenką Adama Sławińskiego i Agnieszki Osieckiej — o jakichś wioślach zielonych, o dziewczynach — taki miły walczyk o niczym. Przepadłam z kretesem. Za to już w następnym roku — ho, ho, ho. Na początku nic nie zapowiadało sukcesu. Przydzielona mi przez komisję festiwalową piosenka „Mówiły mu”, wydawała mi się obrzydliwa. Też walc, wprawdzie melodyjny, ale za to z tradycyjną harmonią, tekst nadający się raczej dla Steni Kozłowskiej. Ja tu zafascynowana Dylanem, amerykańskim folkie, a oni mi takie gnioty wciskają. Okropnie się buntowałam. Witold Filier, działacz, który się wtedy do mnie umizgiwał, mówił:

— *Bierz to, to będzie przebój, a ty potrzebujesz sukcesu.*

Zacząłam nad tym pracować ze swoimi ludźmi. Obrabialiśmy piosenkę na wiele sposobów i w końcu wyszło nam całkiem żwawe country. Zaśpiewałam toto w kabaretowym koncercie reżyserowanym przez Olę Lipińską. Poza moimi gitarzystami podgrywali mi jeszcze — ze świetnie improwizującym skrzyptkiem, Kowalskim — muzycy z zespołu Hagaw. Wysłałam boso, w spódnicy pozszywanej z kawałków, obwieszona łańcuchami, w hippisowskiej opasce na włosach i odniosłam olbrzymi sukces. Bisom nie było końca. Wychodziłam na scenę kilkanaście razy. Piosenka dostała pierwszą nagrodę. Byłam dumna i blada.

W następnym roku sytuacja się powtórzyła. Ten sam kompozytor, Stefan Rembowski, i znowu utwór obcy mi stylistycznie. Pomyślałam sobie, jeżeli odniosę sukces, zdobędę popularność, pozycję, to wtedy ja będę dyktować warunki, decydować o repertuarze. Niech wam będzie. Zaśpiewam.

I znowu był wielki hit. Podobno utwór ten przyniósł duże pieniądze



Opole 1969 — „Mówiły mu”

autorom. Był bardzo popularny w krajach socjalistycznych. Na liście Zaiksu, wśród utworów, które przyniosły największe dochody przed i po wojnie jest na trzecim miejscu. Na pierwszym „Tango Milonga”, na drugim „Pożegnania”, a na trzecim moje „Wozy kolorowe”. Co ciekawe, autorzy piosenki, Rembowski i Ficowski nigdy nawet nie zadzwonili.

Zaczęły się trasy koncertowe. Pierwsze pieniądze. Honorarium w granicach od dwustu do czterystu złotych. Wynajęłam mieszkanie i wyniosłam się z akademika przy Marymonckiej. Jeździłam wtedy dużo z czeską grupą rockową Rebels. Grali ostrą muzykę z repertuaru modnej wtedy kapeli Cream. Na gitarze basowej grał Jiří Korn, tak — ten sam Korn, a menażerem był wysoki, dobrze ubrany, pachnący dobrymi kosmetykami — František. Byłam pod wrażeniem. Jakże był inny od znanych mi ludzi z mojego otoczenia. Umyty, pałacy „Dunhille” (ja — najwyżej zgrzebne „Sporty”), do tego jeździł srebrną simcą chrysler. Wykorzystywał moje zaangażowanie i namawiał do coraz większej liczby koncertów z jego grupą. Czesi, trzeba wiedzieć, mieli zawsze

transfer dolarowy, to znaczy, że pieniądze zarobione za granicą, w demouladach, mogli wpłacać do banku i u siebie odbierać w bonach Tuzexu (odpowiednik naszego Pewexu). Franek w drodze rewanżu zaprosił mnie do udziału w wielkim koncercie rockowym do Pragi — nie licząc w zasadzie na mój sukces. Wielka hala, podobna do naszej Gwardii, tłum ludzi, przede mną dużo odjazdowej muzyki i w końcu ja z gitarą, zagrałam swoje ballady. Sala oszalała. Pokonałam resztę. Franio i jego koledzy nie mogli się nadziwić. Zaczęła się moja kariera w Czechosłowacji, starannie reżyserowana przez narzeczonego.

Jednocześnie przyszła ciekawa propozycja z Anglii. Kiedy śpiewałam „Mówiły mu” na sopockim festiwalu w '69 roku zainteresował się mną angielski producent płytowy Robert Kingston. zaproponował nagranie tego utworu i piosenki „Zakopane” w Londynie, po angielsku. Traf chciał, że właśnie wybierałam się tam na wycieczkę studencką. Była to nagroda za wygranie festiwalu w Krakowie. Podłączyli mnie do



Z Františkiem w Opolu

chóru Uniwersytetu Poznańskiego jadącego na festiwal do Szkocji. Pokręciliśmy się trochę po Wyspach Brytyjskich, odwiedziliśmy Walię i po drodze obóz polskich kombatantów wojennych. Powitały nas tam córki Piłsudskiego i poprosiły o odśpiewanie paru piosenek pod jego portretem. Stamtąd do Londynu i znów inne wrażenia. Wywiady do poważnych gazet, zdjęcia, no i nagrania w prawdziwym zachodnim studiu. Potem parę koncertów na FAMIE w Świnoujściu i znowu do Pragi. Kingston zaczął ostrą promocję. Wykupił Radio Luksemburg na sześć tygodni. Wielu znajomych donosiło mi, że numer chodzi na antenie jak szalony. Ktoś opowiadał, że w Londynie wiszą moje zdjęcia wielkości domów, reklamujące koncert, który miałam zagrać razem z Beach Boysami. Franio zaczął się poważnie niepokoić, że pojedę i przypadnę. Pewnie tak by się stało. Zaczął mi robić jakieś wymówki, robić awantury. W końcu postawił sprawę jasno: albo on, albo Anglia. Byłam wściekła. W końcu dzień przed wyjazdem zadzwoniłam do Londynu i nakłamałam, że matka chora i spytałam naiwnie, czy nie można by tego wszystkiego przesunąć o dwa tygodnie. Kingston wpadł w szał. Natychmiast zadzwonił do Pagartu i oświadczył, że ma tego dosyć, że zrywa kontrakt i zagroził ogromnymi karami w ramach odszkodowania. Zostałam wezwana do Pagartu. Było mi strasznie wstyd. W Anglii byłam spalona. Za to zaczęłam triumfalny pochód przez sale koncertowe Czechosłowacji.

Mój František okazał się bardzo sprawnym menażerem. Potrafił dbać o publicity, jak nikt przedtem ani potem w moim życiu. Nie było tygodnia bez wzmianki o mnie w prasie, ukazało się mnóstwo okładek z moją podobizną. Wzięłam udział w wielu programach telewizyjnych. Zrealizowałam dwa spore filmiki muzyczne. To wszystko zaczęło przynosić efekty. Na koncerty waliły tłumy. Z łatwością kilkakrotnie zapełniałam reprezentacyjną salę „Lucerny” w Pradze. Nie znam drugiego takiego miejsca: w samym centrum, schowana dwa piętra pod ziemią, pełna secesyjnych złoceń, balkoników. To wszystko składało się na niepowtarzalną atmosferę. Plus oczywiście publiczność. Ciekawostka. Wolno tam palić, więc w ciągu paru minut wszystko było zasnutę dymem i brakowało powietrza. Przed wyjściem na scenę drżałam

zawsze, jak koń przed Wielką Pardubicką. Czekałam tylko na hasło Maryla Rodowicz, żeby wyskoczyć do mikrofonu i zmierzyć się z niewiadomym.

Życie mnie nauczyło, że w moim zawodzie nie ma pewnych sytuacji. Estrada była dla mnie często miejscem walki. Zdarzały mi się różne koncerty. Czasami publiczność była od razu na tak, z góry mnie kochała i wtedy było stosunkowo łatwo. Taka sytuacja uskrzydlała, pozwalała na większą swobodę, improwizację. Ale bywało też inaczej, i to wcale nierzadko. Chłodnawe powitanie powodowało, że czułam się spięta. Wiedziałam natomiast, że nie mogę nieufnością odpowiadać na nieufność. Walczyłam, wspinałam się na wyżyny, zdobywałam nieprzyjazną „ziemię” centymetr po centymetrze. Przeważnie udawało mi się wychodzić zwycięsko z tych bojów, a nawet doprowadzić publiczność do euforii. Bywałam potem tak zmęczona, że nie mogłam ruszyć ręką ani nogą. Zdarzało się, że stałam za kulisami, słuchałam podniecających owacji i myślałam: a nie, a ja do was teraz nie wyjdę, będzie kara za waszą nieufność na początku. Ale trwało to tylko sekundy. Wychodziłam zza kulis wcześniej niż trzeba. Wystarczyło parę kłapnięć, a już się człowiek pchał z szerokim uśmiechem na scenę. I schylony w ukłonie wsłuchiwał się w natężenie braw. Czy już słabną, czy będzie bis? Jeżeli ktoś wam powie, że jest inaczej — nie wiercie. Akceptacja publiczności — jedynie to jest potrzebne wykonawcy.

W Pradze tak na dobrą sprawę nie mieliśmy gdzie mieszkać. Przez jakiś czas ojciec Franka, który był stróżem w dzielnicowym domu kultury, pozwalał nam spędzać noce na korytarzu. Sypialiśmy na wąskiej ławce leżąc wyłącznie na boku. Nie można było nawet umyć się porządnie, bo mieliśmy do dyspozycji tylko umywalkę z zimną wodą. Poza tym wczesnym rankiem budziła nas sprzątaczką. Więc jeździliśmy w trasy. Tam przynajmniej mieliśmy zagwarantowany hotel. W końcu Franek kupił działkę i zaczął budować dom. Wszystkie pieniądze, jakie wspólnie zarabialiśmy, szły na materiały budowlane.

Pokochołam Pragę, a Czechosłowację zaczęłam nazywać drugą ojczyzną. Nauczyłam się języka i prowadziłam konferansjerkę na swoich koncertach po czesku, a że mówiłam slangiem, wywoływało to wśród



Nad Vltavą, Praha 1971

publiczności często salwy śmiechu. Zostałam właścicielką ślicznego, małego bokserka, który przysparzał mi mnóstwo kłopotów. Ciągałam go oczywiście ze sobą wszędzie — po hotelach, garderobach, woziłam samolotami. Piesek gryzł co popadło — moje buty, nogi od stołów. W Hotelu Bristol w Warszawie (nie miałam wtedy mieszkania) zapłaciłam spore odszkodowanie. Doczekałam się nawet procesu sądowego za zniszczenie spowodowane przez psa i znalazłam się na bruku. Kiedyś, grając koncert, przywiązałam szczeniaka w garderobie do kaloryfera. Zaczęłam śpiewać właśnie jakąś bardzo nastrojową piosenkę i nie bardzo wiedziałam, co spowodowało gwałtowną wesołość zasłuchanej publiczności. Obejrzałam się. Za mną siedział zadowolony bokser z uwiązany do smyczy kaloryferem. W końcu ktoś ukraść mojego kochanego psiaka, kiedy wyjechałam na festiwal do Austrii.

27.

W siedemdziesiątym roku odbyłam swoją podróż na Kubę. Na międzynarodowy festiwal do Varadero. Był to wielki spęd wykonawców z całego świata, trwający trzy tygodnie. W ciągu tak długiego pobytu wystąpiłam tylko dwa razy. W ogromnym amfiteatrze, śpiewając z gitarzystami swoje ballady, odniosłam spory sukces. Po wykonaniu angielskiej wersji „Ballady wagonowej”, gdzie zamieniłam (już na Kubie) miasta amerykańskie Cheetaway i Syracuse na miejscowe, brzmiące podobnie — Camaguey i Santa Cruz — przyjechała do mnie ciężarówka pełna robotników z maczetami. Usłyszeli tę piosenkę w telewizji i przyjechali, żeby zapytać, czy to z myślą o nich — pracownikach wycinających trzcinę cukrową w Santa Cruz — wykonałam tę piękną balladę. Odpowiedziałam, że oczywiście, podarowali mi maczetę, trochę trzciny i odjechali. Ale głównie smażyliśmy się na słońcu wylegając się na przepięknej plaży Varadero.

Czasami organizatorzy wozili mnie na jakieś uroczyste obiady, wycieczki. Prześmiesznymi zresztą samochodami. Były to zdewastowane wielkie, skrzydlate cadillaki, chevrolety, buicki z wypadającymi szybami

i drzwiami przywiązanymi sznurkiem. Zobaczyłam w ten sposób dom Hemingwaya, jadłam śniadanie w pięknej posiadłości du Pontów, odwiedziłam słynny kabaret „Tropicana”. Jedna rzecz mnie trochę dziwiła — toalety. Drzwi jak w saloonie, do pasa. Czyli kucasz, a głowa ci wystaje. W innym publicznym miejscu było jeszcze gorzej. W ogóle nie było drzwi. To dopiero. Wszyscy chcieli wejść do ostatniej kabiny. Śni mi się ta sytuacja do tej pory. Ale najlepsze wc widziałam w pewnym domu towarowym w Rosji. Żeński wyglądał w ten sposób — na wysokim postumencie była ustawiona muszla klozetowa odwrotnie niż normalnie, czyli znajdowała się tyłem do ewentualnej widowni. No i też nie było drzwi, podobnie jak na Kubie.

Całe swoje diety wydawałam na telegramy do Pragi.

W tym samym roku Stowarzyszenie Jazzowe wysłało mnie na festiwal w Palermo na Sycylii. Muzycy pojechali pociągiem, ja zapakowałam się do starego volvo państwa Byrczków i ruszyliśmy w długą drogę. Na terenie Włoch zaczęły się kłopoty z samochodem. Silnik wył, prychał, buchała para, a kiedy dojechaliliśmy do Neapolu wpadły nam do środka wszystkie szyby. Pytaliśmy o prom do Palermo, a Włosi przez pomyłkę wskazali nam drogę do Salerno. Przeżyliśmy chwilę grozy. Było niewiele czasu do odejścia promu, gnaliśmy więc na łeb na szyję wąską półką skalną, mając po prawej stronie niską balustradkę, przepaść i huczące morze. Janek Byrczek w dodatku nie był najlepszym kierowcą i co rusz ocierał się samochodem o skały. Jego żona Małgosia, siedząca z przodu, umierała ze strachu głośno się modląc. Wreszcie dotarliśmy na miejsce. Salerno to jedno z piękniejszych miejsc, jakie widziałam. Przyklejone do skał domki, rozświetlony lampionami mały port, udekorowane wstążkami łodzie — bajka. Włosi patrzyli na nas ze zdumieniem, kiedy pytaliśmy o Palermo. W końcu ktoś domyślił się o co nam chodzi i wyjaśnił, że musimy wrócić do Neapolu i polecieć dalej samolotem, ponieważ i tak trafiliśmy na strajk obsługi promu. Kiedy znaleźliśmy się w końcu w hotelu w Palermo, okazało się, że właśnie się kończy koncert Arethy Franklin. Bardzo żałowałam. Za to obejrzałam show Duke’a Ellingtona, a występowałam razem z Johnym Hallydayem i Georgi Fajem. Było to wielkie przeżycie dla początkującej piosenkarki: usłyszeć



Pierwsza Złota Płyta za longplay „Żyj mój świecie”

tyle znakomitości na raz. Główny szef festiwalu nie wypłacił nam wszystkich pieniędzy. Nazywał się Joe Napoli i spotkałam go nieoczekiwanie po paru latach na korytarzu w katowickiej telewizji.

Do Polski wróciłam pociągiem. Po wielogodzinnej podróży, brudni i zmęczeni dotarliśmy w końcu do Warszawy.

W tym czasie zrobiłam w Pradze prawo jazdy i zaczęłam jeździć swoim pierwszym samochodem fiatem 850 sport coupe. Był intensywnie żółty i miał niezłe przyspieszenie. Wyrywałam się nim do Warszawy, kiedy tylko mogłam. Kursowałam między Polską i Czechosłowacją bez przerwy. Znałam na pamięć drogę przez Hradec Králové, Kłodzko, Wrocław, Łódź do Warszawy. Staralam się nie zaniedbywać polskiego rynku. Pierwszy longplay „Żyj, mój świecie” był już w sklepach, bardzo dobrze się sprzedawał i w krótkim czasie osiągnął „złoty” nakład. Byłam w uderzeniu, dużo koncertowałam i kompletowałam materiał na następną płytę.

W siedemdziesiątym pierwszym roku w Opolu wyśpiewałam trzecią z rzędu główną nagrodę dla piosenki. Tym razem dla kompozycji Kasi Gartner „Z tobą w górach”, z pięknym tekstem Jerzego Kleynego. Potem był Kołobrzeg, festiwal żołnierski i udany występ z piosenką tych samych autorów pod tytułem „Powołanie”. Na gitarze grał wtedy u mnie Zbyszek Holdys — młody, zdolny muzyk. Razem opracowaliśmy ładnie brzmiące „bitlesowskie” chórki. Właśnie w Kołobrzegu zaczęły się problemy z długimi włosami gitarzystów. Reżyser Aleksandrowicz pohukiwał przez mikrofon na próbach:

— *Albo twoi ludzie zmieniają fryzury, albo won.*

Piosenka, mimo że stała się przebojem festiwalu, nie dostała żadnej nagrody. Przewodniczący jury — niejaki Januszko — stwierdził, że jest to plagiat jakiegoś przedwojennego utworu. Pamiętam, jak Kaśka Gártner w ostatniej chwili, w czasie próby generalnej, pisała na kolanie w swoim trabancie dodatkowe nuty dla orkiestry, a mój Franio obiecywał, że jeżeli ta wątpliwa jego zdaniem piosenka będzie się podobać, to zje bukiet kwiatów. Nie miał wyjścia. Dopilnowaliśmy, żeby zeżarł dziesięć róż. Pan Januszko, jak się później okazało, upychał co roku w konkursie swoje „dzieła” pod różnymi pseudonimami. Nic dziwnego, że utraçał co lepsze kawałki.

Jesienią, znany menażer Wojciech Furman zaproponował mi wyjazd do Związku Radzieckiego na długie sześciotygodniowe tournée. Miałam

grać całą drugą część, a więc jako gwiazda programu, a przede mną między innymi rockowa grupa Test z Wojtkiem Gąsowskim. Na koncertach tłumy i owacje, zwłaszcza kiedy śpiewałam „Wozy kolorowe” i „Let it be”. Wojtek doprowadzał widownię do ekstazy śpiewanymi po angielsku numerami Deep Purple. Nie obywało się bez protestów nadgorliwych urzędników Goskoncertu. Chodziło oczywiście o niepożądane, imperialistyczne wpływy — angielskie teksty, nasze kostiumy estradowe. W Doniecku po prostu wcześniej opadła kurtyna. Na ulicach moje skórzane spódnice z frędzlami wywoływały ostre reakcje — często pluto trzy razy za siebie na mój widok. Musiałam im się kojarzyć z diabłem albo jakimś odszczepieńcem. Przedstawiciel Pagartu, szef biura paszportów, czyli ubek tak upijał co wieczór konferansjera, że ten ukłoniwszy się na scenie długo pozostawał w tej pozycji nie mogąc się odgiąć. Często mu się zdarzało, ku ucieście gawiedzi, przez dłuższą chwilę nie trafiać mikrofonem w statyw. Niestety, miał kłopoty z zachowaniem umiaru również Hołdys, mój gitarzysta. Właściwie nie trzeźwiał.

Pod koniec trasy przyjechał do nas kierownik całej eskapady, Furman, i rzucił propozycję nie do odrzucenia. Oznajmił, że możemy trasę przedłużyć o dwa tygodnie i spytał pro forma, czy wszyscy się zgadzają. Nikt się nie odezwał słowem, ja natomiast, wiedząc, że Franek namotał u siebie koncerty — zaprotestowałam. W dodatku nie mogłam już pracować z moim dotychczasowym niezdyscyplinowanym składem i planowałam wcześniejszy wyjazd do Pragi na próby z nowymi muzykami. Na to pan Furman oświadczył, że nic nie może być ważniejsze od koncertu w Moskwie w siedzibie RWPG, i że Pagart jednym mchem może odwołać mój wyjazd do Czechosłowacji. Z kolei Franek, z którym byłam w stałym kontakcie telefonicznym, nie chciał o tym słyszeć. Powiedział, że to są tak ważne dla niego koncerty, że jeżeli nie przyjadę, on jest skończony. Po przyjeździe do Moskwy postanowiłam pierwszej nocy ukraść z recepcji paszport (taki był zwyczaj, że paszporty albo miał u siebie kierownik grupy, albo leżały właśnie w hotelowej recepcji). Kiedy najpierw „po dobroci” poprosiłam o wydanie dokumentu, oświadczone mi, że musi być na to zgoda tak

zwanego „starszego grupy”. „Starszej grupy” udawał, że śpi kamieniem i w ogóle nie odbierał telefonów. Nakłamałam, że ma chore serce i na pewno zasłabł. Hotel przysłał ślusarza. Ten rozłożył na korytarzu swoje akcesoria, postukał, popukał, a w końcu łomem wyważył drzwi. Pan Zygmunt Wiśniewski, zastępca Furmana, udawał zdziwienie:

— *...nic nie słyszałem...*

ale paszportu i tak nie pozwolił wydać. Dopiero nad ranem udało mi się zastraszyć recepcjonistkę. Powiedziałam jej, że w Pradze odbywa się koncert ku czci Wielkiej Rewolucji Październikowej i że jeżeli mi uniemożliwi wyjazd, pójdzie niechybnie do więzienia. Poskutkowało.

O szóstej byłam już w samolocie lecącym do Pragi. Czeskie koncerty się odbyły, a Pagart uznał, że należy mi się na jakiś czas „szlaban” na wyjazdy zagraniczne za moją kolejną niesubordynację. Pierwsza, to była Anglia.

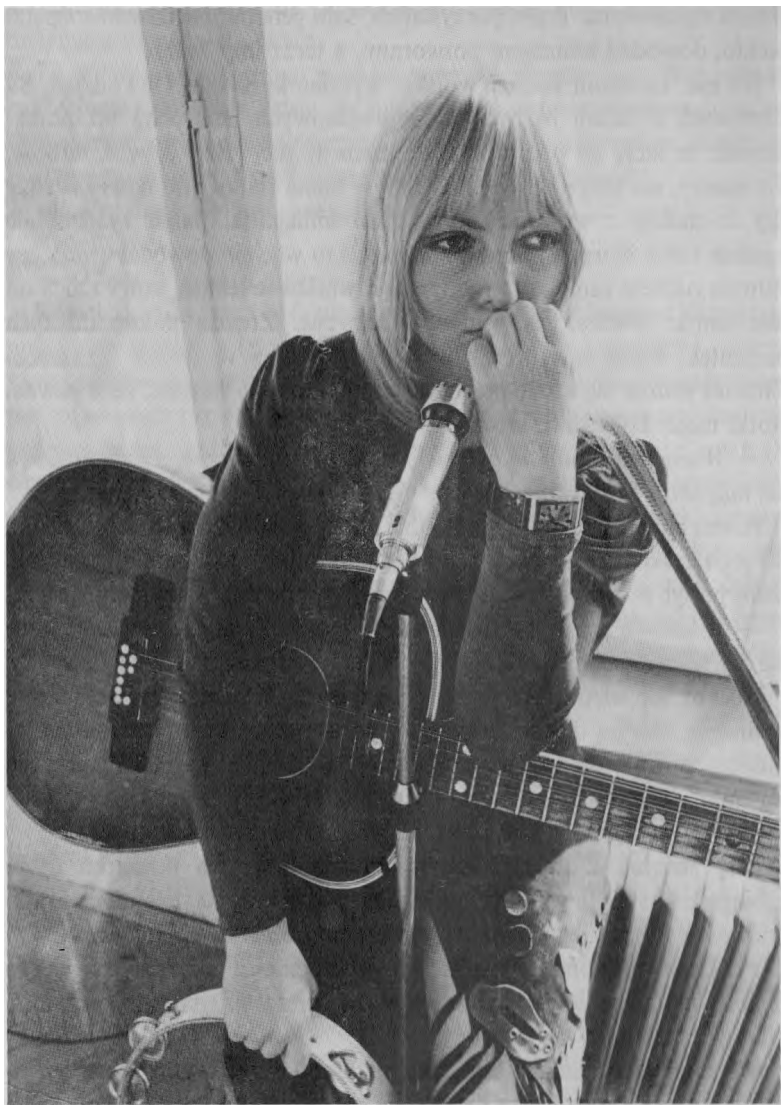
W tym okresie śpiewałam dużo utworów pisanych przez Kasię Gartner. Ona lubiła Murzynów, ja ich czułam. Godzinami przesiadywałam w jej domu. Kaśka waliła w klawisze, ja się wydzieralam i obie byłyśmy zachwycone. Do tego jej mąż, Robert Kucharski, próbował mnie instruować w sprawach wokalnych. Ciągłe mówił:

— *Nie tak, wyobraź sobie, że trzymasz w rękach stos talerzy, ktoś doprowadza cię do szalu, a ty rzucasz nimi o ziemię. Spróbuj, zobaczysz, weźmiesz każdy dźwięk.*

No i rzucałam tymi talerzami na lewo i prawo — w „Harnasiu”, „Kolibajce” i innych kompozycjach Kasi.

Okazało się, że moja piosenka z Kołobrzegu „Powołanie” bardzo się spodobała generałowi Jaruzelskiemu. Doprowadziło to do zaproszenia jej twórców (w tym mnie) na pokazowe manewry do Drawska. Pojechalśmy o świcie z dużą grupą znanych artystów teatralnych, filmowych, pisarzy, dziennikarzy samolotem transportowym „Ukraina”

I po chwili byliśmy świadkami prawdziwej wojny. Fantastyczne: samoloty, wybuchy, wróg się cofa, nasi napierają, budują mosty, jakieś czołgi wjeżdżają pod wodę, a wszystko na skinienie ręki tegoż generała, który jawi mi się jako Winnetou — władczy, wyprostowany, dumny. Niestety, nawet na mnie nie spojrzał. Uśmiechnął się dopiero przy grochówce.



Już w Pradze na próbie po ucieczce z Moskwy

Byłam rozanielona. Boże, pomyślałam, sam generał. Niedawno rozpełtał piekło, dowodził żelaznymi potworami, a teraz taki ludzki.

No nie, zaczęłam kochać wojsko, wysyłać kartki do Dowództwa Sił Zbrojnych z okazji różnych świąt wojskowych. Zaczęłam też podejrzewać, że lubię po prostu władzę, mam do niej jakąś dziwną słabość. To znaczy, nie mogę powiedzieć, żebym miała słabość do naszej władzy czy że mdleję z wrażenia mówiąc do milicjanta: panie władzo, ale ogólnie rzecz biorąc imponuje mi ktoś, kto właśnie dowodzi armią czy jednym ruchem zamyka fabryki, nawet właściwie lekarz, który rzuca od niechcienia: *Siostró, proszę zrobić zastrzyk*. Zresztą należę do tych pacjentek, które zawsze trochę się podkochują w swoich lekarzach. Chociaż jeszcze się to nie posunęło u mnie do tego stopnia, co u pewnej ciotki mojej koleżanki, która mawiała:

— *Wiesz, ten Stalin, to był taki przystojny mężczyzna, a i ten Hitler nie najgorszy ze swoim wąsikiem.*

Potem chyba Gomułka nie bardzo jej się podobał; miała zastrzeżenia do jego zębów, ale o Gierku mówiła, że ładny, taki duży mężczyzna. Swoją pobyt w obozie koncentracyjnym wspominała w ten sposób:

— *Właściwie to było tam całkiem przyjemnie, nie mogę powiedzieć, mnie nie bili, taką jedną, o, to bili, ale ona była taka okropna, że ja też bym ją bila.*

No cóż nie wiem, jaka ja będę na starość. Wyobrażam sobie siebie w dużym, starym domu, snującą się po zapuszczonym ogrodzie z rozpuszczonymi włosami, w pajęczynie, w swoich rozpadających się kostiumach, a okoliczne matki będą mną straszyły swoje dzieci:

— *Jak nie będziesz jadł żupki, to będziesz wyglądał jak ta pani.*

Mój związek z Františkem miał dwie fazy. Na początku to ja zabiegałam o jego względy, czekałam godzinami na telefon z Pragi, godziłam się na jego humory, awantury. Kiedy poczułam się tym wszystkim zmęczona, sytuacja się odwróciła, a ja zaczęłam coraz częściej wymykać się do Warszawy. Każdy pretekst był dobry: nagrania, telewizja, zdjęcia.

Właśnie jakaś gazeta skontaktowała mnie ze swoim nadwornym fotografem, Krzysztofem Gierałtowskim. Wpadłam mu w oko i zaczął się do mnie zalecać. Kiedyś tak długo czekał pod Hotelem Warszawa,

w którym mieszkałam, aż się doczekał. Zabrał mnie razem z moimi dwiema walizkami do siebie.

Tu mi się przypomina pewien wileński dowcip: — Walendziuk spacerował całą noc z Zosią. W ogóle się do siebie nie odzywali, tylko Walendziuk zerkał na dziewczynę i sapał. Kiedy nad ranem doszli do bramy panienki, Walendziuk nie wytrzymał i powiedział:

— *Ach, jak ja by się z panną Zosieńką pokochał.*

Na to Zosia:

— *O, prosił, prosił i doprosił się.*

Kawalerka fotografa była urządzona bardziej niż skromnie. W pustym pokoju na podłodze leżał tylko materac. Kiedy po miesięcznej, nieciekawej znajomości jechaliśmy razem na festiwal do Sopotu, oświadczyłam mu, że to nasza ostatnia wspólna podróż, że powinniśmy się rozstać. Na próbach w amfiteatrze, kiedy ja trenowałam swoją „Małgoškę”, pan G. oświadczył wszystkim fotoreporterom, że nie mają prawa mnie fotografować, że on ma wyłączność. Myślę, że był to początek zemsty. Rzeczywiście, w trakcie koncertu nikt poza nim nie zrobił mi ani jednego zdjęcia. Otrzymałam Grand Prix i nagrodę w wysokości 25 tysięcy złotych. Poprosiłam eks-narzeczonego o przechowanie koperty z nagrodą. Po skończonym bankiecie, nad ranem, mój kolega oświadczył mi, że udaje się do Warszawy i zatrzymuje moje pieniądze z powodu kosztów, jakie poniósł w czasie naszej znajomości — w końcu mieszkałam u niego, jeździłam jego samochodem, do tego pranie, jedzenie. I pojechał. Nie wiedziałam co robić.

Za dwa dni miałam wyjazd na koncerty do Mediolanu i Paryża. Wszystkie moje rzeczy (ubrania, kostiumy) zostały w mieszkaniu Krzysztofa G. Przed wyjazdem z Sopotu zapowiedział, że i tak mi ich nie odda. Poza tym nie miałam grosza przy duszy. W Warszawie Andrzej Smereka (kolega z branży) dał mi telefon do zaprzyjaźnionego milicjanta z komendy na Żytniej. Przesiedziałam tam na krzeselku do rana, a brygada specjalna goniła po mieście mojego byłego narzeczonego, znajdując go w końcu w „Ścieku”, knajpie dla artystów i kół zblizonych. Zajechali po mnie i razem udaliśmy się na Żelazną do mieszkania delikwenta. Przeżyłam obrzydliwą scenę wydzierania swoich własnych

rzeczy w obecności obcych ludzi, wysłuchując przy tym kretańskich komentarzy Krzysztofa G.

Następnego dnia poleciałam do Włoch i do I rancji, a dokładniej do Paryża, gdzie przez kilka dni pod lotniskiem Orly na wielkiej łące odbywał się festyn z okazji święta gazety „L'Humanité”. Spędzałam tam całe dni, grając koncerty prowadzone prze/ Broniarka, mężczyzną o wyjątkowym wdzięku. Nocą, chcąc przyjrzeć się miastu, wędrowałam bosą razem z muzykami Polami Elizejskimi.

Po powrocie wynajęłam w Warszawie pokój w Motelu MDM i zaczęłam przygotowywać się do pierwszych nagrań niemieckich w Berlinie (wschodnim). Zostałam właściwie bez środków do życia. Nie miałam pieniędzy, mieszkania, samochodu, cały mój dobytek mieścił się w dwóch walizkach. Rozżalony František postanowił zatrzymać i mojego fiacika, i magnetofony, i inne zabawki, którymi obdarowywał mnie pod choinkę. Za karę, za to, że sobie poszłam. Moja babcia przez długi czas nie mogła odzłować jednego — koldry, którą kiedyś zawiozłam do Pragi.

Moim menażerem został Andrzej Smereka, bardzo sprawny organizator. Jego rola polegała właściwie na podpisywaniu umów, segregowaniu rachunków, rezerwowaniu hoteli i wydzwanianiu muzyków. W tym wszystkim był bardzo dobry, a poza tym miał poczucie humoru i dużo pogody ducha. Miał też, niestety, dwie wady — był nieuczciwy i kochał intrygi. Bez przerwy przynosił mi niewiarygodne plotki o znajomych i nieznanym. Po okresie sumiennej pracy zaczynały go swędzieć paluszki, musiał wykonać jakiś „przekręt”. Wtedy nie miał skrupułów, naciągał również najbliższych współpracowników, w tym mnie. Kiedyś, wyjeżdżając do Bułgarii, pożyczył w kasie Pagartu pieniądze, kupił bilety dla całej grupy, składając obietnicę na piśmie, że po powrocie dług ureguluje. Oczywiście ściągnął od nas należność i wszystko roztrwonił. Pagart zaczął się dobijać do mnie, ja do mojego menażera. W końcu Andrzej oświadczył, że wpłacił na pocztę zaległe trzydzieści tysięcy i że jest czysty. Pokazał nawet kwit, a pieniądze dalej nie było na koncie Pagartu. Prokurator sprawdził pocztę i kwit — okazało się, że papiery były sfalszowane. Odstąpiłam jednak od sprawy.

Innym razem pojechaliśmy do NRD samochodem pożyczonym przez Smerekę w szczecińskiej wypożyczalni. Żeby było ciekawiej, zrobił to posługując się moim dowodem osobistym, po czym zwrócił auto dużo po czasie i mocno poobijane. Czasami zdarzało mu się defraudować honoraria mojego zespołu na terenie NRD, a kiedyś nawet „przekreślił” Helenę Vondračkovą, nie wpłacając sporej kwoty na jej konto. Największym moim grzechem było to, że znając słabości Andrzeja, pracowałam z nim tyle lat. Nasza współpraca skończyła się w momencie, kiedy oszalałam na punkcie „Lokomotywy” w Teatrze STU. Wtedy to Smereka również stracił głowę — i serce — dla młodziutkiej szesnastoletniej panienki, która przez jakiś czas tańczyła w krakowskim spektaklu. Pomógł jej nawet dostać się do szkoły teatralnej i dziewczyna została, tak jak marzyła, aktorką. Nazywała się Anna Wojton. Andrzej Smereka umarł parę lat temu. Przez długi czas chorował na cukrzycę.

Na tle wszystkich menażerów, z jakimi przyszło mi przez lata pracować, František pozostaje nie do pobicia. Reszta to organizatorzy. Franek umiał kreować i był prawdziwym producentem. Umiał poprowadzić artystę, wytyczyć mu drogę, rozumiał znaczenie reklamy i dbał o nią jak nikt. Oczywiście, spierałiśmy się często o wartości artystyczne różnych przedsięwzięć. Franek był bardziej komercyjny, wielokrotnie się z nim nie zgadzałam i forsowałam swoje pomysły, ale i tak zrobił dla mnie dużo. Ciekawe, że mój mąż Andrzej właśnie z nim potrafił się zaprzyjaźnić; ze wszystkich swoich poprzedników zaakceptował jedynie Franka. Może dlatego, że było to tak dawno, że to już prehistoria. A ja z kolei marzyłabym, żeby z nimi wszystkimi usiąść do stołu i pozostawać w miłych układach. Przecież to byli dla mnie kiedyś bliscy ludzie i nie potrafię tak po prostu wymazać ich z pamięci. Niestety, mężczyźni mają silnie rozbudowane poczucie własności i w podobnych przypadkach nie stać ich na wielkoduszność. To, że są zaborecy, potrafię zrozumieć, bo sama jestem taka. Andrzej (mąż) nie znosi na przykład, kiedy wracając z pracy do domu nie zastaje mnie w progu. Może niekoniecznie w progu, ale lubi, kiedy asystuję mu podczas kolacji. Poza tym wydał mi zakaz tańczenia z kimkolwiek, a sam nie tańczy. W ten sposób jedna z przyjemności już mi uciekła. Z drugiej

strony — te przytulania, to zagładanie w oczy, zalotne rozmówki — gdybym go zobaczyła z partnerką na parkiecie — sama pękłabym z zazdrości. Okazało się, że mamy wiele cech i wspólnych i różnych, że pozwala nam to pozostać dla siebie interesującymi. Andrzej twierdzi, że mam wiele męskich cech: niezależność, potrzebę dominowania i pęd do bycia lepszą od innych. No i potrzebę walki. To prawda. Walka jest moim żywiołem, sprawia mi dużo przyjemności. Może dlatego po niepowodzeniach szybko się podnoszę, właściwie mobilizują mnie one do wysiłku. Myślę, że sport nauczył mnie czystych reguł gry i szacunku dla systematyczności, dla pracy. To, że po niepowodzeniach się szybko podnoszę, nie znaczy jednak wcale, że nie zostawiają one śladów.

Kiedyś w Opolu — w drugiej połowie lat osiemdziesiątych — miałam wystąpić w koncercie przebojów i zaśpiewać dwie piosenki. Były to jeszcze czasy komuny i jedynym wykonawcą kabaretowym w naszym zestawie miał być Janek Pietrzak z ostrą, dowcipną piosenką, pełną politycznych aluzji. Krzysiek Materna, który był reżyserem tego koncertu, był przeciwny mojemu udziałowi. Lansował wtedy z ramienia ZPR Edytę Geppert i próbował mnie z Opoła wyślizgać. W końcu jednak zgodził się na moją obecność. Prosiłam go o jedno:

— *Ustaw mnie na koniec pierwszej części.*

Złośliwy Skorpion Materna pomyślał sobie: — *Ach tak, chcesz kończyć pierwszą część? — dobrze, będziesz kończyć.* Wstawił więc przede mną właśnie Pietrzaka. Trzeba wiedzieć, że po petardzie kabaretowej, liryczna piosenka nie ma właściwie szans. I wiedzieliśmy to oboje. Krzysiek tak manipulował próbą, że nie zorientowałam się do końca, o co chodzi. Kolejność została wywieszona za kulisami w ostatniej chwili. Stało się tak, jak przewidywałam. Rozpalona występem Pietrzaka publiczność nie chciała go puścić ze sceny. Stojący za kulisami Materna wypchnął konferansjera, który usiłował mnie zapowiedzieć. Widownia nie zwracała na to uwagi.

— *Pietrzak, Pietrzak*, wyli ludzie, a konferansjer swoje:

— *Teraz Rodowicz.*

Gwizdy i wywoływanie Pietrzaka. I wyjdź tu, człowieku, i zaśpiewaj. Stałam w dekoracjach i dygotałam z oczami pełnymi łez. Triumfujący Materna nalegał:

— *Wychodź!*

Ja na to, że w życiu i dalej stałam. W końcu poprosiłam Janka:

— *Wydź ze mną i postój chwilę.*

Tak też zrobił. Nigdy się nie dowiecie, co może czuć na scenie nie chciany artysta. Łamiącym się głosem odśpiewałam:

...są dwa światy i nas jest dwoje...

Przez kilka dni działo się z moim organizmem coś dziwnego. Zaczął się rozładowywać ogromny stres. Miałam objawy ostrego zatrucia, wysoką temperaturę, zimne poty i dreszcze.

28.

Podobna sytuacja powtórzyła się później na Pikniku Country w Mrągowie. Wszyscy mnie namawiali do tego występu:

— *To miejsce dla ciebie, pokaż im, jak się śpiewa taką muzykę, masz tego tyle w repertuarze.*

W końcu pojechałam. W ostatniej chwili Antek Kopf, szef festiwalu, poradził:

— *Nie śpiewaj po polsku, bo tu przyjeżdża taka widownia, no wiesz, mogą gwizdać, oni lepiej reagują na język angielski.*

Czułam jakąś zdradę. Nie rozumiałam tego. Odśpiewałam przy akompaniamencie gwizdów trzy amerykańskie standardy i uciekłam ze wstydem do hotelu. Dopiero później organizatorzy przyznali, że spodziewali się takiej reakcji po doświadczeniach ostatnich lat. „Poległy” już tu: Sipińska, Prońko, Jeżowska. Tłumaczyli, że ta publiczność nie chce oglądać nikogo popularnego, wylansowanego, że woli nawet dużo gorzej śpiewających amatorów niż uznane sławy. Mówiono mi, że to była głównie robota klubów miłośników country, napuszczanych przez ich animatorów. Och, jakże musieli się cieszyć moi wrogowie! Nie wiem tylko, po jaką cholerę mnie tam zaproszono. Na szczęście i tym razem był koło mnie Andrzej, moja opoka. Żałuję bardzo, że nie zawsze może mi towarzyszyć w wyjazdach. Inaczej się odbiera świat oglądając go we dwoje, na gorąco dzieląc się wrażeniami.

Pięknie było stać razem na przykład w Jerozolimie pod Ścianą Płaczu, a potem wspólnie oglądać całe miasto. Do Izraela pojechałam na zaproszenie radzieckich Żydów z Kiszyniowa, właściciele knajpy pod Tel-Awiewem. Liczyli na to, że moim występem sylwestrowym zniszczą konkurencję. Trzeba powiedzieć, że mieli gest.

Oplacili nam dwutygodniowy pobyt w hotelu z pełnym wyżywieniem. Poza tym jednym występem zorganizowali drugi koncert w centrum miasta — dla polskich Żydów — no, ale przecież ta emigracja mnie zupełnie nie znała. To byli ludzie, którzy wyjechali z Polski w latach pięćdziesiątych, ewentualnie sześćdziesiątych. Ale i tak przyszło pół sali, były wrzusenias, brawa. Nie mogliśmy się napatrzeć na gości rosyjskiego klubu, na to jak się bawią, jak wyglądają, co jedzą. Było dość ciepło, około dwudziestu stopni, wszystkie damy w drogich futrach, obwieszone złotem. Na parkiet wychodzili i siwi staruszkowie, i młode panienki. Hulali do białego rana. Tak zastawionych stołów nigdy w życiu nie widziałam. Piętkowo. Wielka piramida talerzy. Nasi Mołdawianie wybierali się dalej, do Stanów. Powtarzali:

— *Tu nie ma z kim handlować, za dużo Żydów.*

No, a mój wyjazd do Chin. Jak to się stało? Ano, radio w Szanghaju organizowało festiwal muzyczny, a że mieli moje nagrania bodaj od kogoś z naszej ambasady, spytali, czy nie zechciałabym na kilka dni przyjechać i zaśpiewać. Polecieliśmy z Andrzejem — niestety, znowu Iłem — najpierw do Pekinu. Mieliśmy parę godzin oczekiwania na następny samolot. Pracownik ambasady ostrzegł nas, żebyśmy broń Boże nie pchali się do centrum z powodu demonstracji — podobno — dwóch milionów studentów. Nie wytrzymałam, namówiłam Andrzeja, wsiedliśmy do dwóch oddzielnych riks (ławeczka plus spocony rowerzysta) i w sam środek tłumu. Bez przerwy znikaliśmy sobie z oczu, rozdzielani przez idących i jadących rowerami Chińczyków. W końcu dotarliśmy do placu Tienanmen. Wzbudzaliśmy zainteresowanie swoim wyglądem. Andrzej był z cygarem, ja z pióropuszem jasnych włosów. Cały czas fotografowałam. Mijały nas rozśpiewane ciężarówkis pełne młodych ludzi z przepaskami na głowach. Przypominało mi to wszystko lata pięćdziesiąte — te samochody, transparenty, portrety. Pachniało

rewolucją. Co pewien czas przepychała się przez tłum karetka pogotowia na sygnale. Wtedy błyskawicznie ludzie łapali się za ręce tworząc szpaler, co pomagało w przeprowadzaniu szybkich akcji ratowniczych. Zaczynaliśmy odczuwać lekki niepokój — wokół nas widzieliśmy tylko morze jednakowo wyglądających ludzi. Dla mnie to wszystko było fascynujące, Andrzej był za wycofaniem się. Ewakuowaliśmy się z nie-małym trudem wąskimi, bocznymi zaułkami. W Szanghaju to samo. Ulicami bez przerwy, dzień i noc, maszerowały tłumy demonstrantów.

Zamieszkaliśmy w hotelu radiowym Siódme Niebo.

W koncercie transmitowanym przez miejscową telewizję brali udział głównie artyści chińscy. Z cudzoziemców poza mną była jeszcze Amerykanka, Japończyk i Koreańczyk. Przygotowałam z dwiema miejscowymi baletnicami małą choreografię. Bardzo to się podobało, natomiast kiedy wyszłam na scenę, widownia zaczęła pokładać się ze śmiechu, a kiedy zaczęłam śpiewać — zatykali uszy. Wszyscy pytali, czemu robię to tak głośno. Poza tym przyznali, że trochę się mnie boją i nie rozumieją



Pekin, riksza w drodze na Plac Tienanmen

moich min. Rozśmieszył ich mój kapelusz włożony do „Sing Singa”. Usiłowałam zapowiadać po chińsku swoje piosenki, ale nie wiem, czy zostałam zrozumiana. Amerykanka zaśpiewała postawionym głosem pieśń Schuberta, a reszta w jedwabnych kimonach kwiliła pod nosem, po cichutku miejscowe przeboje. Przedtem jeszcze, kiedy przyjechaliśmy na próbę generalną zastaliśmy reprezentacyjną salę tonącą w śmieciach. Między rzędami trzeba było uważać, żeby nie wdepnąć w kupę.

Następnego dnia szef radiokomitetu wydał na naszą cześć wspaniały obiad. Zawsze lubiłam chińską kuchnię, ale dania, którymi nas wtedy raczono, były wyjątkowe. Podano mnóstwo potraw w małych ilościach. Chyba najwspanialsza była skóra kaczki przyrządzona na sposób seczuański. Żegnając się, żartem powiedziałam, że w Polsce będzie mi brakowało tych potraw i że najchętniej wzięłabym ze sobą jakiegoś kucharza. Na to nasz gospodarz poszeptał ze swoim zastępcą i po chwili przyprawiono do stołu małego Chińczyka prosto z kuchni.

— *Proszę bardzo, to dla pani* — powiedział dyrektor radia.

Zaniemówiłam. Bąknęłam coś pod nosem, że musimy wymienić adresy, że oczywiście, że to wspaniale. Kiedy nazajutrz pakowaliśmy walizki, ponowiono propozycję. Zaczęłam się nad tym zastanawiać. Wyobraziłam sobie Chińczyka z warkoczem odprowadzającego dzieci do szkoły i gotującego nam wymyślne przysmaki. Niestety, rewolucja przybrała wiadomy obrót i na znak protestu nie odpowiedziałam na żaden list, żadne kolejne zaproszenia.

Wyciągałam, kiedy mogłam, Andrzeja na ulice. Chińczycy okazywali się tak ciekawskim narodem, że wystarczyło się nachylić, żeby zawiązać but czy zajrzeć do torebki, a zatrzymywało się natychmiast pół ulicy, otaczali nas i tłoczyli się oczekując dalszego ciągu wydarzenia. Ktoś nam opowiadał, że będąc służbowo gdzieś za miastem za żadne skarby nie mógł znaleźć ustronnego miejsca. Właśnie z tego powodu. Podobno dzieci noszą tam majtki z pęknięciem pośrodku. W związku z tym, kiedy chcą załatwić swoje potrzeby fizjologiczne, kucają gdzie popadnie. I idą dalej, a kobiety, które często w ogóle nie noszą tej części garderoby, w momencie kiedy przychodzi im się wstydzić, zarzucają spódnice na głowę, zasłaniając twarz. Reszta jest nieważna.

Wracaliśmy do Warszawy z przesiadką w Moskwie, gdzie zmęczony całą wyprawą Andrzej powiedział mi, że ma dosyć podróży na długi czas. Dodał jeszcze:

— *Ale ty, gdyby ci ktoś teraz zaproponował podróż ciężarówką przez Afrykę — na pewno byś pojechała.*

Po paru minutach podszedł do nas zarośnięty, zmęczony mężczyzna z przekrwionymi oczami. Przedstawił się: nazywam się tak i tak, jestem Polakiem, lekarzem mieszkającym w RPA.

— *Czy nie zechciałaby pani do nas przyjechać na koncerty? Samolotem do Sofii, potem lądowanie w okolicach jeziora Victoria, a stamtąd dalej samochodem terenowym.*

To się nazywa zbieg okoliczności albo telepatia. Ten młody, zmęczony człowiek wracał z Chin, gdzie wiedziony ciekawością spędził kilka miesięcy w pociągach, przejeżdżając ten kraj wzdłuż i wszerz. Niestety, w tej części świata nie doszło do moich koncertów; organizatorzy nie udźwignęli kosztów — muzycy, instrumenty, aparatura. Sądziłem, że mogę przyjechać sama z gitarą.

29.

Pod koniec lat osiemdziesiątych Rosjanie, niejako w nagrodę za nasze festiwale piosenki radzieckiej, postanowili urządzić w Witebsku festiwal piosenki polskiej. W ciągu dwóch miesięcy wybudowali okazały amfiteatr, zorganizowali ogólnokrajowe eliminacje i czekali tylko na ekipę naszych artystów. Andrzej jak zwykle był przeciwny mojemu udziałowi w imprezie (wakacje), ja z kolei uszczęśliwiona, że wzięto mnie pod uwagę podczas formowania drużyny przedstawicieli naszej estrady.

Był jeden problem. W Witebsku nie było lotniska. W końcu jakieś wojskowe lotnisko zgodziło się przyjąć nasze samoloty, a dalej autobusami. Tuż przed lądowaniem jakiś podpity muzyk wylał Andrzejowi na spodnie całą szklanekę coca-coli. Odbyło się oficjalne powitanie chlebem i solą przy akompaniowaniu orkiestry, i do hotelu.

Na miejscu stwierdziliśmy ze zgrozą, że przyjdzie nam mieszkać przez

dwa tygodnie w warunkach odpowiadających poziomem naszym hotelom robotniczym. Z powodu panujących na zewnątrz upałów, dusiliśmy się w pokojach. Oczywiście nie było klimatyzacji i często musieliśmy robić przeciągi chcąc pospać chociaż kilka godzin. W restauracji zjedzenie jakiegokolwiek dania groziło nieprzewidzianymi skutkami. Przez cały czas jedliśmy na okrągło łososia z puszki. Nie było również czym tego popić. Żadnej wódki, nawet w celach zdrowotnych. Naród radziecki oczywiście miał zakaz wstępu do całego obiektu.

Najważniejszy, galowy koncert polskich wykonawców zaplanowano na dwudziestego drugiego lipca. Miał być bezpośrednio transmitowany do Polski. Z powodu mactw organizatorów, koncert ten w ogóle nie został pokazany naszej widowni.

Wieczorem zostaliśmy zaproszeni na oficjalny bankiet, który miał się odbyć w hotelowej restauracji. Z Warszawy i z Moskwy przybyło na tę okoliczność sporo oficjeli. Kiedy wszyscy artyści przebrani i odświeżeni zjechali windami na dół, stoły już były puste. Władza nas ubiegła w wyścigu do złobu. Nawet im do głowy nie przyszło, żeby na nas poczekać czy choćby podziękować. Stali napchani, zajęci rozmowami i nawet nie zauważyli, kiedy weszliśmy. W pewnym momencie podszedł do mnie jakiś urzędnik i przekazał mi, że jestem zaproszona do szefa wydziału kultury Komitetu Centralnego KPZR i jednocześnie dyrektora wszechzwiązkowej telewizji. Odpowiedziałam, że u nas jest zwyczaj, że to mężczyzna przychodzi do kobiety i że się nie ruszę z miejsca. I przyszedł. Zaczęłam go piłować o tę nieszczęsną transmisję naszej gali. Dawał pokrętne odpowiedzi.

Zaplanowano również mój recital w miejscowym teatrze. Dużo wcześniej ustawiały się kolejki po bilety. Ludzie stali dniami i nocami. Złośliwi organizatorzy otworzyli kasy dopiero na godzinę przed występem. Cała historia była również z aparaturą nagłośnieniową. Strona radziecka zapewniała kompletne wyposażenie sali. Jeszcze dzień przed koncertem uspokajali, że wszystko będzie zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami. Kiedy przyjechalśmy na próbę, okazało się, że akustyk nie wziął z Moskwy mikrofonów. W ostatniej chwili ktoś doniósł dwa z sześciu potrzebnych. Nie było już czasu na próbę. Oczywiście zagrałam, chociaż nie powinnam. Żał mi było tych Bogu ducha winnych widzów.

Najlepszy był powrót całej naszej ekipy do Polski. Zaczęło się od witania chlebem, solą i orkiestrą, a skończyło na dwudziestoczworgodzinnej podróży pociągiem, bez możliwości umycia się czy jedzenia. W dodatku wbrew zapewnieniom organizatorów, że wagony są do naszej dyspozycji, na każdej stacji dosiadali się miejscowi pasażerowie z legalnie kupowanymi biletami. Najciekawsze, że kiedy Michał Bajor napisał list ze skargą do ministra kultury i przeszedł się po przedziałach, by zebrać podpisy, większość odmówiła, podejrzewając mnie i Michała o szukanie pretekstu do odwiedzenia szefa resortu.

30.

Latem dziewięćdziesiątego roku otrzymałam zaskakującą propozycję: zaśpiewania i zagrania partii Doroty w „Krakowiakach i góralach” w Operze Wrocławskiej. Nieznane nęciło, a jednocześnie pojawiło się tysiąc wątpliwości, czy sobie poradzę?

Na początku dziewięćdziesiątego pierwszego roku zaczęły się próby. Pierwsze czytanie — jak cię mogę. Kiedy doszło do zaśpiewania arii z akompaniamentem, okazało się, że ustaliłam niewłaściwe tonacje. Stało się to podczas niefortunnej próby w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej. Spotkaliśmy się tam przy fortepianie stojącym w galerii obrazów, a śpiewanie odbywało się w asyście wycieczki szkolnej, którą program przyznał akurat w to miejsce. Próbowaliśmy ściszonymi głosami. Później dyrektor orkiestry zaparł się i za nic nie chciał transponować gotowego już materiału nutowego. Największe stropy przyszło mi jednak przeżywać w czasie prób na scenie. Wyglądało to tak, że cały zespół — chór, balet, soliści — wszyscy siedzieli na ławkach w półkolu. Po kolei każdy wstawał, wychodził na środek sceny, odśpiewywał swoje i siadał na miejsce. Wszyscy oczywiście byli ciekawi, co pokażą goście — czyli ja i Danka Rinn w roli Miechodmucha (organisty). Nigdy nie miałam za dużej skali głosu, ale kiedy przyszła moja kolej, ryknęłam jak umiałam najlepiej. Orkiestra siedząca w kanale okazała swoją aprobatę, stukając smyczkami o pulpit. Kiedy podniosłam



„Krawkowiacy i górale” — opera wrocławska, po lewej Danuta Rinn, po prawej Kardynał Gulbinowicz

głowe, zobaczyłam na górnych balkonach tłum krawcowych, fryzjerek, stolarzy. Wszyscy wydawali się być przychylnie nastawieni do moich heroicznym wyczynów. Niektóre solistki z drugiej obsady próbowały udzielać rad z „życziwym” uśmiechem:

— *Kochana, nie martw się, jak masz kłopoty z jakąś górą, to sobie odpuść, lepiej to powiedz. Parlando, rozumiesz?*

Pracownicy opery — ach, jakaż to zamknięta społeczność. Nieustające intrygi, frakcje, układy, sympatie, antypatie. Ja, jako osoba obca, z zewnątrz, często wysłuchiwałam: a ten to, a tamten tamto, ten szuja, a tamten stary ubek. Miałam sporą zabawę. Największą przyjemność sprawiła mi muzyka tego przedstawienia — romantyczna, melodyjna.

Tydzień przed premierą zapadłam na ciężką gripę. Zastosowałam końską kurację antybiotykową. Zwlekłam się z łóżka, w kostium i na scenę. Byłam tak osłabiona, że po pierwszej pieśni zakręciło mi się w głowie i gdyby nie ściana, padłabym jak długa. Gardło ciągle bolało, po każdej z trudem odśpiewanej partii zanosilałam się kaszlem, a za kulisami męczyłam się walcząc z odruchami wymiotnymi.

Przedstawienie dzięki świetnej reklamie pomyslowego dyrektora opery, Sławomira Pietrasa i inteligentnej, dowcipnej inscenizacji Kolberga miało duże powodzenie u publiczności. Bilety szły jak woda, co wcale

nie było zjawiskiem częstym w tych trudnych czasach. Ostatnie spektakle zagraliśmy przed wakacjami, rezerwując sobie terminy na przełom sierpnia i września, kiedy to Pietras zamierzał zagrać „Krakowiaków” w Operze Leśnej w Sopocie. Minęło jednak lato, przyszła jesień — nie odezwał się do mnie pies z kulawą nogą. Ponieważ dyrektor razem z Krzyśkiem Kolbergerem planowali przeniesienie przedsięwzięcia razem z nami do Poznania, Gdańska, a może i do Warszawy, ciągle czekałam na jakąś wiadomość, zwłaszcza że przypadkiem przeze mnie spotkany w Hotelu Europejskim Pietras rzucił mi w przelocie:

— *Robimy jesienią w Warszawie.*

Potem przypadkiem przeczytałam w gazecie zapowiedź „Krakowiaków” w warszawskim Teatrze Wielkim w inscenizacji Krzyśka. W międzyczasie Pietras zostawił Wrocław, obejmując Warszawę. Zrobiło mi się przykro. Wcale nie uważałam, że powinnam grać Dorotę do śmierci, ale dlaczego nikt mnie nie uprzedził? A byłam przekonana, że w Operze stosunki są bardziej eleganckie niż w mojej estradzie.

No, cóż, życie. Sama popełniłam wiele błędów, nietaktów. Zdarzyło mi się kiedyś obrazić nawet samą angielską rodzinę królewską. W latach siedemdziesiątych w Sopocie, trafiłam na mistrzostwa świata w powożeniu. Jednym z zawodników był książę Karol, syn królowej Elżbiety. Na bankiecie, po uroczystym zakończeniu zawodów, pochwaliłam mu się, że śpiewam piosenkę o księżniczce Annie, która spadła z konia. Książę odwrócił się do mnie plecami i po chwili, obrażony, na znak protestu opuścił towarzystwo.

Nie stoczyłam się, nie byłam na dnie, nie ucięłam sobie żadnego ucha. Nie to co Presley czy Janis Joplin. Moża dlatego, że nie zepsuły mnie duże pieniądze. A mogłoby to być całkiem przyjemne.

Dzięki Bogu, że przyszło mi żyć właśnie tak. Małe pieniądze, ale ile zdrowia psychicznego, żadnych nałogów. Los mnie ukarał właściwie tylko za nonszalancję samochodową. I przestraszył. Teraz jeżdżę dużo ostrożniej, chociaż mówią o mnie, że mam dalej ciężką prawą nogę (między nami mówiąc, nie tylko nogę). Nie uczę się też na własnych błędach. Jak tni to kiedyś powiedział Protopopow (była taka para na łodzie — Bielousowa i Protopopow):



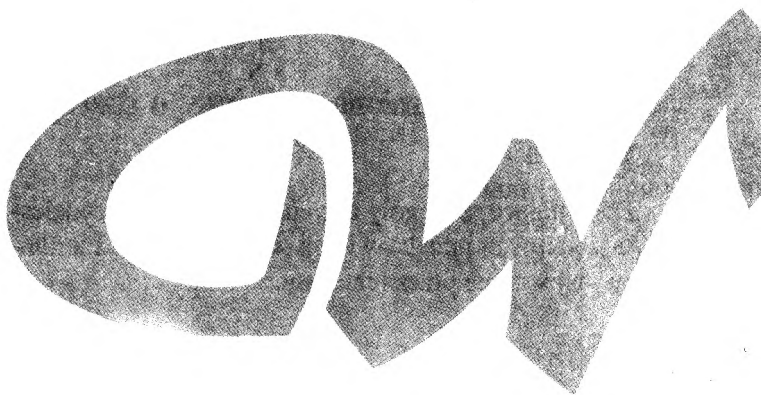
Kwiecień 1992

— *Nie uznaję teorii gorącego czajnika. Mówi się: nie dotykaj, gorące! Dotykam: ojej, gorące! I dalej dotykam.*

Kiedyś w dzieciństwie pogryzł mnie pies, podejrzewano, że był wściekły, dostałam więc serię bolesnych zastrzyków z surowicy w brzuch. Jeszcze brałam te zastrzyki, a już weszłam do budy kolejnego psa i następna seria.

31.

Muszę kończyć. Mam na myśli książkę. Jutro lecę do Kanady, a jest już późna noc. To całe pisanie, przywoływanie zdarzeń z przeszłości sprawiło mi niespodziewaną radość, chociaż zdecydowanie wolę porozumiewać się ze światem poprzez muzykę, poezję. A więc — do usłyszenia.



DOM WYDAWNICZY

SZCZEPAN SZYMAŃSKI Sp. z o. o.

ul. Nowolipie 20 m. 31 01-005 Warszawa

tel./fax 383-503

*Dom Wydawniczy Szczepana Szymańskiego
zwraca się z ofertą współpracy do pisarzy,
krytyków, tłumaczy, ludzi świata kultury i polityki,
dziennikarzy. We współpracy z Wami chcemy
wydawać i promować książki, które będą
poszukiwane przez polskich czytelników.*

Maze Review

Krystyna Pytlakowska

Ewa Wilcz-Grzędzińska

Lwy (nie)ujarzmione czyli żony o sławnych mężach

Fascynujące szczegóły z życia rodzinnego trzydziestu wybitnych przedstawicieli świata polityki i kultury - ujawnione przez ich żony.

Arthur Ray

Poker morderców

Byli komandos policyjnych oddziałów antyterrorystycznych ma chronić jedyne świadka w procesie przeciw mafii. Obaj znikają w slumsach Nowego Jorku. Czy uda im się przeżyć? Czy umkną pościgowi policji i mafii? Zawrotne tempo, zaskakująca fabuła i trzymający w napięciu finał.

Ada Strzelec

Byłam mężczyzną

Po raz pierwszy w Polsce opublikowany pamiętnik transseksualisty. Pamiętnik poprzez szczerą opisów najdrobniejszych szczegółów życia intymnego, cierpienia, miłości i prób samobójczych, jest wstrząsający, a chwilami brutalny. Autorka urodziła się z ciałem mężczyzny i duszą kobiety. Nieświadoma błędów natury cierpiała przez całe życie.

Arcydzieła literatury rosyjskiej

Królowa pocałunków

Zbiór opowiadań o miłości napisanych przez najwybitniejszych pisarzy rosyjskich (L.Tolstoj, A.Puszkina, M.Lermontow, F.Dostojewski...)

Lew Tolstoj

Hadzi-Murat

Opowieść o historycznym przywódcy powstańczych walk na Kaukazie przeciw wojskom rosyjskim. Wspaniale opisany świat muzułmańskiej kultury i tradycji.

Mikołaj Gogol

Portret

Historia niesamowitego obrazu i jego tragicznego wpływu na kolejnych właścicieli. Znakomite portrety psychologiczne ludzi dziewiętnastowiecznej Rosji.

Antoni Czechow

Dramat na polowaniu

Jedno z najwybitniejszych dzieł ukazujące filozoficzne, społeczne i moralne źródła zbrodni. Książka stanowi wyraźną polemikę literacką ze "Zbrodnią i karą" F.Dostojewskiego.



Mazie Hironaka

Mytheli jee, ze mine
zmaue
mafe Redon

OW